

Piotr Pogorzelski
Pierwsze Korupcyjne 2030. Szkice reportera.



Warszawa 2020

Wstęp

Mimo że Pierwsze Korupcyjne leży bezpośrednio przy naszej granicy, w Europie, to pozostaje jednym z najbardziej zamkniętych państw świata. Nad organizacją swojego wyjazdu pracowałem kilka lat. Samo zdobycie wizy do tego kraju nie jest rzeczą prostą, a tym bardziej dla dziennikarza. Wpuszczani są jedynie nieliczni turyści, którzy mogą zobaczyć główne atrakcje w miastach oraz ośrodkach wypoczynkowych nad morzem i w górach. Każdy wjeżdżający jest dokładnie kontrolowany, którędy się przemieszcza, gdzie przebywa, z kim rozmawia. Sama organizacja tego państwa nie sprzyja także turystyce. Jest ono podzielone na udzielne ksiąstewka (departamenty, a nawet republiki - w zależności od stopnia uniezależnienia od centrum), w każdym z nich obowiązuje trochę inne prawo, inne zasady i co najważniejsze inna władza uznająca przy tym rządy Stolicy.

Pierwsze Korupcyjne także niechętnie wypuszcza swoich obywateli obawiając się utraty taniej siły roboczej. Dlatego w świecie super szybkiego internetu i innych doskonałych narzędzi komunikacji wiemy o tym kraju wyjątkowo, jak na XXI wiek, mało.

Dzięki interwencji kilku naszych wpływowych polityków i przedsiębiorców mających powiązania, czy to biznesowe, czy osobiste, z Pierwszym Korupcyjnym udało mi się otrzymać wizę do tego kraju. Udało mi się także dostać listy polecające od najważniejszych z tamtejszych oligarchów gwarantujące mi w miarę swobodne przemieszczanie się po ich włościach i między nimi.

Oficjalnie celem podróży był udział w międzynarodowym zjeździe, który jak już wiemy z historii, niemal nie zakończył się upadkiem Pierwszego Korupcyjnego. Przy okazji odwiedziłem też Republikę Bursztynową, Półwysep oraz Komunistyczną Republikę Socjalistyczną Węgla i Stali.

Trzymacie Państwo w rękach drugie wydanie książki, które ukazało się 3 lata po pierwszym. Zawiera ono jeden dodatkowy rozdział, w którym opisane jest Pierwsze Korupcyjne kilka lat po nieudanym przewrocie.

Zachęcam zatem do lektury. Nie wszystko w tej książce jest prawdą, ale też nie wszystko jest kłamstwem.

Książka została udostępniona w czerwcu 2020 roku bezpłatnie w wersji elektronicznej.

Jakiegokolwiek jej wykorzystanie, w tym tłumaczenie, w celu osiągnięcia zysku, tylko za zgodą autora.



Rozdział I, z którego dowiadujemy się, jak wygląda granica z Pierwszym Korupcyjnym

Granica jest piekłem. Piekłem przez które każdy, kto chce dostać się do Pierwszego Korupcyjnego, czy dalej na Wschód, musi przejść. Dotyczy to też tych, którzy chcą stamtąd wyjechać i przedostać się na Zachód. Musimy poczuć na własnej skórze, że są to dwa całkowicie różne światy. Światy, których mieszkańcy nie powinni zbyt blisko się poznać. Dla swojego wzajemnego dobra.

Ten, który się na to zdecyduje, musi mieć za sobą obrzęd przejścia, który ma miejsce na granicy. Zostawia za sobą jedno życie i na pewien czas, a może czasem na zawsze, rozpoczyna drugie. Nie ma też pewności, czy ten obrzęd przejścia pokona.

W Europejskiej Unii Narodów¹ już dawno zapomnieliśmy, czym są granice. Inteligentne systemy rozpoznawania rasy i wyznania pozwalają swobodnie przemieszczać się po kontynencie. Zatrzymywane są tylko auta i sprawdzane dokumenty tych, którzy nie należą do rdzennych narodów Europy. Jednak nawet ci, którzy przybyli na nasz kontynent mniej niż sto lat temu, nie doświadczają takich poniżeń, jak ci, którzy chcą teraz pokonać granicę z Pierwszym Korupcyjnym.

Zewnętrzne granice, wzmocnione po kryzysie uchodźczym z początku XXI wieku, stanowią teraz przeszkodę niemal nie do pokonania. Szczególnie w najbardziej położonym na wschód kraju EUN, który nigdy z uchodźcami nie miał problemów, ale postanowił się przed tym zabezpieczyć, aby nie mieć ich ewentualnie w przyszłości. Poza tym okazało się, że temat obrony interesów własnego chrześcijańskiego narodu przed „obcymi” jest nośny i przynosi władzom dość szybkie dywidendy na politycznym rynku zarówno własnego kraju, jak i EUN. Stąd wysoki na 7,5 metra betonowy mur, który powstał na wschodniej granicy. Mur, na którego szczycie znalazły się nie tylko zasieki z podłączonego do prądu drutu kolczastego, ale też niewielkie kapliczki mające jakoby odstraszyć muzułmańskich migrantów oraz wieże strażnicze wyposażone w poświęcone dzwony. Tak przynajmniej przekonywali politycy, którzy dzięki tego rodzaju działaniom utrzymują władzę od kilkunastu lat strasząc domniemanym zagrożeniem ze Wschodu i Południa.

Nigdy wcześniej tu nie byłem. Teraz na własne oczy mogę zobaczyć ogromny mur, kapliczki i dzwony, a także pojawiające się co pewien czas plakaty z płynącymi ogromną falą imigrantami i równie wielkim znakiem „Stop”. To klasyka, stare plakaty jeszcze z początku XXI wieku, ale cały czas działające. Grupą docelową są tu przede wszystkim krajowi odbiorcy ponieważ „innowiercy” nie pojawili się masowo na tej granicy. Za to pojawiło się wielu mieszkańców Pierwszego Korupcyjnego, którzy nie chcą mieszkać w swojej złożonej z niewielkich państw federacji. Kiedyś zresztą był to jeden kraj, drugi pod względem wielkości w Europie. Masowa migracja spotkała się nie tylko z przeciwdziałaniem Europejskiej Unii Narodów, ale także samych patriot-nacjonalistów, którzy rządzą w zachodniej części Pierwszego Korupcyjnego. Zaczęli się stykać bowiem z problemem braku siły roboczej, dlatego po swojej stronie zdublowali zachodni mur. Jest trochę niższy, są tam nawet podobne dzwony i kapliczki z apelami o miłość do własnej ojczyzny: „Kochaj PK²”, „PK, to tu się urodziłeś”. Sam mur pełni jednak rolę przede wszystkim praktyczną, a nie polityczną. Wprowadzono także wiele ograniczeń dotyczących wyjazdów za granicę. Liczba przejeżdżających znacznie spadła.

Nasz wschodni mur połączony z systemem elektrycznych zasieków widać już z odległości 10 kilometrów. Mniej więcej takiej samej długości była kolejka ustawiających się samochodów. Niektórzy czekają po 10 – 15 godzin na przekroczenie granicy. Czekają w wyjątkowo trudnych warunkach. Przejście położone jest w czystym polu słoneczników. Słońce wypala śledzące za nim kwiaty, a samochody rozgrzewają się do niemiłosiernych temperatur. Zatrzymuję się na końcu kolejki, choć nie muszę tu stać. Mam niebieski paszport EUN, który pozwala mi na skorzystanie ze specjalnej służby na granicy. Kiedyś, jeszcze 10 lat temu, był to zwykły pas, teraz jest to specjalna służa, ale o tym za chwilę. Staję w kolejce bo chcę trochę porozmawiać z ludźmi.

¹ Europejska Unia Narodów, EUN, Luźna konfederacja państw europejskich i miast - republik, jak Berlin, Frankfurt, Wiedeń, czy Paryż, która powstała w 2025 roku po rozpadzie Hiszpanii i Francji, a w efekcie także Niemiec i następującym po nim rozpadzie całej Unii Europejskiej. Jej powierzchnia pokrywa się z istniejącą wcześniej Wspólnotą

² Ze względu na długą nazwę własnego państwa, mieszkańcy Pierwszego Korupcyjnego najczęściej używają skrótu PK

- Tu nawet nie ma normalnej toalety. Chodzimy na pola słoneczników – tłumaczy mi Aksana, która jest jedną z setek tysięcy, a może nawet milionów, obywateli Pierwszego Korupcyjnego, którzy pracują na Zachodzie. Nie chce mówić, gdzie dokładnie. Zresztą to nieistotne. Ta 40-letnia dobrze utrzymana blondynka mogłaby być równie dobrze sprzątaczką, jak i sekretarką, czy właścicielką salonu kosmetycznego. Mówi w moim języku niemal doskonale, popełnia tylko drobne błędy.

- Większość tych ludzi, którzy tu stoją jedzie na wakacje. W waszym kraju ludzie teraz biorą wolne i nie ma co robić. Więc robimy zakupy i jedziemy też do siebie. Odwiedzić rodziny, rodziców, często nawet dzieci – kontynuowała Aksana.

Rzeczywiście większość kolejki stanowili mieszkańcy PK, którzy mieszkali na Zachodzie. Ich samochody były zapchane pod dach wszelkiego rodzaju bambetłami: ubraniami, sprzętem AGD i RTV i jedzeniem. Niektóre auta miały na dachach kolejne przywiązane sznurkami bagaże zawinięte w niebieską i czarną folię bądź też stare ogromne torby kraciaste z ceraty. Ci bardziej zamożni montowali wielopiętrowe bagażniki. Co nie znaczy, że nie kładli na nie jeszcze kolejnych paczek z rzeczami. Czasem wysokość całej konstrukcji przekraczała wysokość samochodu. Jakimś cudem, tego rodzaju pojazdy były w stanie się poruszać i dzięki nim mieszkańcy PK ciągnęli za sobą kawałek zachodniego dobrobytu.

- Aksana, powiedz mi, czy u was jest taka bieda, jak u nas mówią – pytam.

- Jest skrajna bieda i skrajne bogactwo. Kupić można wszystko. U nas są tylko tańsze papierosy, alkohol i spajisy.

Nie do końca wiem, czym jest ten ostatni produkt. Moja rozmówczyni od razu to poznaje po moim wyrazie twarzy. Pyta znajomego, kolegę, a może męża, jak będzie w naszym języku „spajis”. Znajomy to jak się okazuje Talik, nieogolony mężczyzna w dresie, w klapkach i z obowiązkowym chlebaczkim przy pasie. Na oko wygląda na równolatka Aksany.

- Takie narkotyki, tylko legalne. U nas to sprzedają w budkach przy przystankach.

- Narkotyki?

- Takie proszki, tabletki. Dają w łeb, czasem nawet za mocno. Ale kosztują grosze – Talik śmieje się szeroko pokazując dwie linijki równych białych zębów. Minęły już czasy srebrnych i złotych. Ta moda odeszła w niebyt, przynajmniej w jego pokoleniu.

Rozmawiam jeszcze chwilę z moimi nowymi znajomymi. Tłumaczą mi, że rządzący w Pierwszym Korupcyjnym oligarchowie nie dopuszczają konkurencji, a jeśli już zgadzają się na import nakładają nań wszelkiego rodzaju wysokie opłaty (tak zwany „podatek korupcyjny”), co sprawia że ceny sprowadzanych towarów są co najmniej dwa razy wyższe niż w kraju pochodzenia. Na odchodne Talik pokazuje słoneczniki i kolejki.

- To jest poniżenie nasze. Nas poniżanie. I po jednej stronie i po drugiej granicy. Pan spojrz na to, co się dzieje na poboczu. Oni nas tam kompletnie nie szanują i wy też.

- Talik, uspokój się – Aksana stara się udobruchać mężczyznę. Nie chcę się dopytywać, co dokładnie ma na myśli. Po tyłu godzinach stania w kolejce ludzie już mają siebie serdecznie dosyć i wystarczy jedno ostre słowo, aby spowodować prawdziwą eksplozję emocji. Kłótnie są tutaj rzeczą powszechną, regularnie dochodzi do bójek. Czasem musi interweniować policja. Funkcjonariusze działają zdecydowanie i nie patyczkują się. Chcą mieć porządek na swoim terenie.

Talik nie zważa jednak na Aksanę.

- 20 lat tu pracuję i muszę powiedzieć, że jest coraz gorzej – kontynuuje. - Na budowach robię, wiem sam i wiem z tego, co mówią koledzy. Naszych coraz więcej, a warunki takie same. Nic a nic się nie zmienia, a jak już to na gorsze.

Słucham, co mówi Talik i rozglądam się dookoła. Co parę metrów rozstawiono śmietniki, które opróżnione co pewien czas przez mężczyzn w pomarańczowych kamizelkach natychmiast wypełniają się i obrastają nowymi śmieciami. Zadanie sprzątających sprowadza się tylko do opróżnienia zawartości kubłów. To co leży na ziemi mają zamieść inni porządkowi, którzy przychodzą tylko raz na dzień. Dlatego ilość śmieci wokół śmietników powoli narasta w ciągu dnia i czasem przerasta to, co znajduje się w nich samych.

Śmieci to jednak wspaniałe źródło informacji o gustach z nich korzystających. Nawet jeśli nie trafiają do kubła. I tak musiałem czekać na granicy więc przyglądałem się temu, co wyrzucają i tym samym, co spożywają skazani na kolejkę. Przeważały najtańsze produkty z różnych sieci supermarketów: woda, ciastka, wafle, puste opakowania po parówkach i chlebie, tanich zupkach znanych jako „chińskie”, a produkowanych w biedniejszych krajach Azji i w sprywatyzowanych przez Chińczyków za długi krajach Afryki, puszki po piwie typu Husarz, winie Siłacz i wódce Skwerowej, zwanej tutaj też „skwarową” ze względu na żar lejący się z nieba w czasie stania w kolejce.

Talik i Aksana wydają mi się doskonałymi przedstawicielami mieszkańców Pierwszego Korupcyjnego. Gdy teraz przeglądam notatki z wyjazdu, nieliczne zdjęcia, które robiłem najczęściej z ukrycia, widzę ludzi ubranych we współczesne stroje ludowe, czyli dresy, plastikowe klapki albo adidasy, najczęściej kupowane na promocjach w dużych sklepach sieciowych. Ci biedniejsi musieli się zadowolić podróbkami znanych kiedyś marek z bazaru. To dla nich były te wszystkie Adibasy i klapki Kobuta, bluzy Vesrace. Mężczyźni są męscy, silni i dobrze zbudowani, głównie pracują na budowach i w rolnictwie. Kobiety są do bólu kobiece, nawet w pumpiastych dresach starają się pokazać, że o siebie dbają, mają zrobione fryzury i pomalowane paznokcie. One najczęściej pracują u nas w sklepach, zajmują się dziećmi i starszymi ludźmi. O ile mężczyźni wybierają czarne szeleszczące dresy, o tyle kobiety wolą wariant welurowy: seledynowy, czy zielony. Z jakimś ładnym napisem srebrnym albo złotym typu „Rich”, „Famous” lub „Glory”.

Na przejściu jednak tych prawdziwych rich albo famous można było spotkać z rzadka. Tylko co pewien czas można zobaczyć lepszy samochód. To biznesmeni ze Wschodu, którzy bojąc się o swoje pieniądze we własnym kraju, inwestowali na Zachodzie. Raczej mały i średni biznes. W końcu tam, w PK, zawsze mógł przyjść ktoś i zażądać od nich kolejnej łapówki albo oddania całego przedsiębiorstwa, czy sklepu. Zyski na Zachodzie są mniejsze, ale bezpieczeństwo biznesu o wiele wyższe. Męczyli się na przejściu granicznym razem z całym ludem pracującym. Od szarego tłumu w adidasach, klapkach i welurowych albo nylonowych dresach odgranicza ich szyba samochodowa i działająca klimatyzacja. Siedzą w autach z zamkniętymi oknami, nie muszą ratować się przeciągami i mokrymi rękawicami, a wyziewy z ich samochodów wacha cała reszta. Chciałbym z nimi porozmawiać. Nie udaje się jednak. Starają się udawać zajętych, z aut wychodzą tylko w pobliskie krzaki za potrzebą. W tej sferze akurat panuje równość.

Widząc, że rozmawiam z Talikiem i Aksaną, podchodzi do nas Naksyn. Wita się z moimi rozmówcami, jak stary znajomy. Mi się przedstawia. Jest kierowcą ogromnej trzynaczepowej ciężarówki. Takie kursują na długich trasach – między Chinami a Zachodem. Ubrany tak, jak wszyscy, w dres i klapki. Widzi, jak przyglądam się eleganckim limuzynom.

- Niezłe autko, nie? - pyta retorycznie. - Ale gość czeka razem z nami... Nic tu nie poradzi – mówi mój nowy znajomy. - Nie to co u nas – kiwa głową na mur. Naksyn tłumaczy mi, że tam po prostu płaci się za przejazd. Są specjalne pasy dla tych, którzy gotowi są zapłacić za szybszą odprawę. Na innym przejściu testowo wprowadzono system mini przetargów on-line, gdzie pierwszeństwo mają ci, którzy zaoferują większą sumę.

- Nasze przejścia są bardzo nowoczesne. Nowocześniejsze od waszych, bo każde z nich pozwala zarobić, a o to przecież chodzi – podsumowuje Naksyn i ciągnie mnie do swojego TIRa.

Żegnam się z Aksaną i Talikiem. Za ciężarówką, w cieniu ogromnych naczep siedzi kilku mężczyzn ubranych w dresy. Pośrodku mała kuchenka gazowa. Obok butelka wódki „skwarowej”. Przedstawiam się. Nie wszyscy są zadowoleni z obecności reportera. Nie dają po sobie poznać, że to widzę. Na ziemi pojawia się kolejny plastikowy kubek. Mój nowy znajomy nalewa mi wódki.

- Nie mogę, jestem za kółkiem - tłumaczę i spotykam się z falą śmiechu.

- My tu wszyscy za kółkiem – mówi jeden z mężczyzn. Jak się później okazuje to Rustaw, który na przejściu czeka już 4 dni. Wiezie pomidory z Ludowej Republiki Katalonii³.

Pijemy.

³ Ludowa Republika Katalonii – samozwańcze państwo, niepodległość którego ogłoszono w 2022 roku. Początkowo pod naciskami Hiszpanii wykluczone z Unii Europejskiej, a następnie przyjęte do powstałej na jej miejscu Europejskiej Unii Narodów w 2025 roku.

- Będziemy tu czekać jeszcze co najmniej kilkanaście godzin, zanim ruszymy, wszystko z nas wyparuje – przekonuje mnie Rustaw. - To i tak mało – są tacy, co czekają po tydzień, dwa. To ci, którzy nie mają u nas gotowych papierów – dodaje.

- Jak się ma szefa sknerę, to nie ma papierów, każdy to wie – mówi drugi z nich. - Wiadomo, pieniądze są najważniejsze – zauważa.

I właśnie wokół pieniędzy toczą się ich rozmowy. O tym, kto ile zarobił za jaki kurs. Gdzie, co można kupić i za ile. Co z dziećmi, gdzie powinny kończyć szkoły i czy w ogóle warto je kończyć. Niby rozmowy takie, jak u nas, ale czuję, że dla większości tych ludzi pieniądze mają kluczowe znaczenie. Tam nie ma mieć, czy być. Mieć oznacza być, a nawet istnieć.

Co pewien czas do koczujących obok samochodów podchodzą mężczyźni w krótkich sportowych spodenkach, koszulkach zachodnich bądź chińskich klubów piłkarskich i podrabianych adidasach zza wschodniej granicy. Wszyscy są spaleni słońcem, a ich skóra przypomina brąz słoneczników. Krótko rozmawiają, czasem z kierowcami przekazują sobie coś z ręki do ręki. Omijają jednak nasze towarzystwo tirowców.

- Co to za ludzie? – pytam swoich nowych znajomych wskazując na młodzieńców.

- To mendi, wiedzą, że ich pogonimy więc nie podchodzą. Oferują niby szybki przejazd przez granicę. Że zapłacą i naszym i waszym – mówi Rustaw. Szukają tych, którzy pierwszy raz jadą przez granicę i dają się nabrać. Pieniądze znikają w rękach chłopaków równie szybko, jak się pojawiają. Sami naganiacze też znikają. Oczywiście żadnego szybszego przejazdu nie ma.

- Tylko nie myśl, że wasi nie biorą – śmieje się Naksyn. Alkohol wyraźnie poprawia mu humor. - Też biorą, tylko nie tak otwarcie i nie od tych siusmajtków. Pieniądze idą naokoło. Pomyśl, dlaczego jednego dnia, jest kolejka, a drugiego dnia, nie – pyta retorycznie Rustaw.

Rzeczywiście, przypominam sobie nieliczne publikacje o tym, jak granica pulsuje. Jak jednego dnia jest nie do przejechania, a drugiego dnia kolejka ustawia się tylko na poboczu, a po samym przejściu hula wiatr. Tak jest najczęściej wtedy, gdy jest zmiana, która nie bierze. Albo gdy na granicy akurat jest kontrola. Media o tym najczęściej milczą. Piszą o tym za to w portalach społecznościowych ci, którzy często jeżdżą.

Kierowcy chcą mi jeszcze nalać. Odmawiam - czuję zagrożenie alkoholowe. Boję się, że jeśli jeszcze z nimi posiedzę, skończy się to źle dla mnie i nie będę w stanie prowadzić nawet za parę godzin. Dziękuję i wychodzę zza ciężarówki. Mijam dziesiątki kierowców, którzy z nudów wychodzą przed auta, sprawdzają czy pakunki dobrze leżą. Upewniają się w tym po raz dziesiąty, czy setny. Sprawdzają opony i rozmawiają ze swoimi kolegami, najczęściej o tym, gdzie pracują i ile zarabiają. Ci którzy są na stałe na Zachodzie przekonują się, że dokonali dobrego wyboru żyjąc za granicą. Właściwie nikt nie mówi o polityce, poza komentarzami typu: rozkradli cały kraj, są bezkarni, nakradli się i co, weź, lepiej już nic nie mów. Tak kończyły się dyskusje. Tematem numer jeden było to, gdzie i jak można lepiej zarobić. Dzieci śpią albo biją się ze swoim rodzeństwem, a jeśli go nie mają, to robią to z rodzicami. Samochody rozgrzewają się do granic możliwości, a załadowane na dachach bagaże pełnią funkcję naturalnej izolacji od lejącego się z nieba żaru.

Idę do swojego samochodu. Czuję, że alkohol zaczyna działać. Przypominam sobie, że w kieszeni mam tabletki Alko Sztop ze Zjednoczonego Królestwa Wielkich Węgier⁴, które w ciągu godziny usuwają małe dawki alkoholu ze krwi. Łykam. I tak będę musiał poczekać.

Próbuję złapać jakąś stację, ale w tym polu odbiera tylko Narodowe Radio 1. Jak zwykle w takich miejscach. Znów mowa o tym, że Europejska Unia Narodów powinna zjednoczyć się z Konfederacją EuroAzji⁵. Dzwonią słuchacze:

⁴ Zjednoczone Królestwo Wielkich Węgier - utworzone w 2025 roku państwo składające się z terenów zamieszkałych przez Węgrów na terytorium dawnej Ukrainy, Rumunii i Słowacji. Rządzone przez króla Orbana I. Luźno związane z Europejską Unią Narodów, ale pozostające w jej składzie.

⁵ Konfederacja EuroAzji - była Federacja Rosyjska, luźny związek państw, który powstał po nagłym zgonie wieloletniego prezydenta Rosji Władimira Putina. Świętomir Kołowrat, który objął po nim władzę, wprowadził prawosławno – słowiańską dyktaturę, co zakończyło się ogłoszeniem niepodległości przez Kaukaz Północny i Tatarstan, zbuntowali się też mieszkańcy dalekiego wschodu Rosji. Niepodległości zażądali także Uzbecy, którym wcześniej władze Moskwy dały prawo do utworzenia autonomii w południowo – wschodniej części stolicy. Po 3-letniej wojnie

- Chciałem wszystkich zachęcić do tego, abyśmy przestali patrzeć w jedną stronę – mówi jedna z nich, chyba kobieta, choć głos równie dobrze może należeć do starszego mężczyzny. - Od dłuższego czasu obserwuję to co się dzieje w Konfederacji EuroAzji i to, co tam się dzieje, tam nie ma zgnilizny moralnej, nie ma tych parad gejów i lesbijek, które są w niektórych państwach EUN.

- U nas też nie ma. Jak pani (aha, czyli jednak kobieta) zapewne wie, są za to kary! - interweniuje prowadzący.

- Proszę ojca! U nas nie można organizować marszów, a tam sama sodomia jest karana dożywociem – zapewnia słuchaczka. - My nie powinniśmy patrzeć tylko w jedną stronę. Nie po to Bóg nam dał dwoje oczu i dwoje rąk i dwa płuca, czyż nie? - pyta retorycznie.

Odpywam. Wypity alkohol w połączeniu z upałem wpływa zdecydowanie usypiająco. Alko Sztop też mnie otepia. Pamiętam jeszcze wiadomości: kolejne wypadki w kraju, to te mniej śmiertelne, bardziej śmiertelne te za granicą, polityczne batalie, jak zwykle o przeszłość jednego z polityków rządzącej koalicji i daczego handel w piątek w Republice Marsylii i Nicei wchodzącej w skład Europejskiej Unii Narodów nie może być zakazany, jak żądają tego muzułmanie, którzy domagają się takich samych praw, jak chrześcijanie. Znów napięcie w Izraelu. Zasypiam.

Budzi mnie dopiero po 3 godzinach trąbienie samochodów stojących za mną. Przez chwilę nie mogę zorientować się, gdzie jestem i ile spałem. Automatycznie odpalam silnik, ocieram czoło, okazało się, że kolejka posunęła się mocno do przodu. Podjeżdżam do specjalnej śluzy dla obywateli EUN. Muszę wysiąść z auta i przyłożyć paszport do czytnika. Chwila ciszy i słychać skrzyp bramy. Czekam, chciałbym zobaczyć już co jest dalej, jak wygląda PK. Nie widzę nic. Śluza wygląda, jak ogromne pudło na buty. Przede mną szarość. Nad sobą widzę tylko niebo. Podjeżdżam samochodem, brama się zamyka. Przede mną druga brama, też zamknięta. Z jednej ze ścian z niemal niewidocznych drzwi wychodzi funkcjonariusz. Dziś akurat na zmianie są Polacy. Sprawdzają mój paszport w specjalnym czytniku. Odcisk palca, spojrzenie w kamerę, odczyt rogówki. Kontrola auta. Wszystko przebiega dość sprawnie. Jasne jest skąd jestem i kim jestem, wszystkie informacje wyświetlają się na monitorze, a jednak funkcjonariusz się dopytuje:

- Po co pan tam jedzie? Podobno tam niedźwiedzie chodzą po ulicach i czołgi stoją na każdym rogu. Koło pomników Czerwono - Czarnego⁶! Ci patriot-nacjonaści to nas nienawidzą – mówi wąsaty strażnik. Zapewne pochodzi z okolicznych regionów, gdzie pamięć o tych wydarzeniach cały czas jest żywa.

- Jadę żeby to sprawdzić, jestem reporterem i chcę być tam, gdzie inni nie docierają. Chcę opowiedzieć prawdę – odpowiadam. Funkcjonariusz już nie komentuje, wydaje mi się, że stracił zainteresowanie. Każe mi poczekać aż otworzy się śluza. Najwyższy czas bo zaczynam odczuwać lekką klaustrofobię. W końcu wyjeżdżam z „pudełka”. Obok mijam ogrodzone wysokim płotem z siatki stanowiska dla obywateli PK.

Jadę powoli, specjalnie otwieram okna. Po prawej odprawiany jest 60-letni mężczyzna. Nie jest łatwo, zostaje skierowany na dodatkowe badanie okulistyczne ponieważ rogówka mogła zostać przeszczepiona.

- Chciałeś przecwaniaczyć, co? - zwraca się do niego funkcjonariusz. Tym razem jest to chyba Słowak. Miesza wszystkie języki słowiańskie. To „border Slavic”, jeden z najmłodszych języków Europy, który narodził się w tej części kontynentu niemal 50 lat temu, a od 10 lat jest wykładany we wszystkich uczelniach dla Straży Granicznej EUN.

- Paszport jest prawdziwy, sam zobaczysz – odpowiada mężczyzna.

- My się znamy, że mówisz do mnie na ty?

- Ty też do mnie mówisz na ty.

terrorystycznej, w której zginęło 28 tysięcy osób, głównie cywilów, i długich rozmowach pokojowych w Tiranie w 2027 roku zdecydowano o powołaniu Konfederacji EuroAzji.

⁶ Czerwono - Czarny – legendarny przywódca z Zachodniego Departamentu PK, którego prawdziwe imię i nazwisko dotąd jest nieznane. Brał udział w wojnie obronnej przeciwko Rosji w latach 2014 – 2021, a także w historycznym sporze z Polską w latach 2027 – 2029, znanym jako wojna cmentarna, w wyniku której zniszczono 127 miejsc pamięci w obydwu krajach. Zakończona po rozmowach pokojowych w Ostrawie.

- Co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie – patrzy groźnie pogranicznik. Kłótnia mogła przerodzić się w poważne kłopoty dla obywatela PK, w tym momencie podchodzą jednak koledzy strażnika i zabierają podejrzanego na badanie rogówki. Obok maglują innego mieszkańca PK.

- Przekroczyłeś termin pobytu o dwa dni. Co robiłeś? - mówi funkcjonariusz. On też mówi perfekcyjnym „border Slavic”. Inni do wyjątkowo opornych bądź też przybyszów z dalszych krajów stosują prosty angielski, tak zwany, „border English”: where from, where to, visa, give passport, open luggage. Teraz jednak nie było takiej potrzeby.

- Proszę pana, to nie specjalnie, samochód mi się popsuł, mam dokumenty. Dogadajmy się!

- Ze swoimi się będziesz dogadywał, my łapówek nie bierzemy, pokazuj dokumenty, jak będą w porządku dostaniesz mandat za te dwa dni i będziesz mógł przejechać. Nawet ci misia do paszportu nie wbijemy.

Nie mogłem dalej patrzeć na to, jak rozwija się sytuacja bo funkcjonariusze otwierają już kolejną bramę, która ostatecznie przenosi mnie do PK. Żegnaj Europejska Unio Narodów! Przed sobą widzę hasło „Witamy w pierwszym na świecie Państwie Korupcyjnym” wykonane ze złotych cekinów na fioletowym tle. Billboard ma sprawić wrażenie panującego bogactwa. Obok stoi wielki krzyż otoczony wianuszkami czerwono – czarnych flag. „Czerwone to krew, czarne to ziemia. Was wita Zachodni Departament” - to hasło umieszczono nad krzyżem. Pod nim wykuty w kamieniu napis: „Zawsze sobie wierni”.

Szybko zwracam uwagę na coś zupełnie innego. Wjeżdżające z Zachodu samochody ustawiają się w kilku dość chaotycznych rzędach na ogromnym placu, na końcu którego są budki strażnicze. Między autami biega kilkudziesięciu starszych i młodszych mężczyzn i kobiet, którzy pytają o coś kierowców, odbiegają, podbiegają do budek i wskazują strażnikom konkretny samochód, który później przebija się przez chaotycznie ustawione auta, aby poddać się kontroli. Każdy zatrzymuje się przy stojącym przed każdą budką strażników chłopaku, czy dziewczynie, z którym przed chwilą rozmawiał, otwiera okno, przekazuje pieniądze i przejeżdża do kontroli granicznej.

- To chyba maklerzy graniczni, o których czytałem wcześniej – zastanawiam się głośno, ale już do mnie podbiega jeden z nich. Na oko 65-letni mężczyzna w szarym wypranym podkoszulku z nazwą paryskiego klubu sportowego Paris Germain⁷ i wytartych jeansach, pyta mnie, ile zapłacę. Mówię, że jestem dziennikarzem i że nie płacę. Nie jestem przecież handlarzem, ani pracownikiem sezonowym.

- Panie, tu wszyscy płacą. Ile dajesz, pytam ostatni raz. Jak nie, przejedziesz pan jutro. Obok jest kolejka dla takich frajerów, jak pan – widzę, że jest zdenerwowany, gdy to mówi. Uciekają mu klienci, a ja boję się, że groźba może zostać zrealizowana i utknę tutaj na wiele godzin. Rzucam: dwieście i już za chwilę jadę, choć chyba przeforsowałem trochę z kwotą. Przy budce mój opiekun już z wdzięcznością wyciąga rękę, daję mu zwitek banknotów, on od razu przekazuje część dziewczynie w różowej świecącej bluzce z napisem Nike i w spodniach od dresu Versace z dwoma złotymi paskami po bokach. To ona zbiera pieniądze, które później od razu przekazuje do budki strażniczej.

Wszyscy uwijają się jak w ukropie ponieważ każdy chce, jak najszybciej i jak najwięcej zarobić. Celnik i strażnik graniczny też. Obydwaj są doskonale wyposażeni. Mają wszystkie odpowiednie przyrządy, które mogą im pomóc w wykryciu ewentualnego przemytu: lusterka, kamery termowizyjne, cały zestaw przyrządów do badania gęstości płynów i materiałów stałych, a także czytniki paszportów, które pozwalają natychmiast rozpoznać podrobione dokumenty. Nikt nie sprawdza dodatkowo siatkówki oka ponieważ jest ona skanowana w niezauważalny sposób jeszcze przy podejździe do budki. Chińskie technologie, o których my możemy tylko pomarzyć.

Strażnicy nie są jednakowo wyposażeni ponieważ nie dostają mundurów ani sprzętu z rozdzielnika, a kupują za własne pieniądze, aby lepiej kontrolować przyjeżdżających i zwiększyć swoją wydajność, a tym samym otrzymać większe pieniądze z łapówek. Czasem sprzęt mogą wypożyczyć, za odpowiednią kwotę, od kierownika przejścia. Najlepiej wyposażeni są ci z tych

⁷ Słowo Saint zostało usunięte z nazwy kilka lat wcześniej, aby nie razić uczuć religijnych muzułmanów.

punktów granicznych, gdzie jest największy ruch. Same budynki też są najbardziej zadbane właśnie w tych miejscach. Nie ma co się dziwić bowiem celnicy zrzucają się do specjalnego funduszu, aby wspólnym wysiłkiem remontować swoje miejsce pracy. Oddają też część zebranych pieniędzy kierownikowi przejścia, który z kolei rozdziela zebrane sumy dla swoich przełożonych i kierownictwa regionu, które z kolei przekazuje pieniądze dalej do Stolicy.

Stąd na przejściu panował miły chłód kontrastujący z upałem otoczenia, nie mówiąc już o rozgrzanej klaustrofobicznej służbie. Pod dachem zamontowano ogromnej mocy klimatyzatory, które chłodzą powietrze.

Gdy funkcjonariusze kontrolowali moje dokumenty i przeglądali bagaże, choć może lepiej powiedzieć testowali za pomocą różnego rodzaju urządzeń zauważyłem, że skrajny pas wygląda całkowicie inaczej. Nie jest tak dobrze wyposażony, jest tam tylko jeden strażnik, który wszystko robi bardzo powoli, nie spiesząc się. Przed nim stoi długa kolejka samochodów, głównie na zachodnich numerach.

- Panowie, a co to za taki dziwny pas? - spytałem jednego ze strażników obsługujących moje auto.

- Na wycieczce pan jesteś? To jest przejście, a nie atrakcja turystyczna – odburknął. Stojący obok mężczyzna, o którego majątności świadczyło chińskie auto półautomatyczne, postanawia mi jednak odpowiedzieć. W ogóle ludzie w PK są dość pomocni i życzliwi, o czym przekonam się jeszcze wielokrotnie później. Dziwi to, że przy wszechwładnych rządach pieniądza, są w stanie zachować w sobie tak dużo zwykłego człowieczeństwa.

- To jest pas dla tych, co nie mają pieniędzy albo nie chcą płacić za przejazd i odprawę. Celnicy nazywają ich „botanikami”, to najmilej. Bo najczęściej mówią o nich frajerzy – zaśmiał się odsłaniając całą gamę różnobarwnych zębów. To był najnowszy hit na wschodzie. Zęby zmieniające kolory w całej gamie tęczy. Dostępne tylko dla naprawdę bogatych. - I to są frajerzy bo każdy wie, że „Czas to pieniądz” - tłumaczy i pokazuje mi hasło zawieszony nad budkami strażniczymi. Teraz rozumiem, że to właśnie tam mogłem czekać „do jutra”.

- Ten co tam pracuje od nas to „koziół”. Tak go nazywamy – wcina się w naszą rozmowę drugi strażnik, który mnie kontroluje. - Codziennie go losujemy. Tam się nic nie zarobi, ale powiedzmy, że tak jest uczciwie, możemy sobie na to pozwolić. Poza tym nasi księża mówią, że to taka danina dla biednych – konstatuje i od razu pyta mnie, ile płacę za przejazd. Rozpoczyna się coś o czym czytałem jeszcze przed przyjazdem do PK w poradnikach nielicznych podróżników. To bardzo istotny moment – negocjacja łapówki. Jestem zalewany gradem pytań: dokąd jadę, po co, wyceniane są moje możliwości. Pada suma:

- Odprawa 3%

- 3% czego? - dziwię się.

- 3% wartości auta. I to wszystko. Samochód jest w porządku, bagaż zeskanowałem też, ale usługa darmowa nie jest. Płacisz i jedziesz – odpowiada funkcjonariusz.

- Jadę napisać o waszym państwie, a nie handlować, mam listy polecające – wygrzebuję z teczek pisma otrzymane od miejscowych oligarchów, dzięki którym zresztą uzyskałem wizę do PK. Funkcjonariusz przegląda dokumenty. Widzę, że na niektóre patrzy z uznaniem.

- 2,5%. To ze zniżką. Niżej nie zejść. Ja pracuję na swojego zwierzchnika, a on na swojego, a ten na tego ze Stolicy. Każdy musi zarobić – mówi twardo. - Muszę z czegoś żyć, nie będę do was dopłacać. Nie po to inwestowałem w sprzęt żeby teraz nic nie zarabiać.

Wiem, że to prawda. Rozumiem tych ludzi, którzy są skazani na życie w takich warunkach i w tym systemie. Są właściwie pozbawieni demokracji i prawa wyboru. Nie widzą innego sposobu życia. A może nawet widzą i wcale nie czują się skazani, a jest im po prostu dobrze? Strażnik pokazuje mi na kalkulatorze, ile dokładnie mam zapłacić. Wskazuje też specjalną szarą skrzynkę na niebieskiej szafeczce z podpisem: dla łapówek. To stary zwyczaj, że pieniądze nie idą z ręki do ręki, a są kładzione choćby na chwilę w jakieś miejsce. Kiedyś miało to znaczenie dla organów ścigania, teraz korupcja już dawno jest nie tyle dozwolona w PK, co jest oficjalnym systemem państwowym, ale jednak ta tradycja, właściwie można powiedzieć: przesąd, została jeszcze zachowana.

- Do widzenia, do zobaczenia, dobranoc – wymieniamy się ze strażnikami umownymi uprzejmościami i odjeżdżam. Dorzucam jeszcze na koniec kolejne 50 cywilowi, który otwiera szlaban kończący teren granicy. Mógł przecież nie otworzyć. To młody funkcjonariusz, zapewne praktykant, który dopiero uczy się życia na przejściu.

Jestem wreszcie w PK.



Rozdział II, który opisuje drogę do Republiki Bursztynowej, z którego dowiemy się, co to są winiety A+ i co można przeczytać w piśmie „Kombinator”

Po przejechaniu granicy oddycham z ulgą. Zawsze dostaję dużego kopa energetycznego, który pozwala mi jechać dalej. Nie wiem, dlaczego, może to jest ten moment, w którym znika silny stres, a może jest to związane z tym, że oczekuję nowych wrażeń. Szczególnie tutaj, gdy przekraczam granicę cywilizacji. Trochę inaczej odczuwam to na Zachodzie, gdzie kontrole między państwami są sporadyczne i raczej opierają się na działających niezauważalnie dla zwykłego człowieka systemach śledzenia.

Teraz widzę mur od drugiej strony, który nie jest tak imponujący, jak ten po naszej stronie, ale też robi wrażenie. Wzdłuż niego chodzą żołnierze. Przy drodze prowadzącej do przejścia nie ma kolejek, są za to namioty tych, którzy próbują się wydostać z PK, czekają na dokumenty, a gdy ich nie mają, chcą ukryć się w zatrzymujących się tutaj jadących na Zachód ciężarówkach. Najbardziej zdesperowani chcą przeskoczyć przez pas ziemi niczyjej. I nie mają szans, w ciągu ostatnich 10 lat udało się to pojedynczym osobom. Całkiem niedawno, parę lat temu, zaostrzono prawo emigracyjne, znacznie utrudniając wyjazd z kraju. Ze względu na problemy z siłą roboczą, szczególnie w zachodniej części PK. Choć oczywiście można wykupić sobie odpowiednie pozwolenie, ale jest to rzecz dla ludzi zamożnych.

Widzę teraz tych, którzy starają się wyjechać, zatrzymują samochód, próbują z nimi porozmawiać. Większość to młodzi ludzie, w wieku 20 – 30 lat. Sami mężczyźni.

- Tu nie ma przyszłości, już było tyle zmian, a żadna z nich nie była dobrą zmianą. Przynajmniej dla nas. Mieliśmy ustrój prezydencki, demokrację, gównokrację, a teraz ustrój klepto-oligarchiczny.

- Nic a nic nie posuwamy się do przodu. Wiem, jak się żyje na Zachodzie, ale co z tego jeśli nie mogę tam wyjechać, choć mam tam rodzinę. Czuję się, jak w więzieniu.

- Trzy razy mnie zawracali, powiedziałem sobie jeszcze dwa razy i za szóstym idę na druty. A jak nie, to spróbuję dostać się przez Konfederację Euroazji do Chin. Tam dopiero jest życie! Tyle że daleko.

- Czy wy nie możecie jakoś zaszantażować tych naszych, przestać od nich kupować stal, olej i zboże żebyśmy mogli normalnie żyć, żeby dali nam trochę swobody.

- My, czyli kto – dopytuję.

- Wy, czyli Zachód. Kiedyś cisnęliście, a teraz... Ta wasza Unia to już nie to, co kiedyś - nie kończy zdania i odchodzi do brudnego namiotu rozstawionego na zakurzonej poboczku.

Oni chcą rozmawiać, chcą się wyzalić. Widać w nich smutek, a czasem złość za to, że właściwie przehandlowaliśmy ich za święty spokój. EUN ma jednak wiele innych problemów, o wiele bardziej aktualnych dla mieszkańców swoich krajów członkowskich i woli mieć na Wschodzie wszystko poukładane, a nie ciągłe rewolucje, walkę o prawa człowieka i demokrację. Obecny system jest doskonale przewidywalny w swojej obrzydliwości, ale daje to, czego oczekuje większość zarówno w tym kraju, jak i w każdym innym. Daje stabilizację i brak niespodzianek.

Niespodzianki dają jednak drogi. Początkowo jadę spokojnie dobrej jakości asfaltem. Nie dziwię się bo to w końcu najbogatsza część PK, może poza Stolicą. Zaczęła rozwijać się kilkanaście lat temu dzięki żyznym ziemiom, a także dzięki zyskom z granicy. Jednak 10 - 20 kilometrów od przejścia idealna nawierzchnia obrywa się i zaczyna asfalt składający się z dziur oraz łat nałożonych na liczne jamy. Czasem jedna łata zakrywa drugą, każda jest innego koloru: czarne, szare, rude, a czasem nawet zielone.

Moim celem jest Malinów, kiedyś niewielka kilkudziesięcioletnia miejscowość, a obecnie stolica Republiki Bursztynowej licząca około dwustu tysięcy mieszkańców. To państewko wchodzące w skład Pierwszego Korupcyjnego zostało powołane w 2022 roku, kiedy to okazało się, że władze centralne nie są w stanie odzyskać kontroli nad terenami, na których wówczas jeszcze nielegalnie wydobywano bursztyn.

Do Malinowa muszę jeszcze dojechać – to około 300 kilometrów od granicy. GPS uparczywie pokazuje mi, że mam jechać prosto, jednak to właśnie tu urywa się droga, a w prawo

jest coś, co można uznać za boczną ulicę, za to ze świetną nawierzchnią. Skręcam. GPS skrzeczy: Zawróć, zawróć”. Nie poddam się jednak maszynie. Jestem bliski, aby ją wyrzucić, ale wiem, że to małe urządzenie jeszcze pewnie mi się przyda. Jadę zatem doskonałą drogą, płaską, jak deska. Chciałbym żeby w EUN takie były. Ale nie pojadę daleko – bowiem kilkaset metrów przede mną widzę wysoki zielony płot z betonu i blachy. Ma co najmniej 5 metrów wysokości. Z dala wydawało mi się, że to ściana lasu. Pomyliłem się. Po środku była brama. Zatrzymuję się. Z lekko uchylonych drzwi umieszczonych w ogromnych wrotach wyskakuje dobrze zbudowany i uzbrojony strażnik.

- Co pan tu robisz? To teren prywatny! - krzyczy na mnie mocno gestykując. Chiński automat XiaKau dynda u jego szyi i żyje cichą nadzieją, że nie został odbezpieczony.

- Myślałem, że to jest droga do Malinowa – mówię. Ochroniarz uspokaja się widząc zachodnie rejestracje.

- Panie, droga do Stolicy i do Malinowa prowadzi prosto z przejścia, to jest osiedle C-1, Sucha Łąka Extra Luxury – tłumaczy o wiele spokojniej.

Staram się przedłużyć rozmowę i spoglądam przez ramię, jak wygląda tego rodzaju osiedle. Za jego plecami ciągnie się spokojna, pełna zieleni uliczka, jak z amerykańskich filmów z lat '50 XX wieku, przy której stoją domy, a właściwie pałacyki. Każdy obowiązkowo z kilkoma wieżyczkami i marmurowymi lwami. Niektóre mają przed sobą niewysokie murki, nie wyższe od dorosłego mężczyzny, obite blaszanymi złoceniami, w których umieszczono szkło i kamienie imitujące diamenty. Niektóre są ogrodzone jednak wysokimi murami. Widać tylko wystające zza wielometrowych płotów wieżyczki. Poraża czystość, która kontrastowała z tym, co działo się przed bramą. W lesie, na bocznych piaskowych drogach odchodzących od tej głównej z asfaltem, jak deska, widziałem góry śmieci, powyrzucane butelki, lodówki, opony, kuchenki gazowe, czy gruz.

Ochroniarz zauważa, że patrzę z ciekawością na widok za jego plecami. Cofa się trochę i zamyka niewielkie drzwi.

- Koniec pokazu. Wracaj pan na swoją drogę, bo wezwę policję. Tutaj mieszkają ważni ludzie, którzy zasługują na spokój – kończy.

Nie poddam się jednak.

- Mogę zapłacić – staram się przekonać.

- Oni też płacą – pada odpowiedź.

- Mogę zapłacić więcej.

- Nie, nie możesz pan. Jedź pan dalej bo mam prawo strzelać. Zawsze mogę powiedzieć, że to we własnej obronie. Naprawdę nie warto.

Doceniam to, że ten starszy już mężczyzna jednak jest w stanie rozmawiać ze mną kulturalnie. Wsiadam z powrotem do auta i odjeżdżam. Wizyta na takim osiedlu byłaby bezcennym doświadczeniem. Jak się jednak okazuje, takiej wycieczki nie da się kupić. Nawet w Pierwszym Korupcyjnym. Kto może tu mieszkać? Kilkanaście minut jazdy od granicy, czyli stawiam na to, że funkcjonariusze straży granicznej i celnej. I jak się później okazało, nie pomyliłem się.

Idealnie wyasfaltowaną drogą wracam na trasę główną. GPS jest wreszcie zadowolony, że jestem właśnie na niej. Ja mniej - rzeczywistość okazuje się gorsza niż myślałem. To nie jest polna droga. Po polnej samochód jedzie jednostajnie, choć nie na dużej prędkości. Tutaj wygląda to na starą drogę całkowicie zniszczoną przez wielonaczepowe TIRy kursujące nowym jedwabnym szlakiem między Chinami a Zachodem, które walczą z dziurami jednocześnie je pogłębiając. W niektórych miejscach szosa całkowicie niknie i składa się tylko ze żwiru i ogromnych dziur i zagłębień. Właściwie jest tylko kierunek. W takich miejscach zazwyczaj umowna „trasa” rozpełza się, jak plama. Każdy stara się ominąć dziury poszerzając tym samym terytorium przeorane przez auta. Na poboczu mającą poprzekrzywiane stare znaki ograniczenia prędkości, obecnie całkowicie nieprzydatne. Po co ograniczenie do 60 kilometrów, jeśli faktycznie można jechać maksimum 20 na godzinę. Rdzewiały także znaki z odległościami do Stolicy.

GPS pokazuje, że do Malinowa mam jeszcze około 250 kilometrów. Po tego rodzaju drodze szybko nie dam rady tam dojechać. Decyduję się na nocleg. Nie ma tu żadnych miejscowości, jest

tylko jednostajne pole, które w pewnym momencie zmienia się w las. Potem znów wraca pole. Potem jest bagno i znów las i pole, las, pole i bagno.

Walczę ze snem, ale po około 2 godzinach poddaję się. Robi już się naprawdę ciemno. Po drodze widziałem kilka moteli dla kierowców TIRów: wielkie parkingi z małymi domkami, w których mieszczą się pokoje, łazienki i restauracja oraz bar. Teraz już wiem, że będę się musiał tam zatrzymać. W tym, który wybieram, błyska na czerwono dwumetrowy neon z kieliszkiem i tańczącą wokół niego kobietą. Obok są dwa żółte karabiny XiaKau, a pod nimi zapalające się i gasnące zielone banknoty. Całość ogrodzona jest tradycyjnym wysokim murem, na szczycie którego są wtopione w beton potłuczone butelki, a na deser jeszcze nad nimi drut kolczasty. Na każdym rogu widzę wysokie wieżyczki z ochroniarzami, bronią i reflektorami przeciwlotniczymi. Tu na pewno można czuć się bezpiecznie.

Podjeżdżam przed bramę, wysiadam i podchodzę do budki z napisem „Ochrona / Recepcja”. Za szybę wetknięta jest kartka „brak miejsc”. Pamiętam jednak, że w tym kraju zawsze można się dogadać, nawet gdy niby nie ma miejsc. Pukam. Otwiera się żelazne okienko. Za prętami widzę twarz starszego nieogolonego mężczyzny z lekko tłustymi włosami i nieokreślonym porządkiem różnego koloru żółtych zębów. To nie efekt mody, a tytoniu.

- Dobry wieczór, szukam noclegu na jedną noc.

- Wszyscy szukają.

- Ale ja szukam bardziej – mówię podając przez pręty banknot.

- Wszyscy szukają bardziej. Może za mało szukają – słyszę zza prętów odpowiedź z akcentem na „za mało”. Wyjmuję kolejną dziesiątkę.

- Myślę, że coś się znajdzie. Zaraz zadzwonię do kierownika – stalowe okienko zostaje zamknięte. Z wnętrza słychać: tak, tak, nie, oczywiście, wyjedzie, tak, pewnie. Okienko się otwiera.

- Panie, kierownik może panu załatwić miejsce w jedyńce, ale trzeba zapłacić. Śpi tam jakiś studenciak, przerzuci go do sali wieloosobowej dla tirowców. Ale to będzie kosztować. Ze dwieście. No chyba że pan chcesz z plebsem, to będzie sto.

Nie chcę spać sam. To nie ma sensu. Wolę poczuć ten kraj bez żadnych upiększeń. Dlatego tę noc spędzę w sali ogólnej z kierowcami ciężarówek. Na razie otwiera się wysoka, kilkumetrowa brama. Wjeżdżam na terytorium ochraniane przez uzbrojonych ludzi w mundurach. Jest ich kilku. Nie wiem, czy czuć się bezpiecznie, czy wręcz przeciwnie. Jeśli ochraniają, znaczy że przed kimś. Jestem jednak zbyt zmęczony żeby się nad tym zastanawiać. Parkuję samochód we wskazanym miejscu, zabieram niewielki bagaż ze sobą i idę do stołówki.

Siedzi tam kilku kierowców TIRów, którzy oparci o stoły pałaszują grochówkę, placki ziemniaczane, nieokreślone kawałki mięsa, pierogi, barszcz i bigos – podstawowe menu wszystkich tego typu zakładów w tej części Europy. Zamawiam kotlety z kaszą gryczaną, sałatkę z buraków i piwo. Znajduję wolne miejsce i słucham mężczyzn wymieniających się poradami dotyczącymi przekraczania granicy. Jak zrozumiałem, kierowcy pochodzili z różnych państw kontynentu, ale głównie z PK.

- Dajesz pierwszemu z nich i potem masz spokój – mówił facet w czerwonym siatkowym podkoszulku. Wszyscy są ubrani w podobne podkoszulki, spodnie od dresu i klapki.

- E tam, ja wsunąłem w paszport, a i tak bydlak powiedział później, żebym kurwa zapłacił – mówi najmłodszy z nich.

- Człowieku, bo cię nie zrozumiał! W paszport to się wsadza na Zachodzie, a tutaj dajesz otwarcie na stół. Oni nie rozumieją, jak będziesz ukrywać kasę. Ja kiedyś dałem w paszporcie, to gość mi mówi: panie, chyba pan coś zapomniał i wtyka banknot z powrotem do ręki - dodaje trzeci z siedzących przy stole obok. Wszyscy śmieją się, piją po kieliszku wódki i zapijają piwem. Mają do swojej dyspozycji pół litra wódki i po pół litra piwa.

W rogu wisi stary telewizor pokazujący wiadomości w kanale należącym do Lorieksa Arwila, czyli jednego z oligarchów, który teraz zajmuje stanowisko przewodniczącego Rady Nadzorczej Państwa. Mówiono o urzędniku zatrzymanym za to, że wziął łapówkę i nie oddał doli swojemu naczelnikowi. „Kierownik administracji rejonowej wziął od miejscowego biznesmena 40 tysięcy za zgodę na wydobycie bursztynu, jednak nie przekazał 30% wyżej. Już nad ranem w

gabinecie czekali na niego funkcjonariusze Policji Łapówkowej, którzy przedstawili mu zarzuty dotyczące nie odprowadzenia do władz centralnych wyznaczonej w porozumieniu oligarchicznym sumy” – informuje spikerka, a jej słowom towarzyszą obrazy przedstawiające leżącego na ziemi młodego mężczyznę oraz rozłożonych obok niego na podłodze banknotów. Zatrzymanie miało miejsce rano bo facet był w bokserkach i pijackim podkoszulku, wyraźnie zaspany i niedogolony. Z tyłu siedziały dwie wystraszone i zgarbione dziewczyny zasłaniające swoje ciała rękami, a twarze rękami. Jedna blondynka, druga brunetka. Prowadząca zapowiedziała, że teraz cała suma trafi do Funduszu Łapówkowego, z którego zostanie rozdzielona wszystkim jego udziałowcom. Później była stała, sądząc z przerywnika, rubryka zatytułowana: „Z życia opozycji”. Opowiadano w niej o tym, jak opozycjoniści (ci którym udało się cudem przeżyć pierwsze burzliwe lata Pierwszego Korupcyjnego, gdy po prostu odstrzeliwano ich na ulicach), żyją z pieniędzy z Zachodu. “Młoda opozycjonistka mieszka w stołecznym apartamencie kupionym jej przez zachodniego dyplomatę. Nie mieszka tam jednak sama – towarzyszy jej młody, deklarujący się jako niezależny, dziennikarz, który też żyje z pieniędzy otrzymywanych z grantów” - mówił lektor podniesionym do granic swojej skali głosem pełnym potępienia. Tutaj można było zobaczyć rzeczywiście w miarę eleganckie mieszkanie, z nowoczesnym wielkim na całą ścianę telewizorem, kilkoma laptopami i dobrym sprzętem grającym. “Ci którzy nami rządzą kierują się maksymą: Wszystko dla siebie i dla ludzi. Opozycja kieruje się tylko hasłem: Wszystko dla siebie. Czy są nam potrzebni tacy nowi rządzący?” - pytała retorycznie prowadząca po zakończeniu materiału.

- Ma rację – słyszę ze stołu obok.
- Już kiedyś rządzili. Ciągłe rewolucje i protesty.
- I nic nie lepiej.
- Dobra, nie gadamy, oglądamy dalej, jest kronika kryminalna.

W kronice, która trwała mniej więcej tyle co dziennik, było dużo informacji o broni, konfiskacie niezalegalizowanych dochodów, a pod koniec pojawiła się reklama, która pokazywała włamywacza wchodzącego do czyjś domu, później bandytę napadającego na podróżującą rodzinę, a potem złodzieja kradnącego samochód. Wszystko było nakręcone wyjątkowo topornie, łopatologicznie i kończyło się pytaniem pojawiającym się na tle migałki radiowozu: “Czy ty już zapłaciłeś za swoje bezpieczeństwo?” Poniżej logo miejscowej Zjednoczonej Policji: orzeł trzymający w szponach banknoty na tle złotych kłosów z monet.

To pytanie, które padło z telewizora, mnie zaskoczyło. Kończąc obiadokolację i dopijając piwo, pytam moich sąsiadów przy stole obok, o co tu chodzi. Są lekko pijani, ale ten w czerwonym podkoszulku wydaje się gotów do wytłumaczenia.

- Pierwszy raz tutaj?
- Tak. Nie rozumiem, co to za system. Jak mam płacić za swoje bezpieczeństwo?
- Są do tego winiety. Część, a właściwie większość kryminalistów je respektuje i omija tak oznaczone mieszkania, czy samochody, a po drugie masz pan gwarancje, że jako kierowca nie będziesz dojony przez każdy patrol policyjny. No i są zniżki w promocji za niektóre naruszenia.
- Bo są różne winiety, w zależności od sumy masz odpowiedni plan i poziom bezpieczeństwa – dodał drugi.
- Gdzie to kupić?

Mój rozmówca milcząco woła kelnerkę. Okazuje się, że winiety są na najbliższej stacji benzynowej albo też w moim kompleksie hotelowym, ale dopiero rano ponieważ osoba je sprzedająca dziś już wyszła do domu.

Tirowcy zapraszają mnie do siebie. Pijemy wódkę, piwo. Rozmawiamy o tym, po co tu przyjechałem, mówią mi o życiu w PK. Nie jest ono proste. Ramdan opowiada, że pracuje na jedwabnym szlaku, kursuje między Szenzenem a Lizboną. W domu prawie nie bywa. Zarabia na wykształcenie swoich dzieci. Państwo gwarantuje w PK jedynie podstawową edukację – 4 klasy szkoły podstawowej, aby każdy z młodych ludzi umiał czytać i -przede wszystkim- liczyć. To, gdzie później się będzie uczyć zależy od departamentu, w którym mieszka. Szkoły od czwartej klasy wzwyż są finansowane przez miejscowych biznesmenów, którzy szkolą robotników potrzebnych w ich fabrykach, manufakturach i zakładach przemysłowych. Bogatsza młodzież idzie

później do Akademii Urzędów przy Władzach oraz do innych uczelni wyższych. Tutaj dominują politechniki i szkoły handlowe. W stolicy jest jeden wydział socjologii i prawa. Głównym kryterium wyboru jest zdolność finansowa do zapłacenia pierwszej łapówki oraz następnych w toku studiów. Można też przekazywać różnego rodzaju prezenty w naturze, na przykład, wakacje w prowadzonym przez rodziców ośrodku bądź też mięso, czy warzywa z należącej do nich fermy. Nie jest to jednak tak mile widziane, jak gotówka. Niektóre uczelnie udzielają także kredytów łapówkowych. Pieniądze zwracane są dopiero po ukończeniu studiów, gdy były już student staje się na kilka lat faktycznie niewolnikiem uczelni, czy też biznesmena, który odkupił jego długi. Wtedy musi pracować we wskazanym przez nich miejscu. Specjalną kategorię stanowi wyjątkowo zdolna młodzież, która może liczyć na wsparcie kilku najbogatszych oligarchów fundujących jej stypendia, zarówno w kraju, jak i za granicą. Ich dzieci z kolei uczą się przede wszystkim na Zachodzie i w Chinach.

- Ale ja nie mam tyle pieniędzy żeby wysłać ich na Zachód – mówi Ramdan. Choć jeżdżę do was i widzę, że i drogi są lepsze i porządek na ulicach. Nie mówiąc już o Chinach. Moja córka uczy się w technikum turystycznym, co miesiąc muszę płacić 4 tysiące. Żona też pracuje. Ale jest nam naprawdę ciężko.

- U nas też się nie przelewa – komentuje siedzący dotąd cicho Ruman. - Ja mam jeszcze małe dziecko, ale też potrzeba na wszystko pieniędzy. Pieluchy wożę ze sobą z Południowego Berlina. Tam jest dużo taniej.

- Bo u nas wszystko jest droższe. Oni nas mordują tą korupcją – zaznacza trzeci, Rustaw, choć widać, że ogląda się na boki, aby sprawdzić, czy nikt nie słucha. - Ale i tak jest lepiej niż wcześniej – dodaje. Jego zdaniem, teraz politycy się nie kłócą i oligarchowie nie muszą marnować pieniędzy na ich utrzymanie: wystawne życie i drogie kampanie wyborcze. Milcząco zgadzają się z tym wszyscy i znów pijemy. Nasza rozmowa trwa jeszcze trochę, a później idziemy do naszych pokoi. Zasypiam od razu.

Po nocy mam gonitwę myśli, chcę jak najszybciej wyjechać, mam jednak wrażenie, że alkohol cały czas pulsuje mi we krwi mimo że wziąłem kolejną tabletkę Alko Sztop tuż przed snem. Dzielę się tym w czasie śniadania z Rumenem. Radzi mi, abym kupując winietę zapłacił trochę więcej i kupił wersję A+. Pozwala ona na prowadzenie auta mając nawet 1,5 promila alkoholu.

- To dużo. Na pewno tyle nie masz więc spokojnie nie przekroczysz – tłumaczy. - To rozwiązanie dla bogatych, a was z Zachodu pewnie na to stać.

W telewizji tym razem jest program śniadaniowy przeplatany kroniką towarzyską. “Minister energetyki buduje pałac przypominający zamek nad Loarą” – informuje modnie ubrana prowadząca chodząc po kularach sali koncertowej, gdzie odbywa się premiera -jak się wyraziła- „pisma dla poważnych ludzi”: „Kombinator”, w którym znalazły się opisy różnych schematów korupcyjnych stosowanych w Azji, Euroazji i Afryce. “Jeden z nich stworzył samodzielnie szef resortu energetyki, który kupując generatory prądotwórcze wykorzystał kilka firm pośredników należących do najbliższych członków rodziny. Nie tylko w naszym kraju! Był to schemat międzynarodowy” – mówi z zachwytem prowadząca zapewniając, że jego szczegóły zostały opisane w pierwszym numerze pisma i stukając obcasami o marmurową posadzkę kularów w rytm dudniącej z sąsiedniej sali koncertowej muzyki. Pod koniec reportażu elegancko obraca się wprost do kamery i dodaje, że w następnym numerze „Kombinatora” znajdzie się TOP-100 schematów wszech czasów. Później w kronice towarzyskiej pojawił się sam minister energetyki ze złotym zegarkiem za kilkaset tysięcy juanów oraz w drogim garniturze za kilkadziesiąt tysięcy. Żeby te elementy nie umknęły uwadze widzów realizator przygotował stop kadr i za pomocą grafiki komputerowej zaprezentował dokładne sumy. “Zrobiłem to, bo kocham swoją rodzinę. Rodzina jest dla mnie najważniejsza. A rodzina to moje państwo, a ja kocham swoje państwo, swój dom” – zapewniał minister.

- I to jest facet, kocha rodzinę, widzisz. Po prostu zaradny, a nie jak mój jak tylko zarobi parę groszy, od razu przepije – słyszę, jak mówi jedna z barmanek krojąca chleb.

- Pewnie. Najważniejsze, że nie kradnie, tylko bierze dla siebie – mówi druga wypełniając czajniki wrzątkiem.

- Widzisz, tak to u nas jest. Tak myślą ludzie. Inaczej nie będzie – komentuje Rumen.

Po śniadaniu wychodzę na plac. Słysząc warkot silników ciężarówek, czuć zapach spalin. Kierowcy przekrzykują się i ustalają, gdzie dalej spotkają się na trasie. Ci z tych samych firm przewozowych zrzucają się na łapówki dla policji i celników, jeśli jadą w stronę granicy. Kupują je hurtem żeby było taniej. Obowiązują wówczas zniżki.

Żegnam Ramdana, Rumena i Rustawa, którzy wsiadają do swoich trzynaczeponych tirów i odjeżdżają na nowy jedwabny szlak. Sam idę do kanciapki koło recepcji żeby kupić winietę.

- Jaką pan chcesz? – pyta mężczyzna z wąsem przypominający emerytowanego kierowcę TIRa. W telewizji leci film kryminalny: funkcjonariusze miejscowej policji rozmawiają ze starszym facetem w dresie i odblaskowych adidasach o tym, że nie oddał swojej doli ludziom, którzy ochraniaли jego biznes. Dresiarz leżał na ziemi, a policjanci stali nad nim tłumacząc zarzuty. Wąsaty jest wpatrzony w telewizor i nie jest zbyt chętny do rozmowy. Może nawet zdenerwowany, że odrywam go od ekranu. Zagląda do szuflady i wyjmuje niewielką zafoliowaną kartkę z tabelką, na której przedstawiono rodzaje winiet. Na górze widnieje dość toporne logo firmy ubezpieczeniowej: Narodowego Systemu Koordynacji Bezpieczeństwa Zjednoczonych Grup Porządkowych. Zostało ono narysowane w typowym dla PK stylu przypominającym stare radzieckie godła: pośrodku złota gwiazda otoczona kłosami, ale oczywiście, jak to w Pierwszym Korupcyjnym nie zboża, a banknotów. NSKBZGP to de facto konsorcjum zbrojnych ugrupowań należących do oligarchów, które kontrolują poszczególne terytoria. To im podlega policja i inne organy ścigania.

Oprócz podziału na środki transportu w tabelce był jeszcze kolejny podział: kraj, konkretny departament, 3 albo 5 wybranych departamentów plus Stolica. Dochodził też inny podział: zniżka przy łapówkach 30, 50 bądź też 90%. 10% i tak trafiało do funkcjonariusza, który mógł zatrzymać kierowcę w każdym miejscu kraju. Ta kwota nie mogła być negocjowana.

Po prawej stronie niebieski pasek obejmujący wszystkie warianty, na którym napisano: A+=500+. Jak się domyśliłem chodzi o to żeby dopłacić 500 do dowolnej winiety żeby cieszyć się na drogach podwyższoną tolerancją alkoholową. Biorę najwyższy wariant. Pytam jednak, jak będzie funkcjonowała „karta zniżkowa” bo przecież funkcjonariusz może zaśpiewać taką kwotę, z której nawet 10% to będzie dużo. Wąsaty znów niechętnie oderwał wzrok od telewizora:

- Panie, tu liczy się uczciwość. Dogadacie się. Przecież każdy chce jakoś żyć – odparł krótko i wrócił do swojego filmu, gdzie pobity niemal do krwi i zakatowany dresiarz głośno obiecywał policji, że na pewno będzie płacił komu trzeba, a jeśli będzie taka konieczność wycofa się z biznesu oddając go tym, kogo oni wskażą.

Zabieram bagaże i ruszam w drogę. Dziś jeszcze powinienem dojechać do Malinowa.

Wcześniej zdążyłem jeszcze zapytać strażnika w budce, co czeka mnie po drodze. Ten zapewnił, że trasa jest w o wiele lepszym stanie niż ta od granicy do hotelu, że jest tam kilka dużych zakładów przemysłowych, których właściciele złożyli się na asfaltowanie drogi. Choć miejscami zdarzały się kilkusetmetrowe odcinki bez nawierzchni. Ogółem nie powinno być jednak źle: nawierzchnia - tam, gdzie była zrobiona - powinna być gładka.

- Oczywiście po zimie były niewielkie remonty, ale zazwyczaj drogi są robione dobrze bo ci którzy wydają na ich remont kontrolują żeby robotnicy nie kradli materiałów budowlanych. Nikt nie chce wylądować pod asfaltem – roześmiał się ochroniarz i z takim samym uśmiechem schował do kieszeni dwudziestkę, którą mu dałem za udzieloną informację. Dopiero potem otworzył mi szlaban.

Po wyjeździe z parkingu rozpędzam swój samochód po idealnym asfalcie. Znowu radość nie trwa zbyt długo. Po kilkunastu kilometrach droga się kończy. Znowu jest tylko kierunek: piasek i żwir oraz ślady starej asfaltowej drogi. Jadę 10 – 20 kilometrów na godzinę. Razem ze mną męczą się inne auta. Ciężko jest nawet terenowym, nie mówiąc o ciężarówkach.

W oddali widzę szlaban, przed nim stoi kolejka samochodów. Zastanawiam się, czy to nie kolejne osiedle bo za szlabanem widzę bardzo dobrze wykonaną trasę i kilka ładnych domków. Cierpliwie czekam. Po kilkunastu minutach dojeżdżam do bramek.

- Przejazd sto – rzuca mężczyzna w mundurze bez pagonów, ale sugerującym, że kiedyś służył w armii i był to pewnie najważniejszy etap jego kariery i najbardziej jaskrawy okres życia. W mundurze chodzi zapewne teraz i w pracy i po pracy i po zakupy i na działkę.

- Mam winietę! - rzucam.

- Panie, winieta to jest po to żebyśmy pana ja i policja nie zastrzelili, a tu pan płacisz kombinatowi hutniczemu za to, że będziesz pan rozjeżdżać ich asfalt. Zresztą innej drogi nie ma. Przez las pan tą limuzyną nie pojedziesz – podaje ostateczny argument ochroniarz. Płacę i jadę. Nie mam innego wyjścia. W gruncie rzeczy na Zachodzie, czy w Chinach też niektóre drogi są płatne.

Pogoda jest piękna, czuć nawet zapach lasu. Na desce rozdzielczej migoczą cienie drzew. Z dala widać miejscowy kombinat hutniczy. Na drodze mało aut. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że radio, które włączyłem od razu po wyjeździe z hotelu nie gra, a zamiast muzyki emituje sam szum. Zaczynam szukać jakichkolwiek programów. Z głośników leci disco, szukam dalej, znów to samo. Ponieważ to dopiero rano, w niektórych stacjach słyszę programy śniadaniowe, gdzie najczęściej dwóch młodych mężczyzn tłumaczy swojej, udającej znacznie głupszą, koleżance meandry życia. Do jednego z programów, chyba lokalnej stacji, dzwonią słuchacze, którzy zamawiają piosenki. „Chciałam pozdrowić dyrektora naszego kombinatu. Dziękujemy za dobrą drogę, za szkołę i za jabłka, które rozdał naszym dzieciom 1 września. Mamy nadzieję, że w tym roku nasi podopieczni też mogą liczyć na taki wielkoduszny prezent” - mówi na słuch 50-letnia kobieta. Inny dzwoniący także dziękuje temu samemu dyrektorowi „i jego przyjaciołom w Stolicy”, za to, że „może żyć godnie”. Wyłączam w końcu odbiornik. Trasa jest rzeczywiście dobra, nie ma co żałować zapłaconych pieniędzy. Właściwie sam mógłbym zadzwonić do dyrektora kombinatu i mu podziękować. Nie mam jednak tego na głowie, zresztą szybko opuszczam terytorium mu podlegające. Droga znów robi się gorsza. Wiem jednak, że jestem coraz bliżej miejscowej ziemi obiecanej – terytorium Bursztynowej Republiki Związkowej. Wraz ze mną zmierzają tam inne auta. W drugą stronę jadą chronione przez uzbrojonych ludzi w samochodach terenowych ciężarówki.



Rozdział III, z którego dowiadujemy się, jak się żyje w miejscowym Klondike, czyli w najbogatszym poza Stolicą departamencie PK

Zjazd na Malinów znajduję bez problemu. Droga zmienia się z niczyjej złożonej z samych dziur w wyłożoną kostką brukową. Przypomina ona niedługą historię tego miasteczka. Jeszcze dwieście lat wcześniej były tam zakłady ceramiczne, do których wybudowano właśnie tę drogę. Przetrwiała wszystkie kataklizmy: dwie wojny, Związek, jego rozpad, panujące bezhołowie, oligarchiczną demokrację oraz obecne rządy oligarchiczno - korupcyjne. Same zakłady ceramiczne już dawno upadły. Zostały po nich tylko stojące w centrum Malinowa mury z nędzną mozaiką z czasów radzieckich przedstawiającą kobietę w szarym kostiumie nachyloną nad równie szarym glinianym dzbankiem. To zobaczyłem jednak później.

Sam wjazd na terytorium Republiki Bursztynowej przypomina niemal granicę Pierwszego Korupcyjnego. W lesie zbudowano posterunki, na których sprawdzane są bagaże podróżnych, a także przewożone przez ciężarówki towary. Od mojej strony nie ma kolejki. Za to w przeciwnym kierunku widzę pokaźny ogonek aut. Skąd ta sytuacja? O ile zazwyczaj celnicy sprawdzają, co się wwozi na terytorium ich państwa, o tyle tutaj dokładnie sprawdzane są wywożone towary. A konkretnie jeden – bursztyn. Cały wywóz jest kontrolowany przez lokalne władze. Kary za naruszenie miejscowego prawa i eksport bez zgody rządzących w Malinowie są wyjątkowo srogie.

- Witamy w Republice Bursztynowej, panie Pogorzelski – wita mnie uśmiechnięty funkcjonariusz, zanim jeszcze zdążę pokazać paszport. Jest młody, w dobrym, eleganckim mundurze przypominającym te projektowane przed II wojną światową przez najlepszych projektantów. Gdy się uśmiecha widzę doskonale uzębienie.

- Proszę chwilę poczekać w samochodzie, ja na wszelki wypadek sprawdzę dokumenty, zaraz podjedzie jeep, który poprowadzi pana na spotkanie z prezydentem. Gdy zobaczy go pan przed sobą, proszę jechać za nim – precyzuje. Nie muszę długo czekać. Za chwilę pojawia się czerwony samochód terenowy z miejscowym herbem – żółto-pomarańczową grudką bursztynu otoczoną wiankiem gałązek igliwia i pieniędzy. Funkcjonariusz oddaje mi dokumenty. Ruszamy. Na terytorium Republiki stary bruk został pokryty asfaltem. Mijają nas stosunkowo nowe, a na pewno świetnie utrzymane, chińskie półciężarówki wyładowane skrzyniami prawdopodobnie z drogocennymi kamieniami, większość ma napisy JanEx, od Jantar Export, czyli eksport bursztynu. To miejscowa firma należąca do prezydenta Republiki – Rusdwana Mowczana. Mijają nas też autobusy z tymi samymi napisami. Szef państwa jest też właścicielem firmy autobusowej, a także miejscowej drużyny futbolowej. Oczywiście nazywa się ona Jantar i gra na nowoczesnym stadionie dla 50 tysięcy widzów zbudowanym w Malinowie, a zaprojektowanym przez jednego z modnych obecnie chińskich architektów. Prezydent jest też właścicielem lokalnych mediów, sieci supermarketów i osiedlowych sklepów spożywczych oraz centrów handlowych Exclusiv i Beijing Shanghai Paris.

Sama stolica Republiki Bursztynowej, jak już wspominałem, liczy teraz około 200 tysięcy mieszkańców. Nagły przyrost ich liczby w ostatnich latach spowodował konieczność rozbudowy tanich osiedli mieszkaniowych na obrzeżach Malinowa. Budowano szybko, z wielkiej płyty, jak najwyżej, ponieważ ziemia jest tu na wagę złota. Często nie doprowadzano nawet dróg dojazdowych. Bloki powstawały, gdzie popadło, tam akurat gdzie zakończono wydobywanie bursztynu. Mieszkanie w takich budynkach i tak było dla wielu marzeniem. Z drogi, między blokami, w ich otoczeniu, a czasem w całych kwartałach widzę pojedyncze szałaszy albo ich skupiska, w których żyją ci, którzy przyjeżdżają tu skuszeni łatwym zarobkiem i nie mają pieniędzy na porządne lokum. To tak zwane bidawille, czyli wschodnioeuropejski odpowiednik faweli. Sklecone z byle czego, z blach, kawałków starych mebli, znalezionych na śmietniku, folii. Nad każdą wystaje antena do odbioru telewizji cyfrowej i internetu. Przed niektórymi stoją stare pordzewiałe samochody. Stoją na zwykłych piaszczystych drogach, w najlepszym wypadku, żwirowanych. Pośrodku prowadzą wąskie wybetonowane kanały wydrążone, aby odprowadzać brudną wodę, a czasem też nieczystości. Widać, że niedawno padało.

Malinów z lotu ptaka przypomina zatem chaotyczne szare blokowisko rozrzucone w lesie z pstrokatymi plackami bidawilli i jaśniejszymi piachu, gdzie jeszcze wydobywany jest bursztyn. Uporządkowana zabudowa jest tylko w radzieckiej części miasta. Zachował się nawet rynek, a wokół niego domy, niewielkie bloki przypominające kamienice.

Zatem im bliżej centrum tym ładniejsze budynki. Niektóre wyjątkowo eleganckie, wysokie, bardzo zdobione, począwszy od płotów i murów (zdobienia w postaci potłuczonego szkła, a także elementów ze srebrnej i pozłacanej blachy w modnym ostatnio w PK stylu połowy lat '70), aż po same domy. Strzegą ich marmurowe lwy i sokoły. W wersji budżetowej, gipsowe.

Uderzający jest panujący wszędzie zapach palonego drewna. Pochodzi ono z lasów karczowanych masowo pod wydobycie bursztynu. Mieszał się on z węglem, którym palono w piecach i kotłowniach. Ten z kolei był kupowany od Zagłębia albo Komunistycznej Republiki Socjalistycznej Węgla i Stali wchodzących w skład PK.

Dojeżdżamy do rynku, zatrzymujemy się przed czymś, co wcześniej pomyłkowo wziąłem za kościół. Kierowca jepea wysiada z auta. Ja robię to samo.

- Widzę, że jest pan pod wrażeniem tego, jak wygląda nasze miasto – mówi do mnie.

- Tak. Myślałem, że to kościół, a to chyba pałac prezydencki?

- Dobrze pan myślał. To był kościół, ale zaproponowaliśmy duchownemu warunki nie do odrzucenia i musiał się wyprowadzić – odpowiada kierowca. Słowa „nie do odrzucenia” wyraźnie podkreśla. Widząc moje zdziwienie historią o kościele, zaczyna tłumaczyć:

- To znaczy, chciał się wyprowadzić. Zbudowaliśmy mu świątynię trochę dalej od centrum, trochę większą, a za to nasz prezydent mógł tutaj zamieszkać. W samym centrum miasta. Zapraszam do środka – otworzył szeroko drewniane drzwi byłego już kościoła, nad którym znalazł się napis: „Republika Bursztynowa, 2022 r.” W przedsionku, w którym jeszcze zachował się charakterystyczny zapach świątyni, czekają ochroniarze. Rewidują mnie, sprawdzają dokumenty, czy na pewno jestem tym, za kogo się podaję. Wszyscy ubrani są podobnie do „kierowcy”. Jeszcze tylko kontrola wykrywaczem metalu i mogę przejść przez szklane drzwi.

Cały kościół zbudowany w naśladowującym gotyk stylu jest pusty. Nie ma nawet ławek. Za to były ołtarz pełen jest monitorów pokazujących zdjęcia z kamer z różnych części Republiki. Na skórzanym fotelu obserwując to, co się dzieje na ekranach, siedzi mężczyzna. Jest jasno oświetlony przez monitory i wpadające przez witraże światło. Podchodzę. To właśnie prezydent Republiki Bursztynowej Rusdwan Mowczan, człowiek, o którym dowiedziałem się z wiszących po drodze do centrum billboardów, że „Wie, co mówi”, „Co mówi, to ma”, „Czego nie chce, odda wam”. Ma około 65 lat. Brodę i głęboko osadzone oczy. Jest w garniturze, jednak nie tak eleganckim, jak jego ochroniarze. Kolor malinowy to chyba pamiątka po latach '90 XX wieku, kiedy zaczynał karierę albo nawiązanie do nazwy stolicy.

- Witam na mojej ziemi, proszę usiąść – mówi wskazując mi ciężkie drewniane rzeźbione krzesło, które mogło kiedyś należeć do miejscowego proboszcza i zapewne było wykorzystywane tylko w czasie wielkich świąt. Sam Rusdwan Mowczan siedzi w fotelu, w którym zapewne w czasie takich wizytacji siadał wyższy rangą duchowny. Proponuje kawę, herbatę, wodę. Wybieram to ostatnie. Zależy mi na tym żeby nie tracić czasu. Mam tyle pytań do zadania. Ale to on przejmuje inicjatywę. Moja swoboda skończyła się chyba na wyborze napoju. Przynajmniej na razie. Jego słowa przytaczam z niewielkimi skrótami.

- Jest pan chyba pierwszym dziennikarzem, który do mnie przyjechał z Zachodu. Zachód nie chce znać prawdy, tylko to, co sam chce usłyszeć i zobaczyć. To nie jest tak, że jesteśmy bandytami, czy byliśmy – poprawia się w fotelu. Kładzie dłonie na stół. - Pan spojrz, jak one wyglądają - mówi niemal żądając. Są wielkie, spracowane, w wielu miejscach widać ślady dawnych ran. - Wszystko, co tu mam, osiągnąłem własną pracą. W latach '90 jeździłem na handel do was. Od początku XXI wieku zaczęliśmy kopać, najpierw własnymi rękami, potem pojawiły się maszyny. Chcieli nas zlikwidować, chcieli żebyśmy im płacili. Wysyłali na nas wojsko, armię – zdejmują marynarkę. Jest w koszuli w krótkim rękawie. Pokazuje mi ranę idącą przez całe przedramię. Powyżej łokcia widzę tatuaż: „Nikt oprócz nas” i złoty bursztyn przywiązany do spadochronu. - To akurat po ataku policji, jakiś gówniarz capnął mnie saperką. [...] Po rewolucji oligarchicznej było

już łatwiej, dogadałem się ze Stolicą. Oni wiedzą, że są u nas drugie na świecie złoża bursztynu i wiedzą, że mam już własną armię, wcale nie słabszą od ich wojska. Ale musiałem korzystać z ich schematów żeby eksportować towar. I oczywiście im płacić.

- A co z la... - nie zdążyłem dokończyć. Chciałem zapytać o hektary wykarczowanego lasu, zniszczony system irygacyjny, wysuszone drzewa.

- Co z lasami, pan się pyta. Nic z lasami. Teraz je sadzimy na nowo. Staramy się bo to już jest nasz zakątek, nasza ojczyzna (wyraźnie podkreśla słowa "nasz"). Bez lasu nie damy rady. [...] Sam pan widzi, że żyjemy dobrze. Budujemy drogi, place zabaw, cerkwie, a nawet kościół wybudowaliśmy. To znak naszych czasów.

- Po drodze widziałem osiedla biedoty...

- To nie osiedla biedoty. Mają wszystko: telewizję, internet, zespół sportowy, jaka to biedota. U nas nie ma ubóstwa. Eksportujemy rocznie za sto milionów juanów. To mało? Chyba nie. Więc, jak może być u nas bieda.

Nie przekonał mnie. Za to wszystko, co zobaczyłem później jeszcze bardziej mnie przekonało, że to co się dzieje w Republice Bursztynowej to czysty wyzysk. Rzeczywiście eksport jest ogromny, ale większość zysków jest dzielona między Rusdwanem Mowczanem i jego nadzorcami w Stolicy. Mimo to ludzie starają się tu dostać żeby zarobić. W porównaniu z innymi departamentami PK, zarabia się tu więcej, ale zyski nadzorców są jeszcze większe.

Choć patrząc na samego prezydenta trudno powiedzieć żeby był człowiekiem bogatym – raczej pozostaje skromnie ubrany tak, jak wtedy kiedy rozpoczynał karierę. Moi informatorzy twierdzą jednak, że w Chinach trzyma ogromny majątek, z którego korzystają studiujące tam jego dzieci.

- Co będzie, gdy zapasy bursztynu się wyczerpią?

- Stworzyliśmy bardzo sprawny organizm państwowy, mamy pewne rezerwy, to znaczy, każdy z obywateli ma. Możemy jeszcze eksportować drewno, piasek, siłę roboczą. Wszystko przed nami. Najważniejsze żeby każdy zadbał o siebie!

Właśnie to ostatnie zdanie pośrednio potwierdza, że Mowczan gdzieś trzyma swój majątek, z dala od wzroku współobywateli. Na pewno wie o tym Stolica, z którą się dzieli. Bez tego już dawno straciłby stanowisko, a może nawet życie. Tak było z kierującym jedną z nadmorskich republik wchodzących w skład PK. Kilka lat temu Stolica odkryła, że ukrywa swoje dochody. Został zastrzelony przez specjalnego agenta we własnym gabinecie. Wcześniej ujawniono nagrania, które sugerowały, że ma skłonności pedofilskie. Nie odczytał jednak dobrze tego ostrzeżenia i dalej dbał tylko o własny interes, dlatego skończył w tak drastyczny sposób.

Spotkanie trwało jeszcze pół godziny. Rusdwan Mowczan nie powiedział właściwie nic ciekawego. Chwalił swoje małe państewko, choć w jego słowach wciąż wybrzmiewał żal, że nie należy do ścisłego grona najważniejszych oligarchów, którzy własnymi rękami przeprowadzili rewolucję oligarchiczną. Wciąż jest w drugim rzędzie, ale zna swoje miejsce i raczej nie ma zamiaru specjalnie przebijać się do Stolicy.

„Kierowca” odwiózł mnie później do miejscowego hotelu, który oczywiście nazywa się Jantar. Jedyne przyjmujące nielicznych zresztą obcokrajowców, głównie ekspertów od maszyn służących wydobyciu bursztynu bądź też potencjalnych kontrahentów. Wystrój pachniał bogactwem początku XXI wieku. We foyer siedzieli biznesmeni z Chin i Afryki w wyglądających na dość drogie garniturach. Wśród nich przemykali się ubrani w praktyczne robocze ciuchy inżynierowie z zagranicy.

W czasie swojego pobytu w Malinowie miałem zaplanowane jeszcze jedno spotkanie. Nie mogę ujawnić, jak udało mi się je zorganizować, jednak w każdym reżimie, czy w tym przypadku „reżimku” totalitarnym, są ludzie z niego niezadowoleni, którym zależy na rozgłosie. Miałem przyjechać, zatrzymać się w hotelu i czekać na kontakt od konkurenta Rusdwana Mowczana z dawnych lat, jeszcze z końcówki lat '90, Ihara Sławlena. Czekałem do późnego wieczora i niemal straciłem już nadzieję na ten wywiad, gdy w czasie kolacji, kiedy z jadalni wyszli już wszyscy goście, podszedł do mnie kelner:

- Pana znajomi, którzy sławią Lenina (tutaj wymownie mrugnął okiem) czekają na pana na zapleczu. Proszę podejść za 5 minut – szepnął.

Od razu zrozumiałem o kogo chodzi. Sławlen to właśnie nazwisko pochodzące od słów „Sława Leninowi”. Staralem się tego nie pokazywać i tylko kiwnąłem lekko konspiracyjnie głową. Spojrzałem jeszcze raz, czy na pewno nikogo nie ma i po kilku następnych minutach wstałem od stołu i wszedłem na zapleczu. Tam też nie było nikogo, oprócz znajomego kelnera i na oko 60-letniej kobiety, która czekała przy żelaznym blacie do krojenia warzyw i mięsa. Kelner kiwnął głową, abym to do niej podszedł. Wstała.

- Niemira Sławlenowa, żona Ihara, miło mi – przedstawiła się.

- Piotr Pogorzelski, też mi miło – odpowiedziałem.

- Mąż nie mógł przyjść sam, ukrywa się już od kilku dobrych lat, podjedziemy do niego. Wyjdźmy tylnymi drzwiami, czeka na nas już samochód.

Dostawcze auto z napisem „JanEx Fruits and no fruits” pamiętało chyba jeszcze XX wiek. Już chciałem usiąść z przodu, gdy kierowca stojący koło wozu zablokował swoim ciałem drzwi i wskazał na tył przystosowany do przewozu produktów spożywczych.

- Tam – burknął pod nosem.

- Pan się nie boi. Ja też siadam z tyłu – uśmiechnęła się Niemira Sławlenowa. W jej spojrzeniu widać było i mądrość życiową i pogodzenie z losem.

W budzie pachniało, jak w warzywniaku: wilgocią i ziemią. Przy dwóch ścianach były jednak drewniane ławki dla pasażerów. Usiedliśmy. Kierowca zastawił nas pustymi skrzynkami po warzywach, zamknął drzwi. Zrobiło się ciemno. Światło wpadało tylko przez niewielki podłużny otwór nad kabiną kierowcy. Ruszyliśmy, czułem że wyjeżdżamy z podwórka hotelu, potem krążyliśmy miejskimi drogami, później zjechaliśmy na boczne. Samochód, my i skrzynki bujaliśmy się w prawo, w lewo, w górę, w dół, do przodu i do tyłu. Podskakiwaliśmy na wybojach, wjeżdżaliśmy w kałuże, zapach palonego drewna był tu jeszcze bardziej intensywny, słychać było krzyki dzieci biegnących za autem. Samochód zatrzymał się. Milczący kierowca otworzył drzwi, wystawił skrzynki.

- Do wyjścia – burknął znów pod nosem, ale tym razem uśmiechnął się pokazując szyk lat ‘90 czyli całą gamę złotego uzębienia. Sposób zaproszenia do wyjścia wyraźnie wskazywał na wcześniejszą pracę w “organach”. A może też obecną.

Staliśmy przed domem, który swoje lata świetności też miał w tym samym okresie, a otoczony był przez szalasy zbudowane z byle czego. Drogi nie było. Były jamy, kałuże i ubity piach. Po nim latały na boso dzieci. To bidawille, które widziałem wcześniej jadąc do pałacu prezydenckiego. Dom Sławlenów wyróżniał się tym, że był oświetlony. W innych domostwach też był prąd, ale wykorzystywany głównie do internetu i oglądania telewizji. Nikt nie traciłby ciężko zarobionych pieniędzy żeby sobie oświetlać podwórko. Miało to także aspekt praktyczny, Ihar Sławlen wciąż był poszukiwany przez miejscowe władze, a światło pomagało zobaczyć ewentualnych napastników.

Z domu wyszedł sam „opozycjonista”, za którego był uznawany przez część zachodnich polityków. Tak naprawdę był biznesmenem, który jeszcze na przełomie XX i XXI wieku działał wspólnie z Rusdwanem Mowczanem przy wydobyciu bursztynu i jego przemyśle do Chin. Później próbowali wspólnie rządzić, ale pokłócili się o zyski. Formalnie Sławlen jest, jak wspomniałem, poszukiwany, jednak wydaje się, że miejscowe władze przykrywają oko na jego obecność, dopóki za bardzo nie wchodzi w drogę rządzącym.

Sławlen miał na sobie podkoszulek w białe – niebieskie paski, na ramieniu zauważyłem tatuaż taki sam, jak u prezydenta: spadochron z bursztynem i napis: Nikt oprócz nas. Na sobie miał wojskowe spodnie i klapki. Był trochę starszy od swojej żony. Postarzało go też to, że był niedogolony, zarosnięty i lekko zgarbiony. W ustach trzymał papierosa.

Zaprosił mnie do domu, wrzucił niedopałek do puszki po pomidorach stojącej przy drzwiach. Przedpokój i salon, w którym siadamy są oświetlone słabymi żarówkami. Na ścianach wiszą dywany. W rogu gra telewizor. Miejskowy kanał Jantar pokazuje Rusdwana Mowczana podczas gospodarskich wizyt na leśnych działkach, gdzie wydobywany jest bursztyn oraz w lokalnym

zakładzie obróbki kamienia. W ten sposób największy wróg Ihara Sławlena będzie nam towarzyszył w rozmowie.

Żona robi herbatę. Jej mąż rozpoczyna swoją opowieść. Podobnie, jak w przypadku prezydenta, ograniczę się do cytatów:

- Myśmy wszyscy zaczęli w tym samym czasie. Pod koniec lat '90 kopali wszyscy, nawet dzieci, później nauczyciele, szkoły zaczęły działać z przerwami bo nie miał kto uczyć i kto się uczyć. Ja wtedy w ochronie pracowałem [...] Miałem najpierw "aparata", czyli pompę wodną domowej produkcji, a potem "chińczyka", czyli chińską. Rusdwan kopał obok, połączyliśmy swoje siły. Razem żeśmy wynajęli robotników. Nazywaliśmy ich "konie", mieliśmy tyczkarzy od wtykania szlangu z wodą i tych co robili za nas brudną robotę [...] Mowczan wcześniej pracował w milicji więc załatwił "zielonkę". To taka działka, na którą psy dają nieformalne pozwolenie na kopanie. Kopaliśmy coraz więcej i mieliśmy coraz więcej kasy. Naszych zatrzymywali to żeśmy ich odbijali z miejscowego komisariatu, jak się nie dało wykupić [...] Później to policja do nas przychodziła, bo oni w międzyczasie zmienili się z milicji w policję, i pytali kogo gonić z konkurencji żebyśmy my im płacili bo jakoś czuli, że to my mamy siłę. [...] Koniec końców zostaliśmy tylko my. Ale później Rusdwan to mnie wyhaczył, trzymali mnie i kazali zrzec się biznesu. Miałem do wyboru wyjechać albo zostać, ale siedzieć cicho. Zostałem, nie mogłem jednak nic nie mówić, choć próbowałem opowiadać o niesprawiedliwości, że tak być nie może żeby jeden człowiek decydował o życiu wszystkich, ale wszyscy mieli to w dupie. Oni chcieli pracować i żyć, a jedyną pracą była ta, którą dawał Rusdwan. [...] Wsadzali mnie parę razy do miejscowego więzienia, bili, torturowali można powiedzieć, ale później wypuszczali. Przestałem się wychylać. Osiadłem tutaj, robimy z żoną jakieś małe rzeczy z bursztynu, wywozimy na Zachód przez te tak zwane "legalne" przedsiębiorstwa, które kontroluje Mowczan.

- Czyli właściwie teraz pracuje pan dla niego?

- Można powiedzieć, że tak. Jak wszyscy zresztą. Z czego mam żyć?

- Może pan wyjechać.

- Ale gdzie ja jestem potrzebny. Kiedyś byłem kimś, a teraz jestem po prostu zwykłym obywatelem.

Pijemy herbatę, zagryzamy ciastkami, Ihar Sławlen nie pije alkoholu od kilku lat, odkąd ciężko pobito go w więzieniu w Malinowie. Żona cały czas przysłuchuje się jego monologowi, gdy mąż kończy, sama zabiera głos:

- Jak Ihar się nacierpiał i straciliśmy prawie cały majątek, to dopiero zobaczyliśmy, jak tutaj żyją zwykli ludzie. Mało kto się wzbogacił, przede wszystkim ci, co mają dobre układy z Mowczanem i jego bliższa i dalsza rodzina. Reszta ledwo łączy koniec z końcem. Tu, gdzie mieszkamy nie ma nawet kanalizacji, wodę bierzemy ze studni. Dobrze, że chociaż jest internet i telewizja.

- Nie próbowali państwo jakoś rozmawiać z tymi ludźmi, z sąsiadami? Buntować ich? - pytam, być może naiwnie. Odpowiada Ihar Sławlen:

- Próbowaliśmy, ale po pierwsze oni mi nie ufają, zresztą tak naprawdę nikomu nie ufają, a po drugie oni mają już dość wszelkich zmian. Co mam im zafundować kolejną rewolucję? Poza tym, ja się zwyczajnie za bardzo boję o własne życie żeby jeszcze walczyć o cudze! - obrusza się.

Kontynuuje Sławlenowa:

- Tak, jak mąż mówi. Oni nie mają nadziei na zmiany. Przyjechali z jeszcze gorszych regionów, gdzie w ogóle nie ma ani płacy, ani pracy. Tu przynajmniej mają, co jeść. I za to są wdzięczni Mowczanowi.

Pytam też o ekologię, ale widzę, że jest to temat całkowicie egzotyczny. Można odnieść wrażenie, że bardziej już o to dba sam prezydent. Rodzina Sławlenów jest już pogodzona ze wszystkim. Przy pożegnaniu Ihar nachyla się do mnie i mówi półszepem: nie zapominajcie o nas, nie zostawiajcie na pastwę tych ludzi. Teraz rozumiem, dlaczego sam zaoferował spotkanie. Wręcza mi mały krzyżyk wykonany z bursztynu. Radzi żeby schować, jak najgłębiej. Kierowca odwozi mnie do hotelu. Jest już późno, najwyższy czas spać.

Rano czeka na mnie już inny „kierowca”, mój stary znajomy, który eskortował mnie od granicy do pałacu prezydenckiego. Wcześniej kupuję jeszcze pamiątki, zaglądam też do zwykłego sklepu. Asortyment nie powala, ale wszystko można dostać. Oczywiście ceny wyższe niż na Zachodzie i jak się później przekonam, tradycyjnie, nie ma towarów znanych marek. Z prezydenckim „kierowcą” jedziemy na wzorcowe przedsiębiorstwo JanEksu. Pokazują mi maszyny obrabiające bursztyn, jubilerów przygotowujących biżuterię i robotników obsługujących komputery przygotowujące religijne obrazy: zarówno chrześcijańskie, jak i muzułmańskie oraz konfucjańskie. Jest jasne, jak dwa razy dwa, że nie jest to produkt na rynek wewnętrzny, choć stara się mnie o tym przekonać oprowadzający mnie inżynier, który przyjechał do Malinowa z Gdańska. Prosi żeby nie podawać jego imienia i nazwiska.

- Dla mnie to jest praca marzeń. Mam nieograniczoną ilość kamienia i dużą swobodę twórczą. Zarobki też niezłe, właściwie lepsze niż u nas. A w weekend mogę sobie pójść na miejscową dyskotekę, do centrum handlowego Beijing Shanghai Paris. Na parterze pływają w akwariach rekiny. A propos! Czasem jakaś wycieczka na ryby. Tu jest specjalny ośrodek prezydencki, gdzie wszystko jest, jak u nas, czy w Chinach. Więcej mi nie trzeba. Pyta pan, jak tu żyją zwykli ludzie. A co to mnie obchodzi? Dla mnie to tylko siła robocza. Jak tu żyją, to znaczy, że im się podoba.

Za pomocą wielu firm słupek produkty z Republiki Bursztynowej trafiają na cały świat. Robię zdjęcia, rozmawiam z pracownikami. Nie będę przytaczał ich słów. To była typowa propagandowa wizyta. Robotnicy są zadowoleni, produkcja jest piękna. Życie jest równie piękne. Generalnie wszystko wygląda idealnie.

Przed odjazdem w stronę granicy, mój „kierowca” wreszcie się ujawnia:

- Nie trzeba było wczoraj jechać do Sławlenów – mówi.

- Skąd pan wie?

- Trzeba być kompletnym idiotą żeby nie wiedzieć, że hotel jest pełen kamer i podsłuchów. Mamy swoich ludzi wszędzie.

- Nie musi mnie pan tak nazywać. Wiem, jak to wygląda, ale mam prawo się spotykać z kim chcę - odpowiedziałem i przypomniałem sobie słowa mężczyzny, który nas wiozł: “do wyjścia”. To pewnie on doniósł. A może też kelner, a może jeszcze ktoś z hotelu. To nie ma już znaczenia.

- Ale pan jako dziennikarz powinien wiedzieć, jak jest w takich krajach, jak nasz. Ta wizyta nie spodobała się prezydentowi. Ma nadzieję, że chociaż pan wszystko uczciwie opisze.

- Opiszę, proszę nie martwić. Jeśli oczywiście mnie wypuścicie – dodaję z przekąsem.

- Wypuścimy. Ale nie wiem, czy wpuścimy jeszcze raz, choć prezydent nie jest mściwy.

Rzeczywiście, wyjechałem spokojnie. Już po powrocie do Warszawy dowiedziałem się, że Ihar Sławlen i jego żona Niemira Sławlenowa nie żyją. Zginęli w pożarze swojego domu. “Prezydent nie jest mściwy”.



Rozdział IV, w którym zawieramy bezpośrednią znajomość z policją i miejscowym Krezusem, a także z tymi, którzy nigdy krezusami nie będą

Znów znalazłem się na drodze do Stolicy. Nawierzchnia zmieniała się w zależności od tego, kto był jej właścicielem. Dobre odcinki mogły wprawić w zachwyt, jednak zdarzały się też całkowicie zaniedbane – bezpieczne. Te dobre wprawiają nie tylko w zachwyt, ale także w hipnozę na granicy snu. I właśnie w takim momencie wszedłem w kontakt z miejscową policją. Jechałem już całkowicie automatycznie i nie zauważyłem, że przekroczyłem dopuszczalną prędkość. Ten fakt uświadomił mi dopiero policjant machający w moim kierunku czarno białą pałką. Pisnęły hamulce. Ledwo zatrzymałem się kilkadziesiąt metrów od funkcjonariusza. Włączyłem wsteczny i podjechałem do niego. Miał dobry mundur, broń, był ogólnie dobrze wyposażony, podobnie jak celnik na granicy. W oczy rzucał się jednak samochód, stary jeep o kolorze wyblakłej wiśni, zapewne będący na stanie miejscowego kombinatu olejowego (ten odcinek należał właśnie do niego). Na drzwiach miał wypłowiałą naklejkę z napisem: Policja.

Uchyliam szybę, funkcjonariusz nachyla się i pokazuje mi zdjęcie na trzyobiektywowym chińskim radarze najnowszej generacji wskazując palcem to, co na nim najważniejsze.

- To pan, to pana samochód, to pana szybkość: 130 na godzinę, 400 pan płaci na moje oko – mówi zdecydowanie. Tym mnie zaskoczył, sprzęt wylicza z matematyczną precyzją prędkość, a policjant wycenia wysokość mandatu na oko. Dopytuję się, jak to możliwe żeby na prywatnej drodze łapać za przekroczenie prędkości. I to był mój błąd. Policjant był wyraźnie zdziwiony pytaniem. Podszedł do przodu samochodu żeby jeszcze raz zobaczyć numery, pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Wszystko jasne. Obcokrajowiec. Nie znamy naszych zwyczajów i prawa. No to 800, inaczej zabieram prawo jazdy – powiedział mi.

- Osiemset? Przed chwilą było czterysta! - niemal krzyknąłem. Na chwilę zapadła cisza. Szybko przypominam sobie najważniejsze hasło PK. - Może się jednak dogadamy? - przerywam milczenie.

- Dogadać, to się dogadamy, ale to prywatna droga, prywatna policja i prywatne zasady. Znak ograniczenia prędkości był 10 kilometrów wcześniej. Trzeba patrzeć. Niedaleko stąd, jeszcze 5 kilometrów w stronę Stolicy, jest szkoła, wspólnie z dyrektcją zainwestowaliśmy w znak żeby dzieciom było bezpieczniej i żeby ja mógł zarobić. Zresztą nie będę się tłumaczyć. I tak daję panu zniżkę bo ma pan naszą winiętę. Sześćset – przedstawił swoje racje policjant i czekał uderzając lekko pałką po swoim udzie.

- Moja winieta daje zniżkę 90%! Jak może być 600, jeśli przed chwilą chciał pan 400 – staram się oponować.

- Wie pan, ja nie jestem tu żeby się kłócić, ale po pierwsze nie „daje”, a „może dawać”. Niech pan uważnie przeczyta, co jest na niej napisane!

Dopiero teraz zauważyłem, że przy dużej dziewięćdziesiątce na tekturce napisano słowo „do”. Razem wychodziło „do 90 % zniżki”. Wygląda na to, że dałem się nabrać.

Policjant tymczasem spoglądał na moje auto z dużą niechęcią. Zależało mu, aby jak najszybciej zakończyć ze mną sprawę ponieważ za chwilę mogły pojawić się kolejne ofiary. Być może zamożniejsze, być może w ogóle bez winiety.

- Dobra, dawaj pan 500 – powiedział w końcu.

Wiedziałem, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Komu miałem się skarżyć? Właścicielowi kombinatu, dyrektorowi szkoły? Wszyscy znajdowali się w tym samym łańcuszku korupcyjnych zysków. Wyjąłem pieniądze i dałem policjantowi. Ten podziękował i życzył mi, abym bardziej uważał na drodze. Oczywiście nie dał żadnego pokwitowania. Jak widać, cały ten układ opiera się na zaufaniu między różnymi jego uczestnikami. Właściwie, skąd dyrektor szkoły ma wiedzieć, ile wziął funkcjonariusz i czy w ogóle wziął. Tak samo szef kombinatu. A przecież muszą jeszcze odpalić działkę do Stolicy. Tutaj stała kwota jest ustalana w drodze negocjacji między wszystkimi uczestnikami proceduru. Zależy ona od regionu, od tego, jak często pojawiają się tam dobre auta,

jak zamożni są jego mieszkańcy. W gruncie rzeczy było to sprawiedliwe. Taki ultra kapitalistyczny socjalizm.

Spotkanie z policjantem trochę mnie wybudziło ponieważ wcześniej rozmyślając o różnych sprawach niemal nie zasnąłem za kierownicą. Szczególnie, że robiło się już popołudnie: czas tradycyjnej drzemki. Trasa, jak już pisałem, nie sprzyjała uwadze, hipnotyzowała i usypiała. Po prawej i po lewej znów były jakieś łąki, bagna i lasy. Pośród nich pojawiła się restauracja. Jedyna w swoim stylu. Stojąca samotnie w polu wyglądała z zewnątrz, jak połączenie wojskowego bunkra z powiększonymi stukrotnie zabawkami z placu zabaw dla dzieci: ogromnymi lwami i chatką czarownicy. Obok stał zwielowrotniony dziesiątki razy bocian pełniący funkcję studni. Skręciłem z dość dobrej drogi na piaszczysty, miejscami wysypany szutrem, parking. Stał tam tylko jeden czarny samochód terenowy. Obok jakieś porzucone przez właścicieli resztki maszyn rolniczych. Nad wejściem wisiał szyld z nazwą restauracji: Krezus.

W Pierwszym Korupcyjnym Krezus to imię, a nie określenie osoby. Bardzo wielu rodziców nadaje takie imiona swoim dzieciom licząc na ich sukces finansowy. Są zatem Krezusi, Bogacze, Oligarchowie, Dziani (choć to imię czasem występuje w formie żeńskiej Dziana), a także Sukces (wersja żeńska Sukcesja), po rewolucji oligarchicznej bardzo popularne były imiona Chabar (męskie) i Wziętka (damskie), ale ich popularność była dość krótkotrwała. W ogóle tego rodzaju imiona są uważane za przejaw aspiracji biedoty do lepszego świata. Elita i tradycjonaści dają imiona, które były popularne jeszcze za czasów Związku.

W tym przypadku Krezus to właściciel tej przydrożnej restauracji, który był jednocześnie właścicielem pobliskiego gospodarstwa rolnego i kombinatu olejowego, ale o tym dowiem się później. Na razie to po prostu siedzący przy stoliku w rogu mężczyzna, który pije kawę z koniakiem. Był ubrany w czarną skórzaną kurtkę i czarne spodnie oraz czarne buty z czubami. To kanon elegancji sprzed wielu lat, ale cały czas obowiązujący w niektórych środowiskach. Mówi otoczeniu: jestem stały w swoich poglądach, moje życie było i jest twarde. Początkowo usiadłem kilka stolików dalej i zacząłem przeglądać menu. Zza baru podniósł się kelner, który niezbyt chętnie podszedł do mnie.

- Pan życzy?

- Życzę kotlet, sałatkę i ziemniaki – powiedziałem pokazując na potrawy w menu. Każdej towarzyszyło pstrokate zdjęcie włożone w koszulkę do segregatora.

- Mamy tylko ziemniaki – rzucił chłopak.

- Tylko ziemniaki? - dziwię się. Dotąd nie zauważyłem, aby pojawiały się jakieś problemy z produktami spożywczymi.

- Z menu tylko ziemniaki, ale możemy się dogadać i jak pan dopłaci, to znajdzie się i kotlecik i sałateczka – lekko się uśmiechnął jednym kącikiem ust.

- Ile?

- 2 razy tyle – nachylił się kelner mówiąc cicho.

- Za dużo.

- Półtora raza i będzie po pana i po mojej myśli.

- OK – zgadzam się. Kelner uznał jednak, że musi się wytłumaczyć przed gościem z zagranicy, który być może nie zna realiów.

- Muszę wyprawić dziecko do szkoły, a mam taką pracę, że raczej to ja płacę komuś, niż ktoś mi – wyszeptał i odszedł w kierunku kuchni poprawiając przewieszoną na przedramieniu dość nieświeżą i lekko żółkłą, kiedyś białą, ścierkę.

Czekałem na zamówienie i patrzyłem na faceta w rogu, ten spokojnie pił swoją kawę i koniak. Z kuchni słychać było podniesione głosy. Jeden z nich należał do kelnera. Drugi do jakiejś kobiety. Nagle wyszedł kelner i podszedł do mnie szybkim krokiem.

- Jednak nie ma ni kotleta, ni sałatki – powiedział głośno i już ściszym głosem dodał: kucharka prosi o dopłatę.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem. Co się w tym państwie dzieje? Jak to wszystko działa? I dlaczego on mówi ściszym głosem, jeśli wszystko to, co robi jest w jego kraju legalne.

- Radzę panu dopłacić 20, najbliższa restauracja jest dopiero w Stolicy.

- Dobra – odpowiedziałem, choć miałem już szczerze dosyć tej sytuacji. Czułem się źle w tym miejscu, w dodatku facet w czarnym zaczął mi się dokładnie przyglądać i interesować tym, co robi obsługa. - Ale odpowie mi pan na jedno pytanie: dlaczego mówi pan do mnie ściszym głosem - zapytałem.

- Proszę nie zwracać uwagi, pracowałem przez 6 lat w Chinach. Tam za takie negocjacje urwaliby mi jaja. Ot, stare przyzwyczajenie - rzucił i wrócił za bar. Przez okienko do podawania potraw dogadał się, miałem nadzieję ostatecznie, z kelnerką.

Po 15 minutach wymiany spojrzeń i nudnego oczekiwania, z kuchni wyszedł kelner niosący zamówione kartofle, kotlet i sałatkę. Zamiast do mnie, poszedł jednak do gościa z koniakiem. Tam postawił talerz, rozłożył sztućce po czym przyszedł do mnie i powiedział głośno siląc się na uroczysty ton: pan Krezus zaprasza pana do swojego stolika! Od razu skojarzyłem to z nazwą karczmy. Podeszedłem chętnie bo choć nie lubię rozmawiać z obcymi to przez cały dzień milczałem i miałem już tego trochę dosyć. A cała okolica wydawała się tak nudna, że z przyjemnością przysiadłem się do miejscowego -jak zrozumiałem- oligarchy.

Krezus sączył koniak i pytał mnie o życie na Zachodzie. Zadawał spokojnie pytanie za pytaniem i słuchał uważnie odpowiedzi. W każdej z nich chciał znaleźć potwierdzenie tego, co na co dzień widział z miejscowej telewizji, że na Zachodzie jest źle, środki budżetowe są rozkradane, a korupcja pozasystemowa niszczy państwo i jedynym lekiem na nią jest jej integracja z państwem, tak jak to zrobiono w Pierwszym Korupcyjnym.

- Widzisz – jak każdy człowiek przekonany o swojej wyższości i ciężkiej drodze życiowej mówił do swoich rozmówców od razu na ty – miałem duże gospodarstwo rolne, uprawiałem ziemniaki, pszenicę. I co? – pytał retorycznie patrząc na mnie i pokazując figę – Nic z tego nie miałem. Musiałem walczyć z urzędnikami, z konkurentami, z państwem. Starłem się coś zrobić, ale musiałem cały czas walczyć. Robiłem wszystko mimo państwa, a nie dzięki niemu. Ono w ogóle mi nie pomagało! Daj Bóg żeby chociaż nie przeszkadzało. A teraz? Teraz odpalam dolę do Stolicy i rządę się tu sam. Chcę to uprawiam pola, nie chcę to nie, kombinat olejowy raz działa, raz nie. Wtedy, kiedy chcę. Efekt: ludzie z ręki mi jedzą i żebrzą o pracę bo to ode mnie zależy ich przyszłość. I żyję sobie spokojnie: mam tę restaurację, to raczej hobby niż biznes, ale sprawia mi przyjemność. Zainwestowałem w drogę, płacę do Stolicy, a wy mi i mojemu wspólnikowi płacicie za przejazd. Policja nam płaci. Ze zwykłego rolnika zostałem miejscowym oligarchą, a mój kolega, z którym mamy kombinat olejowy jest jeszcze bogatszy bo sprywatyzował miejscowe sanatorium. Mniejsi jesteśmy od tych tam ze Stolicy, ale jednak oligarchami. Panami tej okolicy. Tak ci powiem – tu Krezus postawił kropkę i niby czekał na moją odpowiedź, choć co ja mogłem odpowiedzieć na jego słowa, wiedziałem, że mojego rozmówcy i tak to nie interesuje, chciał tylko pokazać siebie, pochwalić, jak dobrze żyje i później móc powiedzieć żonie i znajomym, że rozmawiał z obcokrajowcem i nawet on przyznał, że ma rację. Trzeba jakoś było podtrzymać rozmowę, jedyne co przyszło mi do głowy to pytanie o absurdalność sanatorium w okolicy dymiących zakładów. Odpowiedź była prosta.

- Nic pan nie rozumie z tego kraju. Nic a nic – Krezus pociągnął koniak z kieliszka i zagryzł cytryną. - Koledzy z innych regionów wysyłają mojemu koledze robotników ze swoich zakładów na wczasy. Oni się cieszą, że w ogóle gdziekolwiek jada, choć do innego departamentu. To sanatorium to kiedyś był szpital dla gruźlików, ale tak się złożyło, że wszyscy zmarli, a budynek i wyposażenie zostało. Wielka szkoda – to ostatnie było tak powiedziane, abym nie miał wątpliwości, że nie był to przypadek, a raczej zrzędzenie losu, który ktoś wziął w swoje ręce.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę ze zrozumieniem. Kiwałem spokojnie głową bo wiedziałem, że tylko tak zachęcę tego drobnego biznesmena, albo - lepiej powiedzieć - kombinatora, aby mówił dalej.

Naszą biesiadę przerwał poznany wcześniej przeze mnie funkcjonariusz drogówki, który wyrósł koło nas, jak spod ziemi. Za bardzo patrzyłem na swojego rozmówcę i straciłem czujność.

- Panie Krezus, przyniosłem procencik – powiedział dając zwitek banknotów przewiązany gumką recepturką, wśród nich zapewne część stanowiły te, które wcześniej należały do mnie. Miejscowy oligarcha wziął pieniądze i popatrzył na policjanta, który właściwie mógłby już odejść,

ale widać było, że chce coś powiedzieć, ale się boi. Stał cały czas koło stołu i zerkał to na Krezusa, to na mnie.

– Czego chcesz? Wal śmiało. To od niedawna mój znajomy. Obcokrajowiec. Mam nadzieję, że skasowałeś go, gdzie trzeba – zapytał Krezus patrząc na kieliszek i mrugając okiem do funkcjonariusza.

– Tak, proszę pana, skasowałem, ale nie o tym chcę mówić. Moja córka idzie na uczelnię do Stolicy, a pan ma tam kontakty. Sam pan Krezus rozumie, że bez tego nie dostanie się na uniwersytet. Dam tyle, ile trzeba, ale pomoc musi być, no... powinna być. To znaczy może być. Ewentualnie... – poprawiał się i tłumaczył i zapętleł. Krezus z kolei odczekał chwilę i niechętnie obiecał, że pogada i postara się pomóc, oczywiście za odpowiedni procent za pośrednictwo.

- No i wypadaloby żeby później córeczka mi zwróciła procencik ze swojej pierwszej pensji – rzucił.

- Ma się rozumieć i nie tylko pierwszej – powiedział policjant, zasalutował i zniknął zadowolony tak szybko, jak się pojawił.

– Widzisz? – zwrócił się już bezpośrednio do mnie. Jego oczy stały się większe i trochę się ożywił. Być może był to efekt koniaku, a być może było to związane z możliwością pokazania swojej władzy tu i teraz. – Tak by się nigdy nie dostała, a tak pójdzie na uczelnię, nauczy się, pracuje w policji, czy prokuraturze i cała suma zwróci mi się z nawiązką. Wszyscy na tym zyskamy. Zamiast nas zmieniać, uczcie się, jak powinno funkcjonować państwo! – tłumaczył Krezus, a ja nie odpowiadałem. Sądzę, że dziennikarz powinien przede wszystkim słuchać i zapisywać, a nie pouczać swoich rozmówców. Nie chodzi o to żeby im kadzić, ale o to żeby się nie kłócić, nie spierać i nie okazywać wyższości. Milcząc jadłem więc swój kotlet i sałatkę i słuchałem, co mówił Krezus. A mój rozmówca był zadowolony i aby pokazać, jak dobrze żyje postawił mi skromny deser, budyń truskawkowy. Chciał postawić koniak, ale wymigałem się wyimaginowaną chorobą wątroby. Nie chciałem dalszych kłopotów. Wiedziałem, co prawda, że jak złapią mnie za kółkiem po pijanemu, wymigam się łapówką, ale wolałem nie kusić losu. Oczywiście jeśli wcześniej nie skończę w rowie. Za obiad zapłaciłem sam.

Pożegnałem się z Krezusem, który zachęcał żeby do niego wpadać, jak najczęściej i “mówić prawdę” o Pierwszym Korupcyjnym. Wyszedłem przed restaurację. Chciałem się trochę przejść, rozciągnąć, a potem wsiąść do samochodu i pojechać dalej, gdy na parking zajęchały dwa czarne auta terenowe zwane pieszczotliwie na Wschodzie „kosteczkami”. Z jednego z nich wyszedł mężczyzna łudzaco podobny do Krezusa, nawet podobnie ubrany i od razu ruszył do mnie ze słowami: Co kurwa Krezusowi pieniądze nosisz? Byłem tak zaskoczony tonem i jego wyrazem twarzy i pretensjami, że wpadłem w stupor i nie wiedziałem, co powiedzieć. Mój krąg widzenia znacznie się zawęził, zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie popchnął, prawdopodobnie ochroniarz napastnika, już niemal leżałem na ziemi, gdy z restauracji wybiegł domniemany brat bliźniak atakującego z krzykiem: to mój gość! Hojny uspokój się! Atakujący, czyli –jak się okazało Hojny- odpuścił.

– On nikomu pieniędzy nie nosi, gość zapłacił za przejazd przez terytorium, przez moje terytorium! To zachodniak – mówił podniesionym tonem Krezus wskazując na zaparkowany obok mój samochód. To wszystko wystarczyło żeby Hojny odpuścił mnie choćby fizycznie. Spojrzał na konkurenta, czy współnika z niechęcią, jeśli nie z nienawiścią:

- Krezus, kurwa, z obcokrajowców biorę ja! Rozumiesz? Ja! Ja się z tobą złożyłem na tę drogę (mówił właściwie: na tie drogie) i ja też mam mieć część kasy – wyjaśniał Hojny przypominając jakieś dawne ustalenia. Domyśliłem się, że to współwłaściciel kombinatu olejowego. Jak mówił mój niedawny rozmówca, „trochę bogatszy miejscowy oligarcha” i jego współnik.

– To było wczoraj, a dziś jest dziś! Mam już dosyć tego, że cały czas albo sam naruszasz nasze porozumienie albo mi to zarzucasz. Ludzi bijesz bez powodu. Za dużo spajsów, bracie! Zaraz cię jebnę i polecisz tam, skąd przyszedłeś - odpowiedział Krezus i wziął pogrzbacz od stojącego niedaleko żelaznego grilla. Ucieszyłem się, że właśnie przestałem być wrogiem numer jeden Hojnego, rozprostowałem kurtkę i zacząłem powoli niezauważalnie odsuwać się od miejsca konfliktu. Z budynku restauracji wyszło dwóch osiłeków, których wcześniej nie widziałem.

Wyglądali wystarczająco konkretnie. Jak powiększona i bardziej umięśniona wersja Krezusa. Z samochodów, którymi przyjechał Hojny wyszło dwóch kolejnych mężczyzn niemal kropka w kropkę podobnych do ochroniarzy Krezusa. Wszystko to przypominało sytuację z lat '90, postradzieckie filmy kryminalne II, czy nawet III kategorii i ustawkę dotyczącą podziału wpływów w dzielnicy, czy rejonie, zorganizowaną przez mafiozów takiej samej kategorii, jak filmy, w których występowali. Nagle Hojny upadł, wcześniej słychać było cichy wystrzał, ale zdałem sobie z tego sprawę dopiero, gdy zobaczyłem zwijającego się z bólu na ziemi mężczyznę. Jego ochroniarze zaczęli strzelać do swoich przeciwników, ale dezorientowani nie wiedzieli skąd padł strzał. Z ucha leżącego na ziemi mężczyzny leciała krew. Prawdopodobnie kula trafiła w skroń. Chłopcy Krezusa działali szybko i zdecydowanie, wykorzystując brak orientacji „gości” i to że byli na swoim terenie. Ten swoisty mecz zakończył się wygraną Krezusa 4:0. Na ziemi, oprócz Hojnego, leżało dwóch jego ochroniarzy i kierowca. Ludzie Krezusa rozglądali się po okolicy i poprawiali swoje skórzane kurtki. Jeden z nich pogłaskał się po łysinie ocierając pot. Krezus odetchnął z ulgą i popatrzył na wieżyczkę stojącą koło restauracji.

– Widzisz, tak się u nas załatwia sprawy. Nie zawsze się można dogadać. To strzelał mój człowiek z wieżyczki. Ja z Hojnym mógłbym iść do sądu, zapłaciłbym i bym wygrał, ale ten chuj (Krezus po raz pierwszy przeklął w rozmowie ze mną choć widać było że tego rodzaju słownictwo było dla niego naturalnym) chciał załatwić to siłą. Rozumiesz? Oko za oko. I ni chuja nie widziałeś, jasne? Bo oko za oko i stracisz dwa oczy – rzucił wyraźnie zadowolony ze swojego powiedzenia Krezus, a przerażonemu kelnerowi, który dopiero teraz wybiegł z restauracji i swoim ochroniarzom kazał posprzątać, odsunąć na bok ciała i zadzwonić do rodzin zabitych żeby, jak najszybciej je zabrali bo inaczej będą mieć kłopoty. - A teraz jedź stąd. Jak najszybciej jedź – rzucił do mnie.

Nie mówiąc nic wsiałem do auta i odjechałem. Wiele w swoim życiu widziałem, przygotowywałem się też do wyjazdu wcześniej, ale słyszałem, że konflikty rozwiązywały tutaj raczej pieniądze, a nie kule. Nie wykluczone, że dochodziło do tego właśnie w takich miejscach na prowincji, a w większych miastach było spokojniej i sprawy załatwiano łapówkami w sądach, których działalność zresztą na tym obecnie polegała, aby każdy przedstawił swoje atuty, czy to finansowe, czy to w postaci pozycji społecznej własnej bądź kogoś z rodziny lub znajomych.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że właściwie nic mnie tutaj nie chroni, że jeżeli to ja bym komuś się naraził, nawet policjantowi, skończyłbym pewnie martwy w jednym z pobliskich bagien. Wątpliwe jest, aby ktoś dzwonił do mojej rodziny żeby zabrała ciało. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że polityka zgadzania się z rozmówcami jest prawidłowa.

Gdy wyjeżdżałem z parkingu po prawej stronie drogi zobaczyłem billboard z uśmiechniętymi Krezusem i Hojnym w słomianych kapeluszach na żółtym polu rzepaku, z wklejoną nieporadnie w zdjęcie karczma i mającącym na horyzoncie kombinatem oraz sanatorium: „Żegnają Państwa Krezus i Hojny. Kto nie pracuje, ten nie je”.

Postanowiłem nie zatrzymywać się do samej Stolicy, a po prostu jechać. Płaciłem tylko na kolejnych bramkach, kolejnym miejscowym właścicielom ziemskim, hutnikom i fabrykantom. Zmieniała się jakość dróg, raz była lepsza, raz gorsza. Elementem stałym były pola, lasy i bagna. Wyprzedzałem od czasu do czasu wypakowane po brzegi auta gasterbeiterów wracających z Zachodu, czy tylko przyjeżdżających na wakacje do swoich rodzin.

Im bliżej Stolicy, tym częściej na poboczu stali ludzie czekający zapewne na podwiezienie. Nie było to do końca jasne bo rzadko który z nich machał. Większość stała obojętnie i równie obojętnie patrzyła na przejeżdżające auta. Po pewnym czasie zorientowałem się, że kierowcy po prostu wiedzieli, że można się zatrzymać, wziąć pasażera i oczywiście na tym zarobić. Widziałem zatrzymujące się auta, do których wskakiwali nowi pasażerowie.

Byłem coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej chciało mi się spać. Sytuacja z Krezusem i Hojnym powoli odpuszczała, choć co chwila zdawałem sobie sprawę, że byłem bardzo blisko utraty własnego życia. O ile jednak śmierć w PK w strzelaninie między dwoma miejscowymi biznesmenami byłaby ciekawym faktem prasowym, o tyle rozbicie się samochodem z powodu zmęczenia i snu byłoby banalne. W związku z tym zacząłem szukać potencjalnego pasażera. Mężczyźni odpadali. Po historii z Hojnym i Krezusem raczej bałem się, żeby nie skończyć z kulą w

głowie. Broni był tutaj dostatek, a życie niczym nie chronionego obcokrajowca mało warte. Zresztą podobnie, jak zwykłego obywatela Pierwszego Korupcyjnego.



Rozdział V, w którym wreszcie dojeżdżam do Stolicy, ale zanim to nastąpi dowiadujemy się więcej o ciężkim życiu w PK

Na przystanku stała kobieta z dzieckiem, wyjątkowo, zapewne widząc zachodnie numery, zamachała. Zatrzymałem się choć wiedziałem, że zaraz będzie autobus, mijalem po drodze rozklekotane pudło pełne ludzi. Jeślibym się nie zatrzymał, zmorzyłby mnie sen.

Zapytała, czy jadę do Stolicy, potwierdziłem, usiadła z tyłu z dzieciakiem. Sama miała na oko 35 lat, choć pewnie była o wiele młodsza. Była bardzo zaniedbana, na głowie miała dziwną wysoką fryzurę, jakby zrobioną w latach '90 XX wieku. Grzywka zachodziła delikatnie na oczy. Położyła dłoń na przednim fotelu, paznokcie otaczała od dołu linia brudu. Dłonie i palce były zgrubiałe. Pod nosem lekki czarny wąsik. Ubrania koloru fioletowo – pomarańczowego sprawiały wrażenie losowo wybranych. Chłopiec, chyba 4-letni, też nie był najlepiej ubrany, ale miał jeden duży plus: był spokojny, bawił się cały czas małą butelką wody i nic nie mówił. Przez chwilę jechaliśmy milcząc, starałem się śledzić, co się dzieje na drodze, szukałem jakiegokolwiek stacji radiowej, bezskutecznie, otaczał nas tylko szum. Kobieta patrzyła za okno. Widać było, że myśli głównie o swoich sprawach i nie są to myśli radosne.

- Wszystko w porządku? Coś panią męczy? - zapytałem w końcu i z ciekawości i aby walczyć ze snem. Te dwa pytania wywołały potok, a nawet tsunami, słów. Kobieta oderwała się od okna i zaczęła mówić do mojego odbicia w lusterku. Mówiła szybko i niewyraźnie o tym, że na prowincji jest mało pracy, lokalny biznes dba o to, aby miejsc pracy było mało tak, aby pracownicy musieli o nie walczyć i zgadzać się nawet na najgorsze warunki. Za to, aby zostać zatrudnionym na farmie, czy w jakimkolwiek małym zakładzie, trzeba zapłacić łapówkę, nie mówiąc o hucie, czy większej fabryce, a ona pieniędzy w ogóle nie miała. Państwo oczywiście tym bardziej nie mogło pomóc bo właściwie państwa w tym państwie nie było. To akurat dodałem od siebie ponieważ kobieta raczej nie była skłonna do uogólnień. Innego życia właściwie nie znała i była święcie przekonana, że tak wygląda życie na oko 35-letnich kobiet na całym świecie. Zwykli ludzie są nic nie warci, skazani na łaskę i niełaskę bogatych. Jeśli ci ostatni dzielili się swoim majątkiem, oznaczało to, że mają bardzo dobre serca.

- A pan wie, że w zeszłym roku pan Krezus z pobliskiej wsi, wraz z panem Hojnym, rozdali wszystkim dzieciom po jednym zeszytce ze swoim zdjęciem na 1 września. Widzi pan, jacy dobrzy ludzie. Są u was tacy? Pewnie nie. Ja widzę w telewizji, co się u was dzieje, jak kradną, jak ludzie biednie żyją. Wojna, narkomania, ciągłe podziały, kłótnie, uchodźcy, powódzie, przemoc na ulicach, parady gejów, mużulmanów, lesbijek. A w Chinach? Tam jeszcze gorzej. Ja już wolę żyć tutaj – kontynuowała swoją opowieść o Europie i Azji w ruinie kobieta.

Niestety, z tej i z innych rozmów z miejscową ludnością wynioskowałem, że rzeczywiście tak odbierają oni zagranicę. Oglądają niemal tylko lokalną telewizję i czytają tylko miejscowy internet, w którym jest odpowiednio przedstawiona konkretna wizja świata, gdzie sukcesy odnosi PK i jeszcze kilku jej sojuszników. Reszta państw jest w upadku. Propaganda jest robiona bardzo umiejętnie. Oligarchowie dużo inwestują w kanały telewizyjne i portale internetowe, które pełne są całkiem dobrej rozrywki z wplecionymi poważniejszymi wiadomościami. Też dobrze zresztą zrobionymi, w których wychwalana jest korupcja, łapówkarze przedstawiani jako ludzie sukcesu, a Zachód, Chiny, Korea⁸ i opozycja jako siedlisko zgnilizny. Podstawowy przekaz jest ustalany na poziomie Rady Nadzorczej Państwa i przekazywany później w formie instrukcji, o których wydarzeniach informować, o których nie i w jakim świetle je przedstawiać. Początkowo część dziennikarzy buntowała się przeciwko takiej formie pracy. Protesty zostały zauważone przez oligarchów – wszyscy buntownicy zostali zwolnieni, a zastąpili ich posłuszni wykonawcy. Bunt uśmierzono także przez znaczne podwyżki dla tych, którzy zdecydowali się być lojalni. Wprowadzono cenniki, ile zainteresowani mają płacić za pochwalne materiały na swój temat, ile za negatywne o swoich konkurentach, a ile za przemilczenie pewnych spraw. Faktycznie odbywały się przetargi. Jeśli oligarcha A chciał zamówić materiał krytyczny wobec oligarchy B, ten ostatni był o

⁸ Zjednoczona Korea - państwo powstałe w 2019 roku w wyniku zjednoczenia Korei Północnej i Południowej.

tym informowany i sugerowano mu, że może zapłacić odpowiednio wyższą kwotę, aby sprawa została przemilczana bądź też aby zrobić negatywny materiał o A. Powodowało to, że w mediach kręciły się ogromne pieniądze. Internet, który na początku XXI wieku wydawał się oazą wolności, teraz był tutaj w pełni cenzurowany. Ci którzy próbują korzystać z zachodnich serwisów, czy tak zwanego dark netu, są surowo karani. Jeszcze 10 lat temu można było mówić o podziemnym dziennikarstwie śledczym. Lata prześladowań, w tym fale zaginięć, zrobiły jednak swoje, niektórzy z dziennikarzy wyjechali, inni po prostu zamilkli.

Efekty tego było widać właśnie w czasie rozmów ze zwykłymi ludźmi. Fakty były takie, że dla Krezusa i jego już świętej pamięci kolegi Hojnego rozdanie kilku paczek zeszytów w szkole to żaden wydatek, za to dla miejscowych był to prezent – marzenie. Lokalni oligarchowie wypłacali ludziom grosze i ci doprowadzeni do skrajnej biedy byli wdzięczni za każdą pomoc. Oczywiście tego rodzaju akcje były maksymalnie nagłaśniane. Tę samą biedę wykorzystywali więksi biznesmeni, działający w skali kraju, którzy mieli duże zakłady pracy i maksymalnie obniżali koszty pracy. Ludzie godzili się na jakiegokolwiek pieniądze żeby chociaż mieć za co przeżyć.

Dlatego mąż mojej pasażerki, który ukończył cztery obowiązkowe klasy podstawówki, miał się różnych zajęć, a gdy później ją poznał i urodziło im się dziecko, opuścił rodzinne strony i pojechał do Stolicy. Zresztą za zgodę Krezusa i Hojnego na wyjazd też musieli zapłacić. Złożyła się cała rodzina licząc na pomoc w przyszłości. Teraz moja pasażerka jechała do męża. Liczyła, że może znajdzie tam jakąś pracę. Jakąkolwiek. Kobiety były wypuszczane z udziałnego księstwa olejowych oligarchów w ramach tego, co nazywano „polityką prorodzinną”. Ogromne rzesze bogatych w Stolicy potrzebowały jeszcze większej grupy ludzi, która ich obsługiwała. Począwszy od pokojówek, opiekunek do dzieci, przez kucharki, mechaników, ogrodników, ochroniarzy itp. itd.

Po półgodzinnym monologu, w czasie którego nie miałem nawet szans zadać pytania, kobieta w końcu zamilkła, zajrzała do torebki i wyciągnęła komórkę.

- Nie ma zasięgu – powiedziała do siebie i odłożyła ją na miejsce.

- Cierpliwości, zaraz dojedziemy, bliżej Stolicy na pewno będzie - odpowiedziałem.

O tym, że zbliżamy się do Stolicy świadczyły pierwsze naprawdę ogromne fabryki. Nie były to już małe zakłady, czy nawet średniej wielkości, jakie mijałem po drodze, a kombinaty zajmujące powierzchnię jednej dzielnicy miasta. Dym z kominów był najczęściej czarny, ale zdarzał się też pomarańczowy, czy różowy, a nawet fioletowy. Wtedy jeszcze zastanawiałem się, czy działa tutaj jakaś inspekcja ekologiczna. Później dowiedziałem się, że tak, działała, ale tylko do 2023 roku. Wówczas Inspekcja Sanitarno Ekologiczna została zastąpiona przez Grupę Poborów Ekologicznych GPE, która była kontrolowana przez jednego z oligarchów. To jemu płacono za to, że można było produkować, jak się chciało, nawet metodami z XIX wieku. Zapłacić łapówkę było taniej niż modernizować zakład. Przy niskiej opłacie pracy nie było sensu inwestować w wydajniejsze technologie. Wschodni sąsiedzi Pierwszego Korupcyjnego zapewniali tanie surowce energetyczne w zamian za poboczne dochody. Dzięki tym czynnikom miejscowi oligarchowie mogli liczyć na ogromne zyski.

Niektórzy próbowali przestrzegać przepisów, ale dotyczyło to tylko szczątkowego małego i średniego biznesu, który myślał, że w ten sposób chociażby zwiększy efektywność, ale zazwyczaj inspektorzy GPE znajdowali i tak jakieś naruszenia, a jeśli nie, parlament odpowiednio zmieniał przepisy żeby takie naruszenia się pojawiły i żeby kontrolujący mogli zarobić. Doprowadzony do upadku przez liczne łapówki zakład był przejmowany przez większy biznes. Oczywiście podobnie, jak w przypadku innych tego typu stanowisk, inspektorem zostawało się za dość wysoką opłatę, a później część dochodów odprowadzano swoim zwierzchnikom. Mimo to w kieszeni samego inspektora i tak zostawała konkretna suma. W Stolicy jedną z dzielnic nazywa się nieoficjalnie „Inspektorówką”. Są tam eleganckie wille za wysokimi murami należące właśnie do funkcjonariuszy różnych organów kontrolnych.

Z jednej strony dymiące kominy przerażały, ale z drugiej było w nich coś pociągającego w ich destruktywnej sile i w małości człowieka. Ogrom zakładów z szarymi, różowymi i czarnymi od dymów murami, niszczył fizycznie i psychologicznie. Robotnik tego typu kombinatu jest w nich jedynie małym trybikiem w przeogromnych maszynach. Wie, że niewiele od niego zależy, a jeśli

zdecyduje się zbuntować, zostanie po prostu wymieniony na innego takiego samego, jak każda inna część. Pracodawcy przy każdej okazji przypominali, że na jego miejsce czeka 10 innych.

Za to moja pasażerka była zachwycona. Chłopak też przysunął się do okna.

- Widzi pan, ile tu się produkuje! Nasz kraj się rozwija. Gdzieś tu pracuje mój mąż i ja też mam nadzieję znaleźć pracę. Wie pan jaki ma numer? 298892! O taki szczęśliwy numer.

- Dlaczego szczęśliwy?

- No tak, szczęśliwy. Bo jak go podzielić na pół to są te same liczby, tylko jakby w lustrze.

To przynosi szczęście.

- Dobrze, ale ja nie zrozumiałem w ogóle o co chodzi z samym numerkiem.

- Każdy robotnik ma numer, tak łatwiej go identyfikować. Czasem oni później tak się do siebie zwracają: dziewiątka, trójka, w tym stylu. Dwa dziewięć osiem, tak podobno mówią do mojego męża.

- Co on tam robi? – zapytałem przemilczając kwestię zabobonów numerkowych. Zresztą miejscowa ludność bardzo często szukała szczęścia właśnie w tego rodzaju wierzeniach. Cerkiew starała się z tym walczyć, ale raczej bezskutecznie.

- Pracuje na hali numer 10, produkują tam azbestowe pokrycia dachowe.

- Azbestowe? To pewnie dużo ludzi tam choruje – zdziwiłem się bo ten materiał na Zachodzie został już dawno zakazany ze względu na swoją rakotwórczość i nawet w Chinach jego produkcja jest stopniowo ograniczana. Dopiero wówczas skojarzyłem, że większość dachów w mijanych po drodze domach była właśnie z eternitu zawierającego azbest.

- Ja wiem... Nie interesowałam się. Zresztą tam można pracować tylko do 45 roku życia, więc zostało mu jeszcze 5. Potem już zwalniali i nie da się nawet zapłacić żeby pracować dłużej. Ale nie wiem, dlaczego tak jest. Najważniejsze, że dają zarobić.

Ani się nie obejrzałem, jak niemal dojechaliśmy do samej Stolicy. Przed roгатką ustawiła się niewielka kolejka. Stałem za autem, które miało nie domykający się bagażnik przywiązany sznurkiem do haka dla naczep. Ze środka wystawały wysokie walizy. Karoseria była w białych plamach świadczących o tym, że właściciel stara się dbać o to, aby rdza nie zniszczyła całkowicie jego samochodu. O ile stać go było na usunięcie rdzy, to na ostateczne i kompleksowe pomalowanie auta nie. Podobne maszyny stały za i przede mną. Co rusz omijały nas lepsze i droższe samochody. Ich kierowcy ze zdziwieniem patrzyli na moje auto. Rzadko można było spotkać obcokrajowca, szczególnie w tej ogólnej kolejce. Pasażerka coraz bardziej się niecierpliwiła. Widać było, że chce coś powiedzieć. W końcu nie wytrzymała.

- Pan pojedzie za nimi. Takim samochodem, jak pan ma, nie wypada tu stać, jeszcze z dobrą winietą i na zachodnich numerach – powiedziała. Skręciłem w lewo i ruszyłem za eleganckim jeepem. Dojechał do bramek wjazdowych do miasta. Przypominały one te na Zachodzie przed autostradami. Dopiero teraz zauważyłem, że tutejsze dzieliły się jednak na więcej kategorii. Nad każdą z nich umieszczone były różne napisy: TIR, Normal i Extra. Przy każdym wisiała tabliczka z ceną. Ciężarówki płaciły 100, Normal 20, a Extra 200. Wjazd był zorganizowany w ten sposób, że liczba bramek Extra była kilkukrotnie większa niż Normal. W rezultacie na tych pierwszych nie było w ogóle kolejek i oprócz eleganckich aut wjeżdżały tamteży też tańsze samochody tych, którzy nie mieli cierpliwości stać w kolejce, a stać ich było żeby zapłacić więcej.

- Witamy w Stolicy – powiedziała kobieta dłoń w okienku, której dałem dwusetkę. Widziałem tylko jej rękę, która podała czerwoną naklejkę. - Proszę nakleić to na przednią szybę, będzie pan mógł jeździć pasem Extra. Szerokiej drogi.

Nie miałem czasu nawet spojrzeć, co tam było napisane. Rzuciłem naklejkę za deskę rozdzielczą, tak żeby było ją widać z przodu. Dołączyła tym samym do kupionej wcześniej winiety "dziewięćdziesiątki".

Zaraz za roгатkami moja pasażerka poprosiła żeby skręcić i podwieźć ją na pobliskie osiedle. Ta nazwa doskonale oddawała duch miejsca, gdzie mieszkał jej mąż. Ludzie osiedlili się tutaj niedawno, a nawet ci którzy zamieszkali lata temu cały czas starali się udawać, że to tylko na razie. Pozwalało im to pewnie utrzymywać, że niedługo się stamtąd wyprowadzą i będą mieszkać gdzie indziej, w o wiele lepszych warunkach. Dotąd nie byli pogodzeni z własnym losem.

Osiedle wyglądało tragicznie i chaotycznie, domki przypominały bidawille w Republice Bursztynowej, tylko były jeszcze biedniejsze. Były sklecone z byle czego: płyt pilśniowych, sklejek, eternitu, a funkcję szyb pełniły wymontowane z autobusów okna z czarną gumą izolacyjną, albo zwykła przezroczysta folia. Takich „okien” było mało. Za bardzo uciekało przez nie ciepło. Nad bidawillami wisiała płatanina kabli elektrycznych. Tuż za nimi widać było szare wysokie bloki, przypominały one patchwork ponieważ budowlancy zbudowali jedynie konstrukcje z żelbetu. Każdy z mieszkańców wypełniał ją czym mógł budując własną ścianę: ktoś cegłami, ktoś stawiał po prostu płytę pilśniową. Niektórzy byli w stanie nawet ocieplić swoje mieszkanie styropianem. Z niektórych ścian wystawały kominki od burżujek. W efekcie bloki sprawiały wrażenie piętrowych bidawilli.

Dróg nie było, a jedynie ubity piach, czasem wysypany żwirem. Wszędzie latały dzieciaki, kobiety nosiły wodę ze studni. Podjechał autobus. Wyszli z niego niemal sami mężczyźni, którzy wracali zapewne ze zmiany w pobliskim zakładzie pracy.

Przed domami siedzieli starsi ludzie i kobiety z dziećmi. Panował straszny upał więc zwały śmieci, które były wyrzucane bezpośrednio na kawałek pola, potwornie śmierdziały. Kręciły się wokół nich koty i kozy, a także bezdomne psy. Żyły one w tym miejscu w doskonałej symbiozie korzystając z tego współczesnego karmnika. Koło niektórych „domków” stały stare połatanne auta. Parkingi przed blokami też były pełne tego rodzaju maszyn. Niektóre mogły budzić podziw, że jeszcze jeździły.

Kobieta, która od dłuższego czasu milczała, odezwała się:

– Mąż mówi, że jeszcze kilka lat tak pożyje i może uda nam się kupić mieszkanie na blokowisku. O tam dalej. Musimy jeszcze trochę wytrzymać. Tam jest jeszcze inny zakład i jak mój mąż odejdzie z tego, gdzie teraz pracuje i zatrudni w tym drugim, to będzie mógł zapłacić łapówkę i wtedy, to ma szansę wykupić sobie mieszkanie w bloku! One są tam bliżej do tamtego zakładu – machnęła ręką wskazując na piętrowe bidawille, które widziałem wcześniej.

- Widzi pan, powoli, powoli idziemy do przodu, a potem awans i blok, ale to później – dodała. - W każdym razie mamy przyszłość!

Chciałem dodać, że w to wierzę, jeśli oczywiście jej mąż przeżyje jeszcze kilka lat i uda mu się zmienić zakład, ale jej de facto smutne opowieści zaczęły wpędzać mnie w depresję. Za to mały nagle uśmiechnął się od ucha do ucha i zaczął wołać „tata, tata”. Jednym z mężczyzn, który wysiadł z autobusu był jego ojciec. Przygarbiony podkaszający facet, który cały czas trzymał jedną rękę przy ustach, był ubrany w szary kostium, jakby wyszedł prosto z hali produkcyjnej, w ręku niósł czarną reklamówkę. Wyglądał co najmniej na 50 lat, choć z tego, co mówiła jego żona wynikało, że miał około dziesięciu lat mniej. Gdy zobaczył kobietę i syna uśmiechnął się szeroko – z jego zębów niewiele zostało. Za to radość była ogromna. Widać, że jest to kochająca się rodzina. Rodzina z perspektywami, szkoda że wątpliwymi i azbestowo-szarymi.

Zostawiłem kobietę z dzieckiem i wróciłem na trasę kierując się już do centrum miasta. Bieda domki były coraz rzadsze, za to coraz częściej widać były szare betonowe bloki wypełnione patchworkiem śmieciowych ścian. Dziesiątki bloków poustawianych jeden koło drugiego niedaleko od zakładów pracy. Później był kolejny etap awansu społecznego, czyli ogromne szare bloki, ale już ze zwykłymi ścianami z wielkiej płyty, liczące po kilkadziesiąt pięter. Mimo to budynki były zbite do granic możliwości, stały tuż obok siebie, a mieszkańcy zaglądali sobie w okna. Czasem szyby były zaklejone aluminiową folią, która miała chronić przed piekącym słońcem, a także przed wścibskimi sąsiadami. Metraż był chyba dość mały bo każdy z nielicznych balkonów był zabudowany i wypełniony do granic możliwości różnymi szpargałami, często za oknem, na specjalnym haku wisiał rower albo sanki. Albo jedno i drugie.

Część bloków, tych bliżej centrum, była zbudowana jeszcze w dawnych, radzieckich, czasach. Dla mieszkańców przewidziano wówczas pewną swobodną przestrzeń życiową. Ludzie nie zaglądali sobie w okna. Bloki były niższe od tych budowanych obecnie. Zapewne między nimi, było kiedyś miejsce na szkoły, przedszkola, place zabaw i przychodnie, a teraz stawiano tam nowe bloki. Robiło się coraz gęściej. Pierwsze zostały zlikwidowane place zabaw, zamiast nich pomiędzy stare budownictwo zostały wsadzone kolejne budynki, najczęściej wyższe i o dziwo brzydsze, choć

wcześniej wydawało się, że nic brzydszego niż pudełka z czasów Związku, być nie może. Z niektórych okien sterczały niewielkie kominy od burżujek. Część mieszkań była ocieplona z zewnątrz. Każdy kładł styropian tylko przy swoim m2, choć czasem sąsiedzi składali się i ocieplali kilka pięter od razu. Okna na klatkach schodowych były powybijane.

Trasa, która prowadziła przez miasto była dobrej jakości. Trochę stałem w pojawiających się i znikających zatorach, choć dość szybko zorientowałem się, że dzięki kupionej na bramce czerwonej naklejce z napisem „Extra”, mogę jechać pasami dla bogatszych mieszkańców. Pierwszy pas z prawej zajmowały bowiem rozwalające się autobusy, które ledwo ledwo przemieszczały się do przodu. Farba obłaziła, gdzieś widać było rdzę, albo dziury, które wyżarła. W innych miejscach blacha karoserii wyglądała na wyklepaną, a zamiast okien były kawałki dykty, bądź też starych mebli i reklam wydrukowanych na metalowych płytach. Kolejnym pasem jechały starsze i nowsze samochody, o dziwo wszystkie jechały zgodnie z przepisami nie przekraczając dozwolonej w Pierwszym Korupcyjnym prędkości. Dwa pozostałe pasy były oddzielone grubą czerwoną linią, śmigały tam drogie auta z zawrotną szybkością. Na ich szybach migotały czerwone naklejki z napisem „Extra”. Ta miejscowa winieta, jak się bowiem okazało, oprócz pozwolenia na przemieszczanie się specjalnym pasem dawała niemal pełną ochronę przed jakąkolwiek policją i kontrolą. Na tych pasach nie było żadnych ograniczeń, można było robić co się chciało i jak się chciało. Obowiązywała jedna zasada: kierowca droższego lub większego auta ma zawsze rację.

Choć z tego, co zobaczyłem i o czym przekonałem się chwilę później, obowiązuje ona wszędzie, gdzie dochodzi do stłuczki. Pośrodku na sąsiednim pasie dla biedniejszych mieszkańców, między dwoma samochodami leżał potrącony mężczyzna, z ucha ciekła krew. Nie dawał oznak życia. Na miejscu już była karetka, lekarze starali się pomóc ofierze choć nie robili tego zbyt aktywnie. Wydawało się, że jego los jest już przesądzony. Mężczyzna wyglądał na robotnika z pobliskiej fabryki, w dodatku przechodził w niedozwolonym miejscu. Pojawiła się też policja. Zrobił się niewielki korek i musiałem zwolnić. Widziałem, jak na masce policyjnego auta kierowcy dwóch potężnych zaangażowanych w wypadek SUVów z naklejkami Normal+ (klasa niższa od Extra, ale + oznaczało lepszy samochód) kładli pieniądze i pokazywali legitymacje. Z ciekawości uchyliłem okno. Słyszałem strzępki rozmowy:

- 200 i mam legitymację Wyższego Organu Kontroli – mówił jeden z uczestników stłuczki.

- Też kładę 200 i dodaję legitymację poświadczającą, że jestem członkiem Wyższej Korupcyjnej Rady Sędziów – odpalił drugi.

- 400 i telefon do znajomego. A mój znajomy jest naprawdę wysoko postawiony!

- 450 i legitymacja Urzędu Kontroli Obiegu Narkotyków. Bez telefonu.

- Pas.

W tym momencie głos zabrał policjant:

- OK, czyli mamy ustalone, kto jest winien potrącenia i jaka będzie kara – mówił funkcjonariusz wyraźnie zadowolony, że spór udało się szybko rozwiązać. - I następnym razem, panowie, z taką prędkością radzę jeździć jednak pasem “Extra”. Z tego, co widzę stać panów na taką przyjemność - uśmiechnął się życzliwie.

Tymczasem ja musiałem już jechać dalej, za mną rozległy się sygnały klaksonów. Dodałem gazu, aby jak najszybciej dojechać do hotelu. Zostawiłem auto na parkingu, wziąłem walizkę i poszedłem wymęczony drogą do zarezerwowanego wcześniej pokoju.



Rozdział VI, z którego dowiadujemy się, dlaczego internet nie działa w nocy i jak wygląda życie codzienne mieszkańców Stolicy i jej gości

Hotel National-Związek, jak sama nazwa wskazywała pamiętał jeszcze dawne radzieckie czasy. Zmodernizowano właściwie tylko recepcję. Winda była wehikułem czasu, który przeniósł nas dziesięciolecia do przeszłości. Korytarz wyłożony był niekończącymi się dywanami pod którymi była skrzypiąca brudno - brązowa klepka. Naprzeciwko wyjścia z windy ustawiony był ciężki stół kierującej piętrem. Wieczorem jej miejsce było puste, został tylko stary spracowany zeszyt i wyłączona lampka. Wyglądało to, jak rekonstrukcja hotelu z lat '80 XX wieku. To stąd zapewne wykonywano w nocy telefony do zaspanych gości płci męskiej z odwiecznym pytaniem: nie potrzebuje pan dziewczyny do towarzystwa?

Sam pokój wyglądał trochę lepiej choć podłoga była podobna, a ślady na ścianach wskazywały na liczne wydarzenia alkoholowo - erotyczne, do których tam dochodziło. Na biurku koło lampki i zeszytu z ważnymi telefonami hotelowymi, czekała na mnie butelka miejscowej wódki Zysk, która -jak się później dowiedziałem- nazywana była przez miejscową ludność „połówką”. Bynajmniej nie z powodu objętości. Jak wytłumaczyli mi miejscowi biznesmeni, miała ona tylko 20% alkoholu, czyli połowę tradycyjnej mocy tego rodzaju napojów, reszta spirytusu zostawała u właściciela zakładów. Na stole leżały też eleganckie materiały reklamowe zachęcające do inwestycji w Pierwszym Korupcyjnym. „Czy inwestowałeś kiedyś w państwie, gdzie nie ma podatków, a panuje prawdziwie wolna ręka rynku? Gdzie jedyny podatek, który powinieneś płacić to VAT? Chcesz z niego zrezygnować? Nawet tu możemy się dogadać!” Ostatnie zdanie zostało wyodrębnione tłustą czcionką. W folderze były opisy poszczególnych regionów wraz z pozdrowieniami od kontrolujących je mniejszych albo większych oligarchów. Każdy z nich miał pod sobą kilka departamentów. Byli tacy, którzy mieli więcej, a byli też tacy, którzy mieli mniej. Jeden z najbogatszych z nich, w elegancko skrojonym garniturze, pisał: “Gdy zaczynałem swoją drogę w biznesie kilkanaście lat temu, nie przypuszczałem, że będę człowiekiem sukcesu, od decyzji którego zależą losy milionów ludzi. Mogę im płacić, mogę nie płacić, mogę ich zwolnić, mogę zamknąć kontrolowane przeze mnie szkoły i szpitale. U siebie jestem kimś. Ty też możesz skorzystać z moich robotników i chłopów. Przyjeżdżaj, dogadamy się!” Temu dość otwartemu wyznaniu towarzyszyło zdjęcie biznesmena na tle dymiących kominów jego zakładów i pola, na którym trudziło się kilkanaście osób. Co mnie uderzyło, to niemal zupełny brak maszyn rolniczych. Od dziesięcioleci, a może nawet od setek lat, ludzka praca była tutaj mniej warta niż na Zachodzie, czy nawet teraz w Chinach. W nowoczesnej historii tak było od lat '90 XX wieku, a może nawet wcześniej.

Władza centralna ułatwiała wykorzystywanie pracowników ponieważ rządy w Stolicy były zawsze słabe, a stały się jeszcze słabsze po dwóch kryzysach politycznych, do których doszło w pierwszych dwóch dekadach XXI wieku. Kontrola nad poszczególnymi regionami została przekazana najbogatszym biznesmenom, którzy zapewnili w nich pewną stabilizację. Po latach wzmocnili swoje pozycje rugując władze państwowe. Następnie doszło do przewrotu oligarchicznego polegającego na rezygnacji z takich instytucji, jak parlament, rząd, a nawet prezydent. Władzę przejęła Rada Nadzorcza Państwa, zwana też Radą Oligarchów, wybierająca co kilka lat swojego przewodniczącego. Funkcje państwa ograniczono do minimum. Większa część społeczeństwa zawiedziona chaosem panującym wcześniej zaakceptowała z entuzjazmem nowy system polityczny licząc na to, że oligarchowie będą dbać o własne udzielne księstwa i ich mieszkańców. Tak się jednak nie stało, a właściwie stało się zupełnie odwrotnie, ponieważ dokładnie kalkulowali oni koszty i byli zainteresowani jedynie we własnych zyskach. Wszelkie instytucje dotąd państwowe, jak policja, organy kontrolne, zostały przekazane w prywatne ręce. Korupcja została zalegalizowana, a urzędnicy byli zmuszeni do płacenia doli swoim zwierzchnikom. Wywołało to niezadowolenie części społeczeństwa i falę emigracji na Zachód. Została ona zatamowana przez samych oligarchów, którzy wprowadzili niemal zaporowe opłaty wyjazdowe. Ochrona granic była jedną z niewielu sfer, które były opłacane z niewielkiego budżetu centralnego. Oligarchowie obawiali się bowiem odpływu taniej siły roboczej. Z budżetu opłacana jest też

początkowa, 4-klasowa, edukacja oraz podstawowe zabiegi reanimacyjne. Budżet państwowy nazywany był w słowniku urzędniczym terminem „Obszczak”. Nawiązywał do tradycji lat ‘90 i często mających charakter kryminalny początków obecnych oligarchów. Właśnie mianem „obszczaka” określano wspólne pieniądze zbierane przez kryminalistów wszelkiej maści na wypadek nieprzewidzianych okoliczności, na przykład, trudnej sprawy potrzebującej dobrego adwokata, czy konieczności zapłacenia większej niż zazwyczaj łapówki.

Wyjrzałem przez okno. Słońce prawie już zaszło i ostre padające z niska światło wyostrzało całą strukturę miejską. Tym razem z góry widziałem śmigające samochody i biedotę stojącą w korkach w autobusach. Okna zalepione były czymś i kominy z burzujek. Teraz było lato, a jaki musiał być smog zimą, gdy wszyscy korzystają z tego rodzaju ogrzewania. Dopiero teraz zauważyłem, że każdy dom był oblepiony nielegalnymi dobudowami. Ktoś, najczęściej z niższych pięter dobudowywał sobie jeden pokój na bazie balkonu bądź nawet poza nim. Sąsiedzi nad nim robili to samo. Żelazne słupy, które były wypełniane ceglami i różnego rodzaju płytami, czym się tylko dało, często odginały się za bardzo od bazowej konstrukcji, dlatego takie nadbudowy kończyły się gdzieś na wysokości 3 – 4 piętra. Później były tylko zabudowane balkony pełne wszelkiego rodzaju śmieci, do okien przylegały metalowe skrzynki, w których można było schować zimą produkty spożywcze i oszczędzić prąd rezygnując z używania lodówek. Ludzie mieszkający na samej górze dobudowywali sobie kolejne piętra. Sprawiało to wrażenie totalnego chaosu i nadawało nowy sens słowu „mrówkowiec”. Obok niszczały stare zabytkowe kamienice, których nikt, oprócz niewielu lokalnych aktywistów, nie bronił. Zresztą, aktywistami byli oni zazwyczaj dość krótko. Taka też była dla nich droga do więzienia. Byli zatrzymywani przez opłacaną przez miejscowy biznes policję, co oznaczało areszt, a następnie sąd. Ten był zazwyczaj już opłacony przez jednego z oligarchów, czy podległych mu biznesmenów, którzy byli zainteresowani przejściem starej kamienicy, jej zburzeniem i budową kolejnego wieżowca. Do ciekawych sytuacji dochodziło tylko w przypadku konfliktów między dwoma przedsiębiorcami, kiedy to jeden chciał zaszkodzić drugiemu. Wtedy starali się przekonać finansowo sąd do swoich racji. Przeprowadzany był swego rodzaju przetarg. Tylko w takich przypadkach aktywiści mieli szanse wyjść na wolność. Najczęściej jednak na krótko. Biznesmen, któremu udało się skutecznie zaszkodzić konkurentowi pomagając działaczowi, przejmował kamienicę, czy działkę budowlaną i nie był zainteresowany kolejnymi protestami. W ten sposób działacz nie mógł już liczyć na niczyje wsparcie i koniec końców trafiał do więzienia.

Nie dziwi zatem, że miasto wyglądało, jak po eksplozji bomby, które wypełniona była różnego rodzaju materiałami budowlanymi i śmieciami, które mogły być jako takie wykorzystane. Stare budynki niszczeją, nowe obrastają nadbudówkami, jak drzewa grzybami, a pośród nich pojawiają się jeszcze nowsze, ze stali i szkła lub bizantyjskie pałace. Takie było centrum. Daleko widać było szare blokowiska. W tym całym pstrokatym krajobrazie gdzieś tam były nowe niewielkie świątynie, wciśnięte między biurowce i mieszkalne konglomeraty. Choć były małe to wszystkie opływały złotem, przynajmniej tak się wydawało patrząc na nie z okna hotelu, co zresztą podkreślało pomarańczowe światło zachodzącego słońca. W ten sposób pewnie bogaci kupowali przychylność duchownych. Tak, jak w latach '90 cerkwie budowali głównie kryminaliści bądź ci, którzy działali na granicy prawa.

Księża odgrywają zresztą ważną rolę w ideologii państwa korupcyjnego. To im przypada zadanie tłumaczenia społeczeństwu, że sukces finansowy to element Bożego błogosławieństwa. Taką rolę dał im rządzący oligarchat. Aby pokazać, że ich sukces ma nie tylko ziemskie pochodzenie, inwestują w nowe świątynie. W ten sposób za siłą pieniędzy staje jeszcze siła ponadludzka, boska. Ubodzy i ci którzy przyjeżdżają masowo do wielkich miast są przekonywani, że „taki jest ich los” i ich przeznaczeniem jest pogodzenie się z miejscem i rolą, w jakiej się znaleźli. „Bóg chlubi bogatych i toleruje biednych – być może ci pierwsi zasłużyli wygranej, a ci drudzy przegranej” - to cytat z kazania jednego ze stołecznych duchownych. Każdy z bogatych ma swojego przewodnika duchowego, który najczęściej jest w pewnym stopniu doradcą biznesowym zachęcającym do inwestycji w sferze religijnej. Często tłumaczy, że pieniądze odebrane biednym,

czy też zarobione ich kosztem są elementem boskiego planu, w którym życie dla jednych to błogosławieństwo i początek raj, a dla drugich przekleństwo i przedsiónek piekła.

Zamyśliłem się i nie zauważyłem, jak zaszło słońce. W jednym momencie za oknem zrobiło się niemal całkowicie ciemno. Zgasło światło prawie na wszystkich ulicach i w części bloków. Choć w niektórych bogatszych z wyglądu budynkach nadal się paliło. W hotelu też. Spojrzałem na zegarek: była dokładnie 22.00. Jakby ci, którzy mają władzę w państwie mówili swoim poddanym, że czas już spać. Ich życie na dzisiaj się skończyło, przyszedł czas na sen, żeby jutro znowu odżyć i wrócić do wielkich zakładów pracy. Wrócić do obsługi oligarchów, którzy potrzebowali niań, sprzątaczek, kucharek i innych sług. W ten sposób ubodzy dostawali okruchy ze stołu pańskiego. Ci, którzy chcieli żyć inaczej i w ogóle wiedzieli, że można żyć inaczej, już dawno wyjechali.

Jak wspomniałem, na szczęście w hotelu prąd był. Postanowiłem sprawdzić korespondencję w swoim telefonie. Wiedziałem, że internet w PK jest cenzurowany, bardzo trudno czytać strony zagraniczne, wymaga to pewnego zaawansowania informatycznego. Nie wiedziałem jednak, że internet nie jest całodobowy. Ale po kolei. W telefonie znalazłem sieć o prostej nazwie: Hotel_24, co sugerowałoby, że działa cały czas i jest to sieć mojego hotelu. Podłączyłem się, jednak każda próba wejścia na jakąkolwiek stronę kończyła się komunikatem, aby skontaktować się z recepcją albo operatorem. Moja cierpliwość się kończyła. Korzystając z jej resztek znalazłem telefon do recepcji. Wykręciłem 111.

- Dobry wieczór!

- Dobry wieczór – odpowiedział mi zaspany głos, którego ton zasługiwałby na znak interpunkcyjny zupełnie odwrotny od wykrzyknika. Można by go nazwać: spalnik, czy nudnik. Przypominam, że była dopiero 22.00. No może parę minut po.

- Dzwonię z pokoju 2006, z XX piętra. Mam problem z internetem. Nie mogę wejść na swoją pocztę. Nie mogę sprawdzić, co się dzieje u mnie w kraju. Tylko wyświetla się informacja, aby skontaktować się z recepcją albo z operatorem. Co też właśnie robię.

- Proszę pana... Ja tam panu długo tłumaczyć nie będę bo jest już późno. Pod telefonem masz pan instrukcję, jak korzystać z internetu. Krótko panu powiem: jutro od ósmej. Zresztą, chce pan wiadomości, niech pan sobie włączy telewizor. Tylko jutro rano bo dziś już nikt nie nadaje. Telewizja działa już od szóstej.

- Ale... - tutaj nie zdążyłem zacząć zdania bo w słuchawce rozległ się tylko trzask jej odkładania. Grzecznie sięgnąłem po instrukcję. Nie była jaką bo miała swój numer i stempel hotelu. Instrukcja 24/234/BN/ SN/RM/456789 głosiła, że z sieci wi-fi można korzystać bez ograniczeń, ale w ramach wyznaczonych prawem godzin i tylko z ustalonej odgórnie zawartości, od 8 do 22. Strony internetowe miejscowych władz oraz lokalne serwisy informacyjne są dostępne właśnie w tym czasie. Jeżeli chce się poczytać wiadomości na zagranicznych stronach „wystarczy” (autorzy instrukcji sugerowali, że jest to dziecinnie proste) wykręcić numer Służby Informacji Publicznej, podać adres portalu, którego zawartość zostanie sprawdzona przez serwisanta, ale w godzinach działania tej instytucji, czyli od 10 do 16 i udostępni on tylko te wiadomości, jak napisano w instrukcji, które „są prawdziwe i nie wymagają zbyt wiele czasu na sprawdzenie ich prawdziwości”.

Tak właśnie wygląda wolność słowa w PK. Pomijając kwestie wiadomości, które są właściwie zestawem chwaleń oligarchat i biznes materiałów, miejscowa ludność nie ma nawet wolnego dostępu do mediów z zagranicy za pomocą internetu.

- A po co? - pytała mnie rozbrajająco otwarcie Hermelina Ajsede z ośrodka MediaZentrum, ekspertka do spraw mediów, z którą rozmawiałem w czasie swojego pobytu w Stolicy. Zajmowała się kwestią wolności słowa jeszcze w czasach, gdy ona istniała, choćby częściowo, choćby poprzez media sponsorowane przez różnego rodzaju biznesmenów. Później w czasie rewolucji oligarchicznej zmieniła front i zaczęła doradzać rządzącym. - 90% naszych mieszkańców od zawsze ogranicza lekturę do kroniki towarzyskiej. Polityka interesuje, czy interesowała, pozostałe 10%. Z tego połowa tych zainteresowanych obecnie w pełni akceptuje to, co się dzieje w naszym kraju. Czyli rozmawiamy o problemie, który dotyczy jedynie niewielkiej grupki ludności – zaznaczyła.

- To nieprawda. Ludzie potrzebują wolnych mediów. Miejscowe robią z lokalnej ludności idiotów, którzy potem oczywiście połykają wszystko to, co mówią rządzący. Oni zresztą nie chcą mieć tam obywateli, wolą biomasę – tłumaczył mi już w Warszawie anonimowo jeden z opozycjonistów, czy też może lepiej powiedzieć biznesmenów, który nie był w stanie porozumieć się z najpotężniejszymi oligarchami i który musiał opuścić PK. - Wolę podzieloną Europę z jej wojnami informacyjnymi, deep fake'ami i innymi niezbyt uczciwymi praktykami, niż stabilność Pierwszego Korupcyjnego. Już chyba nawet wolę Chiny, gdzie wolności teraz jest więcej niż na początku XXI wieku – podkreślił. Nie chciał jednak podawać swojego nazwiska. - Może jeszcze kiedyś będę tam mógł wrócić.

Gdy rano się obudziłem, a zazwyczaj robię to wcześniej, internet w hotelu jeszcze nie działał więc sięgnąłem po pilota. W większości kanałów były tylko seriale i rzadziej programy rozrywkowe. Przeważały miejscowe produkcje. Te starsze, jeszcze sprzed wprowadzenia systemu korupcyjnego były kręcone tak, aby nikt nie poznał, że dzieją się właśnie w Pierwszym Korupcyjnym, które wtedy nazywało się zupełnie inaczej. Nawiązywały one do postradzieckiej przeszłości jego i sąsiednich państw. Nie było tam miejscowych tradycji, zwyczajów, święta obchodzone przez bohaterów ograniczały się do 1 i 9 maja, 8 marca i Sylwestra. Czasem pojawiał się dzień mężczyzny, który przypadał w lutym. Bohaterowie poruszali się w wirtualnej nie do końca nakreślonej poradzieckiej rzeczywistości, która miała przekonać mieszkańców różnych państw powstałych po 1991 roku o wspólnocie ich losów: wspólnej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Czasem można odnieść wrażenie, że istniała jakaś tajna instytucja, w rodzaju działającej w podziemiu rady, której członkowie spotykają się od czasu do czasu, aby wspólnie ustalić, jak robić ludziom wodę z mózgu i jak sprawić, aby wciąż czuli się bardziej obywatelami nieistniejącego Związku niż istniejących wówczas ich państw narodowych. Przed osłabieniem Rosji, centrum tego rodzaju działań była Moskwa, ale po powołaniu Konfederacji EuroAzji politycy stamtąd bardziej walczyli o to, aby zachować swoje szczątkowe państwo w takim stanie niż o to, jak wpływać na sąsiednie.

Drugim rodzajem seriali były produkowane od niedawna filmy promujące ideę państwa korupcyjnego. Były one finansowane przez oligarchów, którzy zdawali sobie sprawę, jak ważna jest propaganda. Im nie potrzebny był bunt społeczny, potrzebowali spokojnego społeczeństwa, które by obsługiwało ich interesy i było przekonane, że jego los zależy bezpośrednio wyłącznie od miejscowej elity ekonomicznej.

W tym serialu, który akurat rano mogłem zobaczyć, żona głównego bohatera była w ciąży i szedł do lekarza, aby omówić kwestię porodu w szpitalu. Lekarz pokazał mu poszczególne sale podkreślając, że wszystko zostało zbudowane za pieniądze z łapówek. “Wiesz, jestem ateistą i dlatego jestem przekonany, że wszystko, co dobre musi nas spotkać na ziemi” – mówił 60-letni brodaty mężczyzna w lekarskim fartuchu poklepując po ramieniu trochę jednak zdezorientowanego i automatycznie potakującego młodego człowieka. Później weszli razem do gabinetu. W starszych filmach tak wyglądały salony biznesmenów, którzy odnieśli sukces: pełne skórzanych ciężkich mebli, z obowiązkowym stołem z blatem obciążonym zielonym sukniem. Na nim stał złoty zegar z lwami. Obowiązkowe były też elementy marmurowe, mogły być niewielkie, ale być musiały, jak na przykład podstawka pod tenże zegar. Lekarz wygodnie zasiadł i zapytał mężczyznę, jaki zawód wykonuje. Gdy dowiedział się, że jest elektrykiem, westchnął wiedząc, że nie może chcieć zbyt dużo, spojrzał za okno myśląc chwilę i w końcu rzucił odpowiednią sumę. Zgodnie z dobrymi zasadami seriali, które tutaj też obowiązywały nie dowiedziałem się w tym momencie, jaka była reakcja bohatera. Nastąpiło cięcie i pokazano mało znaczącą scenę prezentującą przygotowania jego żony do porodu: pakowała, między innymi, jednorazowe rękawiczki, pieluchy, czajnik, papier toaletowy, prześcieradła i poszwy na kołdrę i poduszki oraz jakieś leki, których zastosowania zarówno ja, jak i pewnie większość widzów, nie znałem, ale przypuszczałem, że są one potrzebne przed, w trakcie, albo po porodzie. Dalej była kolejna scena, w której bohater serialu wracał już od lekarza samochodem, niedrogim autem miejscowej produkcji, powoli przesuując się w korku na pasie dla zwykłych obywateli. Obok przemykały drogie samochody. Tutaj można było poznać jego myśli, gdy mówił do siebie głosem zza kadru: “To dobrze, to dobrze, że zaproponował takie

pieniądze. Przecież mógł zażądać więcej, a chce tylko tyle, na ile z pomocą rodziny nas stać. Gdyby nie nasze państwo korupcyjne musiałbym zapłacić z góry wyznaczoną sumę, a tak płacę tyle, ile mogę. Doceniam, jak elita myśli o zwykłych ludziach” – półszepem, ale z przekonaniem mówił przyszyły ojciec chwając własny kraj i wspominając, jak było kiedyś, kiedy trzeba było ustaloną kwotę wpłacić na konto szpitala, a lekarzowi dać standardową łapówkę i nie było mowy o żadnych zniżkach za wykonywany zawód. Wszystko przypominało tanią reklamę z lat '90. Cel serialu, czy reklamy, był zresztą taki sam: ukształtowanie świadomości widza. Seriale odgrywają bowiem znaczną rolę w tworzeniu światopoglądu obywateli ponieważ odbiorcy nie uznają ich za przekaz informacyjny. A to jest błąd.

Na innym kanale można było zobaczyć show: „Państwo elita tańczy”, w którym brały udział kochanki i żony oligarchów walcząc o to, która teleturniej wygra. Nie chodziło o to, która najlepiej tańczy. Zresztą to nawet nie one walczyły o zwycięstwo, a ich mężowie, którzy licytowali wygraną rzucając grube sumy na stół jury i inwestując w swoje drogie drugie połowy duże pieniądze, aby dobrze wyglądały i aby jednak coś na parkiecie zrobić umiały. Pierwsze Korupcyjne było państwem wyjątkowo seksistowskim, gdzie prawa kobiet nie istniały. Wśród najwyższej grupy przywódczej nie było kobiet.

Trudno było oglądać tak długo targ niewolników. Przełączyłem na następny kanał, gdzie akurat w wiadomościach zapowiadano dzisiejszy Kongres. Główne wydarzenie, które miałem obserwować. Kilkukrotnie podkreślano z atencją, że weźmie w nim udział Prezes Rady Nadzorczej Państwa.

Zszedłem na śniadanie. Niemal wszyscy, którzy jedli czy nakładali sobie jedzenie mieli plakietki informujące, że są uczestnikami Kongresu. Też miałem podobną. Gdyby nie to, że zgodziłem się na udział w tej absurdalnej imprezie i dzięki kilku dobrym znajomościom z dawnych lat, nie udałoby mi się wjechać do PK.

Stołówka hotelu przypominała dawne czasy, jeszcze sprzed upadku Związku. Wisiała nawet stara reklama zachodnich papierosów będących dawno temu symbolem luksusu. Były też inne reklamy różnego rodzaju „luksusowych” produktów, na przykład, alkoholi, które na Zachodzie i w Chinach były dostępne właściwie dla każdego, a na Wschodzie nadal stanowiły symbol bogactwa. Reklamy wzięły się w sali śniadaniowej zapewne stąd, że w dzień pełniła rolę restauracji, a wieczorem dansingu.

Po śniadaniu uznałem, że mam jeszcze czas, aby zwiedzić okolice i wyszedłem z hotelu. Po lewej stronie, przy ogromnym skrzyżowaniu, nad którym co chwila przejeżdżało metro i znajdowała się trasa szybkiego ruchu, było niewielkie centrum handlowe otoczone budkami z różną drobnicą: kawą, cukierkami, alkoholami, wędlinami i papierosami. Były też obowiązkowo sklepy ze „Wszystkim za piątkę”, gdzie sprzedawano tandetę produkowaną w najbiedniejszych regionach Zachodu, gdzie była tania siła robocza.

Koło tych kiosków siedziały starsze kobiety przyjeżdżające ze wsi, które sprzedawały owoce i warzywa. Mówiły, że pochodzą z ich własnych upraw. Tak naprawdę był to import z Chin, gdzie działają wielohektarowe fermy rolnicze. Pochodzące stamtąd produkty nie miały dobrej opinii wśród miejscowych. Dlatego importerzy zamiast prostych ogórków i idealnie wymierzonych pomidorów i jabłek kupowali te gorzej wyglądające, a potem przekazywali towar do sprzedaży detalicznej. Kobiety udawały, że same uprawiają warzywa i owoce w swoich niewielkich ogródkach.

Koło każdej budy stał karton na śmieci. Koło każdego kartonu walały się śmieci. Było dość wcześnie, dlatego wokół stacji metra kłębił się tłum ludzi jadących do pracy. Wszyscy wyglądali stosunkowo ubogo. Nie było tu sieciowych sklepów znanych marek, a te które były proponowały ten sam towar, co na Zachodzie i w Chinach, ale w bardzo wysokich cenach. Wchodził w grę zapewne prywatny niewielki import i „podatek korupcyjny”, który de facto był wyższy od obowiązujących podatków w sąsiednich krajach. Jeśli ktoś nie miał pieniędzy, pozostawał second hand i tandetna amerykańszczyzna. Na naszywkach i nadrukach na ubraniach przechodniów widoczne były zatem nazwy naśladujące prestiżowe chińskie marki w stylu „Chao-Bao”, „Jing

Sun”, „Tao Bao”, czy brzmiące dość znajomo „Yan Huatang”. Były też oczywiście podróbki historycznych zachodnich marek już dawno wykupionych przez Azjatów, jak Abibas, czy Mike.

Kobiety wszelkimi sposobami starały się pokazywać swoją urodę, choć widać było, że mają na to dość ograniczone środki. Paradoksalnie brak sieciowych sklepów sprzyjał fantazji: dziewczyny były ciekawiej ubrane niż na Zachodzie. Czasem posuwały się za daleko w eksponowaniu swoich wdzięków - wszechobecna bieda sprawiała, że wiele z nich widziało szansę ucieczki ze swojej nie najlepszej sytuacji w wystawieniu na sprzedaż swojej urody. Liczyły bowiem na to, że uda im się znaleźć bogatego męża. Dużo było tombaku, niby złotych naszywek, gwiazdek, ekskluzywnych nazw firm produkujących ubrania (oczywiście podróbki). Zdecydowanym mankamentem były fryzury. Tak jakby w Pierwszym Korupcyjnym w ogóle nie było dobrych fryzjerek i fryzjerów damskich. Kobiety miały na głowach czasem coś co przypominało lwią grzywę, innym razem włosy były przycięte, jak u spaniela, czy owczarka australijskiego. Mężczyźni byli generalnie obcięci krótko. Czasem między fryzurą a kołnierzem było widać czerwoną opaloną część ciała, a potem biały nieopalony pasek. Tak najczęściej strzygli się robotnicy, którzy chodzili do fryzjera na strzyżenie „raz a dobrze”, aby za często nie inwestować w tego rodzaju „przyjemności”.

Wokół stacji zatrzymywały się niewielkie autobusy. Większość to produkcja wietnamska - kraj ten jest potęgą w przemyśle samochodowym. Maszyny nie trafiały bezpośrednio do Pierwszego Korupcyjnego, a był to second, czasem nawet third hand. Widać to było po stanie autobusów: zamiast niektórych okien była dykta, a blacha karoserii była często klepana młotkiem i to zapewne kilkukrotnie, po wielu wypadkach. Ludzie wypełniali autobusiki do granic możliwości, które przesuwały się coraz dalej i dalej. Z rur wydechowych wydobywały się kłęby czarnego dymu. Ciężko było oddychać. Wrażenie duszności potęgowały jeszcze coraz większe tłumy.

Stałem i patrzyłem, jak mieszkańcy PK stoją karnie w kolejce do autobusu. Nikt się nie przepycha, nie rzuca do podjeżdżającej maszyny. Ludzie wchodzą powoli i spokojnie płacili kierowcy za przejazd. Autobus był już właściwie pełny i wydawało się, że nikt nie wejdzie, a jednak nie, jeszcze komuś się udaje. Tłum dopycha się nawzajem.

Schronienie znalazłem w jednej z bud z migającym napisem „Bistro” zrobionym z czerwonych i zielonych diod. W środku było dość tłoczno, ale ponieważ tam nikt nigdzie się nie spieszył, miejsce sprawiało wrażenie o wiele spokojniejszego od ulicy. Mężczyźni wracający z nocnej zmiany bądź też ci, którzy dopiero zaczynali swój roboczy dzień wypełniali pomieszczenie. Upał jeszcze nie zdążył się rozpocząć, ale czuć było, że będzie bardzo gorąco. Ci którzy kończyli już dzień, a może lepiej powiedzieć noc, pracy pili wódkę, a ci drudzy, którzy dopiero mieli go rozpocząć woleli piwo – zapowiadał się upalny dzień i warto było uzupełnić zapas płynów.

Na ścianie obok mucholepu i klatki z przyciągającą owady lampą ultrafioletową wisiał obraz ze zdjęciem Prezesa Rady Nadzorczej Państwa oraz miejscowego oligarchy, który produkował serwowaną tam wódkę. „Masz to, co masz” - głosił jej slogan reklamowy. W klatce co chwila rozlegał się trzask. To kolejny latający owad padał ofiarą miłości do ultrafioletu.

Za kontuarem stała kobieta w wieku około 60 lat, z fryzurą a la nowofundland. Na włosy miała nałożone coś, co kiedyś pewnie było białym, a teraz lekko żółkłym czepkiem. Nie uśmiechała się do klientów, a patrzyła na nich pobłaźliwie.

Tego rodzaju knajpy to rodzaj międzynarodowych sieciówek. Nieoficjalnych. Podziemnych. Nie mają kierownictwa w biurze w chińskim Wenzhou, nie mają nawet takiej samej nazwy, nie mają loga, za to za ladą wszędzie na świecie mają kobietę, która odgrywa dla klientów, w przytłaczającej liczbie mężczyzn, rolę matki i opiekunki. Ona ich pociesza, ona im nalewa. Czasem się uśmiecha. W gruncie rzeczy kocha ich za to, kim są. Jak matka, która zawsze wybaczka. Nie muszą nikogo i niczego udawać. Robią to, na co nie pozwala im żona, partnerka, czy szef, a kobieta za ladą doskonale ich rozumie. Albo przynajmniej udaje, że rozumie. W tego rodzaju knajpach nie ma ochrony. Ochroną jest barmanka, której autorytet jest silniejszy od wszelkiego rodzaju broni. Towarzystwo w takich miejscach wszędzie na świecie też jest podobne: w większości to trochę zagubieni w życiu mężczyźni, którzy ciągle szukają swojej drogi bądź ci, którzy ją już znaleźli i nadmiar wolnego czasu wypełniają alkoholem. Tutaj odróżniało ich od tych z Zachodu ubranie.

Wszyscy byli ubrani na czarno – szaro, mieli czarne buty i czarne lekkie kurtki lub bluzy. Pod spodem czarne t-shirty. Szczytem fantazji były kolorowe paski na koszulkach. Takie ubranie było praktyczne: trudno się je brudziło, a nawet jeśli się je zabrudziło to i tak nie było tego widać i można je było nosić i nosić. Stąd w barze unosił się zapach potu, połączony z alkoholem i z wonią konserwowanych warzyw.

- Szanowna pani pozwoli dwa cukierki i coś do nich... Może wódeczkę. Oczywiście dwa razy po sto gramów! – takie dowcipne zamówienie można było usłyszeć przy barze.

Patrzę na stolik po prawej stronie. Pod słuchuję rozmowę.

- Co nam dały poprzednie władze? Obiecywali reformy, że będzie raj, że kilka lat pocierpimy, że będą reformy, że coś tam zmieniają. Co ja mówię? Jakie „coś tam”? Że wszystko zmieniają. No i pozmieniali tak, że chuj. Ale dobrze, że ci co wiedzą, jak rządzić, znów przejęli stery. Najpierw po cichu, zza pleców tych pseudo kurwa demokratów, a potem już jak teraz bezpośrednio. I żyjemy normalnie – mówił mężczyzna w czarnej kurtce i tego samego koloru t-shirtcie. Jego kolega ubrany identycznie wyraźnie się nie zgadzał.

- Bzdury gadasz. Wracam z nocnej zmiany, właściwie to odtrąbiłem dwie zmiany w fabryce. I tak każdy dzień, 16 godzin roboty, 8 godzin odpoczynku. Po robocie jestem tak zmęczony, że nie mam siły na nic innego, jak tylko na dwieście gramów wódki. I to najtańszej. Kiedyś piłem po sto, ale wtedy była mocniejsza. Żony nie widzę, dzieci nie widzę. Zarabiam grosze, a mój właściciel ciągle zmienia samochody i jeszcze musiałem zapłacić za to żeby mieć tę robotę – mówił coraz głośniejszym nieznanym facetem.

Reszta osób w barze zamilkła słysząc podniesiony ton i cicho wpatrywała się w plastikowe kubki z wódką i piwem oraz w swoje kiszone pomidory i ogórki udając, że niczego nie zauważa. Głoszenie otwarcie tego rodzaju poglądów nie było przyjęte.

- Roman, uspokój się. Bo będziesz musiał płacić jeszcze raz i to najpierw za zwolnienie z aresztu, a potem za nową robotę. Chodź już do domu – powiedział trzeci z mężczyzn, ubrany podobnie, jak dwaj poprzedni, wziął go pod ramię i próbował wyprowadzić z bistro. Stawiał opór, ale w końcu udało się tego dokonać.

Krytyka rządzących w PK nie jest mile widziana. Delikatnie mówiąc. Najczęściej ląduje się od razu w areszcie, skąd można wyjść za odpowiednią łapówką. Oczywiście wcześniej można zapłacić policji. Potem już trzeba finansowo przekonywać sędziów, jeśli nie zebrało się odpowiedniej kwoty jeszcze w czasie pobytu w areszcie. Jeśli ktoś nie ma pieniędzy i trafia do więzienia, a nie został skazany za szczególnie drastyczne przestępstwa, to najczęściej pracuje za darmo dla jakiegoś biznesmena, który płaci za wypożyczenie więźniów. To tania siła robocza, której się w ogóle nie oszczędza.

Wypiłem swoją kawę, która sprawiała wrażenie chrzczonej kranówką. Wyszedłem. Tłum lekko zrzędlł, ale nadal było dość tłoczno. Gdzieś koło śmietnika, między dwoma budami, niedoszły opozycjonista szarpał się ze swoim kolegą. Mężczyzna, jak widać, chciał wrócić do baru i jeszcze coś wytłumaczyć trzeciemu, mocno gestykulował, a jego kolega go uspokajał. Słyszałem tylko skrawki rozmowy: mam dosyć... mój szwagier... rejestracja samochodu... 27 podpisów, zgód, pieczętek... I każdemu trzeba płacić... Nie mamy, jak i za co żyć. A oni... Trzeba było kupić od razu...

Po chwili odeszli w stronę autobusu, a ja wróciłem do hotelu, gdzie powoli rozpoczynały się już wydarzenia poprzedzające Kongres.



Rozdział VII, w którym poznajemy uczestników Kongresu, prawdziwą historię PK, a także dowiadujemy się, jak szybko napisać przemówienie

To było jedno z najdziwniejszych wydarzeń w jakich uczestniczyłem i które musiałem, a właściwie chciałem, opisać. Światowy Kongres Korupcyjny ściągnął gości z całego świata, choć dominowali delegaci z Afryki i biedniejszych państw Azji. Ci pierwsi byli egzotycznie i kolorowo ubrani, niektórzy mieli długie tuniki we wszystkich kolorach tęczy. I oczywiście nosili na sobie mnóstwo złota. Śmiali się głośno i mieli grube eleganckie skórzane teczki wypełnione zapewne dokumentami bądź pieniędzmi. W końcu w PK nie działały międzynarodowe systemy płatnicze, trzeba było korzystać ze specjalnych agencji, które wypłacały gotówkę z kart biorąc dość duży procent wartości operacji bądź też przywozić którąś z walut europejskich, dolary albo juany. Drudzy goście, ci z Azji nosili wyblakłe, czasem aż do szarości, kiedyś granatowe i czarne garnitury. Mieli także najczęściej kremowe nylonowe koszule z lekkim wzorkiem. Materiał z którego były wykonane powodował, że strasznie się pocili. Pochodzili z krajów produkujących bawełnę, cała jej produkcja była jednak eksportowana i sami byli zmuszeni nosić tanią syntetyczną amerykańszczyznę. Nie stać było ich ani na europejskie, ani na chińskie ubrania. Do tego mieli zazwyczaj jasne buty z siateczką, czasem żółtkę ze starości, z niewielką warstwą wtartego brudu tuż nad podeszwą. Rozglądali się dookoła sprawiając wrażenie przestraszonych i błyskali złotymi zębami w rzadkich uśmiechach.

Na tle tego tłumu delegatów wyróżniali się ich koledzy z Pierwszego Korupcyjnego. Szykowali najnowszą elegancją, wziętą prosto z butików Hagi, Pekinu, czy Oslo przeznaczonych dla tych, którzy lubili żeby było na bogato, choć nie zawsze z gustem. Garnitury, błyszczące, jak papier w blokach rysunkowych dzieciaków z podstawówki, były dopełniane przez buty ze skóry zazwyczaj jakiegoś oryginalnego i rzadkiego zwierzęcia. Kasta niższa miejscowej elity nosiła węże, średnia strusie, a najwyższa krzyk ostatnich lat, czyli buty ze skóry słonia. Często miały one egzotyczne kolory: fiolety, wiśnie i niebieskie. Niemal każdy z bogatszej grupy miał przy sobie długonogą asystentkę, która kręciła się nie mając właściwie nic do roboty poza pokazywaniem swoich drogich ubrań i długich nóg. Ich twarze nie były skalane jakąkolwiek refleksją i przypominały raczej gumowe lalki z sex-shopów tyle że pachnące ciężkimi, wyjątkowo słodkimi, perfumami. Część z nich to zresztą kochanki, na które nie szczędzono grosza. Były takim samym atrybutem, jak dobre auto, czy drogi zegarek. Jeżeli stać cię na taką dziewczynę, to znaczy, że jesteś bogaty, a jeśli oprócz tego masz jeszcze żonę i dzieci, to tym lepiej. Stać cię na utrzymanie i ich i kochanki. Chyba już wspominałem, że PK było państwem, gdzie kobiety traktowano bardzo przedmiotowo.

Wszystko to kontrastowało z biedą panującą dookoła hotelu, nie mówiąc już o tym, co widziałem na prowincji. Jednak o tym dziś nikt nie rozmawiał, nie przejmował się, a raczej każdy myślał o tym, aby spauperyzowane społeczeństwo chętnie pracowało za grosze w zakładach należących do oligarchów. Właściwie temu był poświęcony Zjazd: jak ocyganić ciemny lud i jak się wzbogacić, jak najmniejszym kosztem.

Europejczyków i Chińczyków było za to mało i na pozór wydawali się kompletnie zbędni. Ci którzy przyjechali byli ubrani skromnie, ale porządnie. Ich jedynym zadaniem było pokazać, że Pierwsze Korupcyjne jest szanowane na całym świecie, że nie pozostaje w izolacji międzynarodowej, a wręcz przeciwnie: jego doświadczeniami interesują się wszyscy od południowych Chin do północnej Europy. Nawet jeśli teraz dawna Unia Europejska jest luźniejszym związkiem państw narodowych, to jednak utrzymują one odpowiednie standardy i mają za sobą wielowiekową historię państwowości, którą trudno wymazać. Chiny z kolei powalały swoją siłą jedności i konsekwentnym dążeniem do celu. Ci ludzie byli tu po to, aby stworzyć obrazek dla miejscowej telewizji, a także dla gości z Afryki i Azji, z których część pochodziła z państw, gdzie dotąd bardzo szanowało się mieszkańców Zachodu i Chin, których pochwała była jak znak najwyższej jakości.

Asystentki patrzyły na czubki swoich szpilek uśmiechając się pod nosem. Za to ich koleżanki, skromne hostessy w szarych kostiumach wiły się na prawo i lewo rozdając ulotki i

uśmiechy. W końcu, gdzie jeszcze mają spotkać bogatego sponsora, jak nie na tego rodzaju imprezach. Była to dla nich szansa na wyrwanie się z codziennej biedy. Zapraszały, między innymi, na prezentację rajów podatkowych, która odbywała się w hallu.

Stało tam kilkanaście boksów. Choć dla miejscowego biznesu kwestia unikania opodatkowania miała marginalne znaczenie ponieważ faktycznie podatków w PK nie było, to jednak cały czas istniał strach, że pieniądze zostaną skonfiskowane przez miejscowe organy ścigania. I nieważne, czy chodziło o te leżące w sejfach w domu (częściej), czy na kontach miejscowych banków (rzadziej). Należało wyprowadzić je z kraju i zapewnić bezpieczeństwo swoim oszczędnościom. A to nie było takie proste bo system finansowy Pierwszego Korupcyjnego nie był połączony bezpośrednio ze światowym, potrzebni byli pośrednicy, czyli firmy z egzotycznych najczęściej wysp. Pozwalało to na dalsze inwestowanie już na Zachodzie, czy w obydwu Amerykach. Rynek chiński był zamknięty dla inwestorów z państw obcych.

Na parterze hotelu były zatem boksy -między innymi- Curaçao, Liberii i Wysp Marshalla. Chodziłem i z zainteresowaniem studiowałem ulotki. Każdy kraik reklamował swoje usługi dla różnych grup klientów. W jednym z rajów można było założyć anonimową firmę za tysiąc dolarów, w innym firmę na osobę trzecią i ukryć swoją tożsamość. Inna wyspa zapewniała, że nie uznaje jurysdykcji państw trzecich, a samo nawet poszukiwanie właścicieli firm i kont jest surowo karane. Na targach było też kilka firm oferujących pośrednictwo w organizacji tego typu przedsięwzięcia.

- Nie ma pan się czego obawiać o bezpieczeństwo swoich pieniędzy – zapewniała elegancka blondynka w czarnym kostiumie i w okularach, które miały budzić zaufanie i być świadectwem jej profesjonalizmu. Reprezentowała ona firmę Money – your way, która zajmowała się międzynarodowymi przekazami gotówkowymi.

- Ale jak moje pieniądze znajdą się w Belize? - pytał się delegat z jednego z krajów Azji Środkowej.

- Pan się tym nie przejmuj. Mamy specjalnych agentów, którzy przewiozą je tam, gdzie trzeba.

- W walizkach? - zaśmiał się mężczyzna.

- W walizkach – odpowiedziała zupełnie poważnie blondynka. - Ale proszę nie martwić się o ich bezpieczeństwo, mamy międzynarodowe gwarancje odpowiednich struktur pozapaństwowych.

Z kolei korporacja Free Complex World Solutions International zapewniała, że jest w stanie zbudować łańcuszek firm, dzięki którym nikt nigdy się nie dowie, kto jest prawdziwym właścicielem firmy matki.

- Może ma pan ochotę skorzystać z naszych usług. My nie znamy granic – mówił do mnie człowiek z wąsem i złotym łańcuchem o wyglądzie włoskiego gangstera z lat '70.

- W jakim sensie nie znacie państwo granic? – zapytałem z prawdziwym zainteresowaniem.

- No normalnie, zakłada pan firmę matkę w Holandii, której właścicielem jest firma w Belize, której z kolei właścicielem jest firma w Curaçao i tak dalej. Robimy łańcuszek, w zależności od -tutaj rozłożył prospekt- liczby firm-słupów, odpala pan nam odpowiedni procent.

- Nie mało – oceniłem widząc, że na łańcuszku dziesięciu firm można stracić nawet 20 procent zysków.

- To jest cena za bezpieczeństwo. Pana ostatnia firma może inwestować wszędzie na świecie, może pan sobie nawet założyć dla niej konto w Szwajcarii. Później zyski wrócą do pana z neutralnym podatkiem w jednym z rajów.

- Neutralnym?

- Neutralnym czyli zerowym!

Przejrzałem jeszcze prospekty turystyczne różnych tego typu firm, które zachęcały do wypoczynku w egzotycznych krajach przekonując, między innymi, bezpośrednimi lotami ze Stolicy. Siatka połączeń jednej z firm pokrywała się z ewentualnym łańcuszkiem firm, które mogły być utworzone dla ukrycia prawdziwego właściciela kapitału. „Przyjemne z pożytecznym” - głosiło hasło firmy Happy Money Holiday. Były też dość drogie wyjazdy do Londynu, w czasie których można było zobaczyć, niestety tylko z zewnątrz, domy zbudowane przez najbogatszych urzędników

i oligarchów ze Wschodu, w tym też z PK. Turyści byli obwożeni po brytyjskiej stolicy autobusem.

- Zapozna się pan z architekturą, zobaczy, jakie są trendy, przy okazji przewodnik opowiada o schematach, dzięki którym ludzie ci osiągnęli prawdziwy sukces – mówił stojący za ladą mężczyzna. - Powiem panu, bo widzę, że pan jesteś z Zachodu, że kiedyś takie wycieczki oprowadzałem pod hasłem „Klepturystyki”, że niby barbarzyństwo, korupcja i że to wstyd, że takie bogactwo przywódców biednych państw kole oczy w Londynie. To sponsorowały organizacje pozarządowe. Później zauważyłem, że na wycieczkach zaczęli pojawiać się ludzie ze Wschodu i dopytywali się o te schematy, jak to załatwić, jak zarobić. Po brexicie, w 2020 roku, rzuciłem to wszystko w cholerę i założyłem własne biuro połączone z doradztwem. Dam panu folder i wizytówkę, może pan przyjedzie. Wam z Zachodu jest łatwiej – zachęcał.

Za chwilę można było usłyszeć dzwonek, najpierw pojedynczy, później podwójny, a potem potrójny. - Szanowni uczestnicy kongresu, zapraszamy do sali głównej – męski głos zagrzmiął z głośników. Tłum trochę ucichł i powoli kierował się w stronę wejść. Tam czekała ochrona. Padały pytania nie tylko o broń i materiały wybuchowe, ale nawet wydawałoby się o zupełnie niewinne przedmioty. Wszystko mogło stanowić zagrożenie.

- Co to za brązowy płyn ma pan w butelce? - zapytał mnie jeden z kontrolujących.

- To kola. Koka-kola.

- Kola? To niezdrowe.

- Mam wypić?

- Tak, niech pan wypije, muszę wiedzieć, że to nie jakiś środek chemiczny – rzucił ochroniarz i patrzył dokładnie, ile wypijam brązowego płynu. Gdy przekonał się, że to rzeczywiście napój gazowany machnął ręką pokazując żebym wszedł do sali.

Skąd ta ochrona? Obecnie w Pierwszym Korupcyjnym było spokojnie, ale wszyscy pamiętali o wojnach z lat '90, kiedy to dochodziło do podziału nowo narodzonego rynku i rodził się w bólach i we krwi nowy system, który w założeniu miał dawać więcej wolności gospodarczej i być bardziej demokratyczny. Kolejne rewolucje były efektem tego, że nie udało się zrealizować tych założeń, ludzie wciąż jednak nie tracili wiary. W końcu nastąpiło zmęczenie psychiczne i fizyczne miejscowej ludności, która widziała, że jej starania, a nawet ofiary składane w czasie protestów, nie przynoszą efektów. Dlatego większość z radością przyjęła rewolucję oligarchiczną (znaną tutaj pod oficjalną nazwą „kompromisu oligarchicznego”) wierząc, że tak jak biznesmeni dbali o swoje własne przedsiębiorstwa, tak zadbają teraz o własny kraj. Dosłownie własny, czyli do nich należący. Parlament rozwiązano bo po co płacić politykom, którzy przez lata i tak byli marionetkami wielkiego biznesu, a jedynym organem zarządzającym stała się Rada Nadzorcza Państwa, czyli Rada Oligarchów, na jej czele stał Prezes, który był wymieniany co 3 lata.

Teraz sytuacja w państwie wydaje się stabilna jednak należy pamiętać, że prezes Rady Nadzorczej i jej członkowie mają czasem sprzeczne interesy, o których głośno się nie mówi i zawsze ktoś z nich może zdecydować, że z konkurentem nie da się dogadać i trzeba go po prostu usunąć fizycznie. Może też dojść do powołania różnego rodzaju koalicji mniejszych oligarchów przeciwko rządzącym najsilniejszym. Każdy z bogatych biznesmenów ma zatem własną służbę bezpieczeństwa, która śledzi, co dzieje się w obozach konkurentów i potencjalnych wrogów. A tym może być każdy. Masowo zatem zbierane są „haki”, które kiedyś mogą się przydać. Wszyscy patrzą sobie dokładnie na ręce, a zatem nadzwyczajne, jak na Zachód, środki bezpieczeństwa są czymś normalnym i spotykanym na każdej imprezie z udziałem kierownictwa państwa.

Sala, w której odbywał się Kongres, to znana w całej Stolicy sala koncertowa. Mieściło się w niej około 300 – 400 osób. Porażała swoim bogactwem zupełnie nie pasującym do postradzieckiego stylu hotelu National-Związek, w którym się znajdowała. Obowiązywał w niej styl „bykoko”, czyli totalne połączenie złego gustu, rokoko i baroku. Wszystko było zrobione w białosciach, kremach i w złocie i sprawiało wrażenie wyjątkowo ciężkiego. Trochę, jak ciastko z dużą, zdecydowanie za dużą, ilością kremu. Złoto było wszędzie, gdzie się dało. Wydawało się, że obwieszono kryształami umieszczonymi w złotych gniazdach żyrandole zaraz się urwą. Pod nimi stały ciężkie krzesła i stoły, białe, oczywiście ze złoceniami. Nie miało to nic wspólnego z wygodą, za to porażało swoim bogactwem. Zebrany tłum delegatów był pod wrażeniem. Wielu z nich

wyjmowało telefony i aparaty fotograficzne, aby zrobić sobie zdjęcie. Oni też tak chcieli żyć. Na razie mogli się tylko pochwalić, że choć teraz w czasie Kongresu są częścią bogatego towarzystwa.

Po kilkunastu minutach do sali weszli przedstawiciele władz w otoczeniu ochrony, a później sam Prezes w towarzystwie jeszcze większej świty. Choć spotkanie odbywało się w pomieszczeniu, każdy z ochroniarzy miał parasol oraz broń. Te pierwsze noszono na wypadek gdyby ktoś chciał czymś rzucić w Prezesa. Niektórzy byli ubrani w wojskowe uniformy i mieli automaty XiaKau bądź też mniejsze karabinki. O tym, że każdy miał okulary przeciwsłoneczne, nie trzeba nawet wspominać. Chroniły one nie przed słońcem, a miały na celu ukrycie, w którą stronę patrzy ochrona. Część z funkcjonariuszy stanęła przed sceną, a część rozstawiła się równomiernie po całym pomieszczeniu. Stojąc w ten sposób wyglądali, jak ochrona koncertu. Chciałem sprawdzić godzinę, zerknąłem na telefon i przy okazji zobaczyłem, że nie mam zasięgu. Prawdopodobnie sygnał został zagłuszony żeby nie można było zdalnie odpalić ładunku. Tak zginął poprzednik Lorieksa Arwila, czyli obecnego Prezesa, jeszcze w latach '90. Podłożony na stadionie żużlowym materiał wybuchowy zmiotł nie tylko samego zainteresowanego, ale jeszcze część trybuny. Nie można zatem się dziwić, że Prezes obawiał się, że może zginąć w ten sam sposób i zostać usuniętym z politycznej sceny przez kogoś, kto będzie chciał go zastąpić. Dzięki zamachowi sprzed 40 lat, to Lorieks Arwil został najbogatszym człowiekiem w kraju. I raczej nie chciał tej pozycji stracić mimo swojego podeszłego już wieku.

Gdy wszedł, wszyscy uczestnicy Kongresu wstali i zaczęli bić brawo. Lorieks Arwil stanął na środku sceny, przyłożył rękę do serca i odtworzono hymn państwowy. Nie było słów, ponieważ nie zdążono jeszcze ich napisać. Początkowo utwór przypominał stary hymn Związku, jednak później, od drugiej zwrotki melodia skręciła w stronę swingu i znanej skądś melodii. Później znów wróciła do hymnu Związku i znów odbiła się w stronę swingu. Siedzący obok lekko skośnooki sąsiad, prawdopodobnie pochodzący z Azji Centralnej, w czasie pierwszej zwrotki trochę się wzruszył, a w czasie drugiej zaczął cichutko przytupywać. Później znów przyszedł czas na wzruszenie, a potem na lekki przytup. Ta huśtawka trochę wytrąciła mnie z równowagi, szczególnie, że nie mogłem sobie przypomnieć, co to za wesoła melodia. Postanowiłem zapytać o to sąsiada w trakcie czwartej zwrotki. Ten lekko podśpiewując trochę się zdziwił i odpowiedział:

- Nie zna pan? Przecież to stary hit: Money makes world go round. Ulubiona piosenka żony pana Arwila, pani Uspiepi – odrzekł z uśmiechem.

Wszyscy usiedli, a Prezes podszedł do mównicy, obok której z jednej strony na złotym drzewcu została zawieszona flaga Pierwszego Korupcyjnego składająca się z pomarańczowo czarnych pasów na lewej połówce i czerwonej drugiej połówce. W rogu tej ostatniej znalazł się niewielki symbol obowiązującej waluty, przypominający bardzo symbol juana. Na drugim drzewcu, po drugiej stronie mównicy, powieszono różowy materiał, na którym było godło: na tle złotego słońca znajdowały się wszystkie atrybuty bogactwa żywcem wzięte z godeł państw Ameryki Środkowej i republik byłego Związku Radzieckiego. Były zatem złote kłosa, liście laurowe, orzeł i konie, a także morze i dymiące kominy zakładów, jadące kombajny i traktory oraz złożone w uścisku dłonie przekazujące sobie banknoty. Miałem wrażenie, że ktoś projektujący godło był pod wpływem środków odurzających, zapewne połączenia amfetaminy, LSD i grzybów halucynogennych. Chyba że autorem było 4-letnie dziecko, któremu pozwolono zabawić się różnymi elementami układanki żądając, aby wykorzystało wszystkie.

Lorieks Arwil poczekał aż wszyscy usiądą i zapadnie cisza.

- Witam Państwa na I Światowym Kongresie Korupcyjnym. Zanim rozpoczniemy obrady, proszę ojca Pawła, który kieruje najważniejszą świątynią naszej Stolicy, a może nawet kraju o błogosławieństwo i kilka słów, które skierują nasze myśli w odpowiednim kierunku. Ojciec, zapraszam.

Na scenę wdrapał się 60-letni mężczyzna przy kości z wielkim złotym krzyżem u szyi i z drugim, o wiele mniejszym, na wysadzonej diamentami mitrze. Miał na sobie elegancką czarną riasę, spod której wystawały buty z egzotycznej skóry o kolorze wiśniowym. Było widać je na tyle krótko, że nie zdążyłem określić, z jakiego zwierzęcia je zrobiono. Ojciec Paweł poprawił mikrofon dwoma rękami pokazując na jednej z nich złoty zegarek, a na drugiej łańcuch z białego złota.

Mówił dość zwięźle i sprawnie, wiedząc dokładnie, co chce przekazać:

- Drodzy moi! Błogosławię was wszystkich, uczestników Kongresu Korupcyjnego. Niezależnie od tego, czy jesteście prawosławnymi, katolikami, muzułmanami, czy żydami, a może nawet ateistami. Niech Bóg będzie z wami. Bo już święty Paweł, mój imiennik, mówił, że „Kto nie pracuje, ten nie je”. Jedno z naszych najważniejszych przykazań to „Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego”. Drugie: „Nie czyn bliźniemu, co tobie niemiłe”. Ja bym je wszystkie podsumował krócej: „Bierz i daj brać” bo przecież każdy z nas chce być bogaty i każdy chce żeby inni też byli bogaci. Oczywiście nie jego kosztem, dlatego że nasza wolność wzbogacania się kończy się tam, gdzie ktoś inny chce się wzbogacić. Pamiętajmy o tym! Bogactwa chce też nasz kościół. To my tworzymy podwaliny tego państwa, to my tłumaczymy ludziom, dlaczego jeden ma, a drugi nie. A dlaczego tak jest? Bo taka jest wola Boża. I ludzie muszą to zrozumieć. My, jako kościół, czekamy na nagrodę i tu na ziemi i tam na niebie. Tam od Boga, a tu od naszych szanownych dobroczyńców – duchowny uśmiechnął się patrząc wyraźnie na Prezesa i jego otoczenie. Zakończył swoje krótkie przemówienie kolejnym błogosławieństwem, zrobił jeszcze znak krzyża i zszedł ze sceny.

- Teraz już mogę mówić – powiedział uśmiechając się od ucha do ucha Lorieks Arwil, który zresztą był, jak sam mówił, prawosławnym ateistą. W Boga nie wierzył, ale za to wierzył w siłę kościoła prawosławnego i w jego wpływ na społeczeństwo. Ten elegancki, niemal 80-letni mężczyzna miał zawsze na sobie doskonale skrojony garnitur i równie dobrze skrojony uśmiech. Jak na swój wiek, trzymał się wyjątkowo dobrze. Zapewne okrzepł w bojach w latach '90. Według innych, to zasługa nie dawnej krzepy, a licznych operacji plastycznych i wsparcia najlepszych lekarzy z Izraela.

Lorieks Arwil rozejrzał się po sali i poczekał aż zapadnie cisza. Rozpoczął swoje przemówienie. Nie było zbyt długie, dlatego przytoczę je tutaj niemal w całości:

- Nasze państwo przebyło ogromną drogę od czasu osiągnięcia niepodległości. To była długa, ciernista droga, pełna błędów i pomyłek. Ale taka była ponieważ sami jej szukaliśmy. Musieliśmy znaleźć nie tylko drogę, ale też sam cel. To miała być droga do szczęścia wszystkich obywateli. To szczęście było celem. Powstają jednak pytania, jak to szczęście osiągnąć i jak ma ono wyglądać? - tu Prezes zrobił krótką pauzę i zamarł z podniesionymi ramionami i wyciągniętymi do przodu rękami z rozczapierzonymi palcami. Widać, że przeszedł odpowiednie kursy wygłaszania przemówień. Później, tak jak pisano zawsze w poradnikach, złożył dłonie w koszyczek i kontynuował. - Przez lata wmawiano nam, że jedynym wyjściem jest demokracja w stylu zachodnim. Nasz kraj był obiektem zachodniej ekspansji. Był pełen zachodnich ekspertów, którzy chcieli nam narzucić swoje własne zasady. Tak, to my ich często zapraszaliśmy wierząc, że oni nam powiedzą, jak my mamy żyć! Ale okazało się, że dawane przez nich recepty nie sprawdzają się. Że one zostały stworzone dekady temu i dla innych społeczeństw, dla innych ludzi. Dla innej gospodarki. [...] Dlatego po kilkudziesięciu latach kluczenia i lawirowania, po dwóch poważnych kryzysach politycznych, które niektórzy określają mianem rewolucji, wypracowaliśmy własną drogę. Drogę u podstaw której leży porozumienie największych graczy, które zastąpiło ciągłe walki polityczne, którymi tak zmęczone było nasze społeczeństwo. Teraz to my sami decydujemy, jak będziemy żyć! Robimy to dla dobra swojego i dla dobra własnych obywateli. [...] I to do nas teraz przyjeżdżają obcokrajowcy, aby dowiedzieć się, jak my żyjemy i jak oni mogą żyć. Przyjeżdżacie wy – zrobił przerwę i lekko się uśmiechnął. W tym miejscu w przemówieniu przewidziano brawa i rzeczywiście sala zaczęła klaskać. Obcokrajowcy robili to z opóźnieniem, ponieważ słowa Arwila Lorieksa musiały zostać przetłumaczone. Gdy ucichły brawa, kontynuował: - Jak mówiłem, teraz to do nas przyjeżdżają ludzie z całego świata, aby czerpać od nas doświadczenie, czego dowodem jest rozpoczynający się dziś Kongres. Aby dowiedzieć się, jak zbudować państwo, w którym mechanizmy stosowane w korupcji są podstawą systemu i gdzie ludzie są szczęśliwi ponieważ panują jasne reguły. Gdzie wszyscy obywatele są równi ponieważ każdy może płacić każdemu. Gdzie decyzja urzędnika nie jest jego widzimisię, a jest usługą kupowaną przez obywateli. Gdzie nie ma defraudacji pieniędzy budżetowych ponieważ nasz budżet jest niewielki, a jego wydatki ściśle kontrolowane przez Radę Nadzorczą Państwa, w skład której wchodzi ci, którzy mają

najwięcej pieniędzy, którzy są w stanie kupić sobie w niej miejsce. „Szkłany sufit”, brak możliwości awansu odeszły w przeszłość. Masz pieniądze, możesz awansować, dogadamy się! - tutaj Prezes znów zrobił przerwę na brawa, które jak łatwo było przewidzieć nastąpiły i były jeszcze głośniejsze niż wcześniejsze. Szczególnie że udało mu się wkomponować w przemówienie główne hasło Pierwszego Korupcyjnego. Arwil Lorieks był zadowolony, nadal trzymał pauzę i rozglądał się po zgromadzonych: - A teraz parę słów do -tak zwanej- opozycji. Której oczywiście nie ma tu na sali. Nie ma nie dlatego, że ktoś opozycjonistów prześladowuje, zamyka w klatkach na salach sądowych, w domach, czy w więzieniach. Ich nie ma ponieważ są niepotrzebni. Ani nam, ani społeczeństwu. Są nieudacznikami. Ludźmi, którzy nie są w stanie zadbać o siebie i zapewnić sobie dobrobytu. Sobie nie umieją, a co dopiero innym – dodał z przekąsem Prezes dając do zrozumienia, że tych ostatnich słów nie napisali mu speechwriterzy. Nie czekał na brawa, mówił dalej: - Co oni umieją robić? Odpowiadam: jedyne co umieją robić to defraudować pieniądze, które otrzymują, kiedyś głównie z Zachodu, a teraz także z Chin. Defraudować, czyli po prostu kraść. Zresztą, w naszym systemie nie ma miejsca dla ulubionego przez opozycję populizmu. Nikt nie chce rozdawać tego, co jest jego. A u nas nie ma tego, co państwowe, czyli niczyje. Nie istnieje własność państwowa. I dlatego nie ma u nas de-frau-dacji - to ostatnie słowo sprawiło mu po raz kolejny trochę trudności, ale nie przejmował się tym. - Na miejscu zagranicy już dawno przestałbym wspierać opozycję. Nie potrzebujemy waszych idei, nie potrzebujemy waszych wysłanników i nie potrzebujemy finansowanej przez was opozycji. Kryptonajeźdźców, którzy oferują nam obce rozwiązania. Robicie to nie dla nas, a dla siebie żeby przejąć nasze dobra narodowe, żeby być panami naszego narodu. Narodu, który w waszym mniemaniu ma być narodem niewolników służących waszemu kapitałowi. Z wami się nie dogadamy dopóki nie dacie nam prawa żyć tak, jak my tego chcemy! Nasi obywatele to nie wasi niewolnicy, to nasi pracownicy [...] Są za to ludzie na Zachodzie, którzy rozumieją, że nasz system jest najlepszy. Politycy, którzy nas wspierają i starają się wytłumaczyć swoim społeczeństwom, że proponowane przez nas rozwiązania mogą z sukcesem zastąpić kapitalistyczny wyzysk. Kończę swoje przemówienie i zanim przejdziemy do dyskusji panelowych, oddam głos dwóm naszym przyjaciółom z Zachodu: Andrzejowi Błońskiemu i Markowi Podolskiemu. Panowie, zapraszam na scenę!

Tutaj należy się kilka słów wyjaśnienia ponieważ te dwie postacie nie są tak dobrze znane u siebie w kraju, jak właśnie w Pierwszym Korupcyjnym.

Andrzej Błoński to biznesmen, który od dawien dawna interesował się ZSRR, a potem państwami które powstały w wyniku jego rozpadu, i obecnie jest pożytecznym idiotą pracującym dla nowych władz Pierwszego Korupcyjnego. Takim, który kiedyś wychwalałby Stalina, a teraz wychwalał wschodnią korupcyjną oligarchię i to z własnego przekonania. Choć zapewne finansowo też był w jakiś sposób nagradzany, na przykład możliwością zawierania umów z firmami powiązanych z PK. Od zawsze miał doskonałe układy ze wszystkimi politykami w Stolicy, także z tymi, którzy rządzą tutaj obecnie. Mimo że byli z zupełnie innej opcji politycznej niż ci, z którymi trzymał na początku. Najpierw wspierał bowiem pierwszych lokalnych oligarchów, którzy wtedy, na początku lat '90, nazywali się „czerwonymi dyrektorami” ponieważ jeszcze w czasach Związku jako członkowie partii komunistycznej kierowali ogromnymi zakładami przemysłowymi. Później zaczęli inwestować w politykę, stopniowo samemu stając się politykami. Następnie Błoński przeczucił się na prozachodnich demokratów, najpierw nieśmiało, prowadząc negocjacje między nimi a „dyrektoriatem”, a potem już otwarcie opowiedział się po stronie tych pierwszych. W odpowiednim momencie dobrze wyczuł, do kogo będzie należeć najbliższa przyszłość. Występował zatem na ich wiecach, gdy próbowali przejąć władzę i potem gdy ją zdobyli. Przyjeżdżał im doradzać, czasem za darmo, a później za dość pokaźne sumy. Gdy ci jeden po drugim zaczęli wygryzać się nawzajem, nie umieli się zorganizować i jedynie fiksowali przeprowadzanie reform, Błoński wrócił do źródeł. Czerwonych dyrektorów już nie było, więc zaczął współpracować bezpośrednio z ich następcami, czyli oligarchami, którzy lubili mieć przyjaciół z Zachodu mimo oficjalnie manifestowanej niechęci do zachodniej cywilizacji i dość napiętych stosunków międzynarodowych. Te przyjaźnie zaowocowały tym, że teraz Błoński był bardzo mile widziany w

Stolicy. Oligarchowie u władzy nie potrzebowali zbyt wielu przyjaciół na Zachodzie, ale paru takich jak on zawsze mogło się przydać.

Drugim z polityków był Marek Podolski, młody w porównaniu z Błońskim mężczyzna, około 45-letni, który stoi na czele marginalnej partii Porozumienie znanej z kilkusobowych manifestacji przeciwko chińskiemu imperializmowi w Afryce, czy z żądaniem ostatecznego rozwiązania Europejskiej Unii Narodów. Partia Porozumienie chętnie odwoływała się też do systemu komunistycznego istniejącego w drugiej połowie XX wieku. Porozumienie obchodziło zatem Dzień Pracy, Dzień Zwycięstwa w II wojnie światowej, czy Dzień Mężczyzny. Wokół Podolskiego gromadzili się różni schizofrenicy opowiadający o tym, że wmontowane w mózgi wszystkich czipy sprawią, że zmienią się oni w Żydów i homoseksualistów, a może nawet uchodźców.

Andrzej Błoński i Marek Podolski to jednocześnie politycy tak sztampowi, że można było na 99% przewidzieć, co powiedzą. Zresztą ten pierwszy w wywiadzie dla jednego z czasopism biznesowych powiedział kiedyś: „Mam różne referaty na różne okazje w swoim komputerze. I nie wydaję na doradców. Mam za to odpowiednie bloki, z których składam dowolny referat: różne wstępy na różne okazje, a potem akapity na różne tematy: NATO, rozpad Europejskiej Unii Narodów, Zachód, Wschód, Chiny, polityka rodzinna, korupcja, defraudacja, system ochrony zdrowia, szczepionki, koleje, drogi, autostrady, współczucie dla biednych, aborcja, religia, ateizm, kara śmierci”. Te „bloki” pozwalały mu też odpowiedzieć na każde pytanie. Gdy słyszał na przykład słowo „aborcja” od razu (niezależnie od tego, czego konkretnie pytanie dotyczyło) otwierał odpowiednią szufladkę w głowie i zaczynał wyrzucać słowa oscylujące wokół tej tematyki.

Przykład takiego przemówienia dał właśnie na Kongresie.

- Udało nam się doprowadzić do rozpadu Unii Europejskiej. To był reżim zbrodniczy. Ktoś kiedyś mówił, że Związek Radziecki to był zbrodniczy reżim. O nie! To właśnie Unia Europejska była zbrodniczym reżimem: jej zbrodnia polegała na tym, że mówili nam w obcych językach, jaki ma być ogórek, jakiej żarówki mam używać i dlaczego nasze władze nie mogą kupić sobie nowej limuzyny. Ale to się skończyło, choć nadal współpraca między państwami jest zbyt duża. Wielki zbrodniczy reżim Unii Europejskiej został zastąpiony przez zbrodnicze małe reżimki państw narodowych i ich Europejską Unię Narodów. One są jeszcze gorsze! Kontrola państwa, promocja pedalstwa! Dlaczego pedały, powiem otwarcie bo u siebie tak mówić nie mogę, mają się całować na ulicach i obłapywać po tyłkach. Żenić się chcą! Nie dla gejropy! - Błoński wyraźnie nabierał obroty. Mocno rozbudzony i pobudzony mówił dalej: - Znam ten system dobrze, budowałem go, widziałem go od wewnątrz. Tak, przyznaję się do tego otwarcie - spuścił wzrok udając ból w sercu i pokajanie - próbowałem ten system eksportować do waszego kraju. Tak, kiedyś myślałem, że chcę żebyście żyli tak, jak my. Dopiero później przejrzałem na oczy. Zrozumiałem, że jestem jedynie wysłannikiem, pionkiem, w rękach światowych koncernów, które przejęły nasz rynek i chcą zdobyć wasz. Że światowe żydostwo, sodomici, masoni i wielkie korporacje kontrolują nas, aby czerpać zyski. Tymczasem nasz własny, krajowy biznes, taki jak mój, upada! - w tym miejscu Błoński podniósł ręce do nieba. Dzięki temu można było zobaczyć nadgarstki mówcy. Nie było tam żadnych oznak bogactwa, jak u ojca Pawła. W ogóle Błoński wyglądał dość skromnie, miał na sobie brązowy, trochę wymięty garnitur i wyprasowaną, choć lekko spłowiałą, brunatną koszulę. - Bracia, to, co oferuje Zachód, to jest droga donikąd, to są pseudowartości. Nie chcę żyć w obłudzie. Może zbyt późno, ale jednak przejrzałem na oczy i zrozumiałem, że tutaj bezpośrednio za naszą granicą budowany jest nowy wspaniały świat, gdzie nikt nikomu niczego nie narzuca, gdzie panują prawdziwa wolność i liberalizm. W pozytywnym tych słów znaczeniu – w tym miejscu nastąpiła brawa. Polityk obniżył ton i na spokojnie mówił dalej: - Bracia, mówię tak do was po raz kolejny bo mam prawo się tak do was zwracać, dziękuję wam za to, że jesteście, dziękuję za wasze wspaniałe hasło: Dogadamy się! Dogadajmy się! To hasło to zgoda i porozumienie bo jak wiemy: zgoda buduje, a niezgoda rujnuje! - tymi słowami Błoński zakończył swoje przemówienie. Otarł czoło chustką w kratkę, którą miał w wewnętrznej kieszeni marynarki i zszedł ze sceny. Rozległy się głośne brawa. Szczególnie cieszyli się miejscowi politycy, a przede wszystkim kierownictwo Pierwszego Korupcyjnego, które wiedziało, że takie wystąpienie znajdzie się we wszystkich

kanałach telewizyjnych. Pokażą je nie tylko miejscowe telewizje, ale też reporterzy, którzy przybyli z Azji i Afryki. - Widzicie, Zachód nas popiera, a przy tym niczego nie wymaga! - zdawali się mówić. Jeden ze stołecznych oligarchów bijąc zaciekle brawo, aż poprawił się na krześle i pokazał podniesiony kciuk dziennikarce należącego do niego kanału telewizyjnego. Filigranowa brunetka odwzajemniła się uśmiechem, a on z kolei przesłał jej powietrznego całusa. Kamerzyści z zapalem kręcili reakcję sali. Później skierowali swoje kamery na scenę, gdzie pojawił się kolejny występujący, czyli Marek Podolski.

- Porozumienie – to nazwa mojej partii. Nazwa partii, która stawia właśnie na zgodę, na porozumienie. My nie chcemy rozbratu. Nie chcemy nowego podziału na Wschód i Zachód. I nie chcą tego także tutejsze władze. Ale rządzący u nas mają odmienne podejście. Oni nie chcą rozmawiać z Pierwszym Korupcyjnym. Nie chcą robić biznesu – tutaj Podolski skłonił się do Błońskiego. - Co więcej! Nie chcą także rozmawiać z nami. Mówią o nas: agenci, oszołomy. Ignorują nasze oświadczenia, ignorują nasze konferencje prasowe. Nie mamy dostępu do mediów. My nie możemy nawet kupić sobie czasu antenowego, jak to jest u was. Nie możemy prezentować wielości poglądów bo na to na Zachodzie miejsca brak. Zadam tu retoryczne pytanie: to gdzie jest ta wolność słowa, gdzie jest ta osławiona demokracja? - pytanie, jak przystało na retoryczne, pozostało niemal bez reakcji. Rozległy się pojedyncze brawa. Podolski chyba zdawał sobie sprawę, że nie jest dobrym mówcą. Szczególnie blado wypadał na tle Błońskiego dlatego nie chciał przeciągać.

- Zwracam się do pana, panie Prezesie, proszę o nas nie zapominać. My nadal jesteśmy i żyjemy i wiemy, gdzie jest dobro, a gdzie jest zło. My chcemy pańskiego wsparcia. Dogadajmy się i budujmy wspólną przyszłość! - tu brawami zareagowało kierownictwo Pierwszego Korupcyjnego. Później Podolski mówił podobnie, jak jego poprzednik, ale dorzucił -choć tu przeprosił gości z Azji i Afryki- parę słów o słowiańskiej jedności, o wielowiekowej tradycji przerwanej przez zgniły Zachód, o II wojnie światowej, w której Związek walczył bohatersko, o czym teraz jego krajanie już dawno zapomnieli. Dodał przy tym, że ZSRR nie był skalany grzechem kolonizacji.

- Chciałbym w tej chwili jeszcze raz zaprosić na scenę pana Błońskiego - zakończył Podolski. Gdy drugi polityk stanął koło niego wspólnie zaprezentowali deklarację współpracy międzynarodowej. Czytali ją wspólnie, dzieląc akapity między sobą:

- My niżej podpisani postanawiamy utworzyć Nową Międzynarodówkę Równych Możliwości. W obliczu niesprawiedliwych systemów polityczno – ekonomicznych obowiązujących w naszych krajach, w obliczu zagrożeń płynących ze strony demokracji i monopolizacji życia w naszych państwach w różnych ich formach, mówimy zdecydowane Nie!

- Chcemy, aby w naszych krajach rządzili ludzie, a nie partyjne kliki.

Mówimy Tak:

- jedności społeczeństwa i kapitału,

- braterstwu społeczeństwa i wielkiego biznesu,

- równości możliwości i równości finansowej wszystkich obywateli, każdy może tyle, na ile go stać.

Jedność, Braterstwo, Równość – to nazwa naszej Nowej Międzynarodówki. W skrócie JeBR.

- Każdy obywatel ma prawo kupić sobie prawo do rządzenia, ma prawo rządzić, tak jak dotychczas rządziły u nas burżuazyjno – polityczne kliki. Od teraz chcemy by rządził każdy, kto ma takie możliwości.

- W obliczu nowej sytuacji politycznej, w obliczu nowej demokracji mówimy zdecydowane tak współpracy z PK. Nie chcemy monopolizacji polityki zagranicznej. Chcemy wolnego przepływu myśli przez granicę. Chcemy pluralizmu myśli, który pozwoli każdemu głosowi być usłyszanym.

- Nasza Nowa Międzynarodówka jest otwarta na innych i każdy, kto podziela nasze poglądy, może do nas dołączyć.

- Bracia, czekamy na was! - zakończyli wspólnie. Sala biła brawo. Niektórzy delegaci wstawali.

Postawione przed nimi zadanie Podolski i Błoński wykonali na sto, a może nawet dwieście procent. Kłaniali się Prezesowi, podawali mu rękę i innym oligarchom, kłaniali się zebrany i

kamerom ciesząc się, że wreszcie zagoszczą pod strzechami zwykłych mieszkańców PK. Lorieks Arwil też poczuł się zobowiązany do paru słów:

- Kochani, pamiętajcie, że my o was nie zapomnimy, nie martwcie się, jesteśmy z wami i zawsze będziemy. A wy bądźcie z nami - dodał.

Później Prezes zakończył oficjalne otwarcie i zaprosił wszystkich do udziału w panelach tematycznych. - Ale na tym nie zakończy się nasz Kongres. Warto także odwiedzić odbywające się w hallu hotelowym targi rajów podatkowych. I jeszcze niespodzianka: rozmowy, dyskusje, przemówienia, to ważna rzecz. Ale jeszcze ważniejsze jest to, abyśmy się lepiej poznali. Dlatego zapraszam na wieczorną kolację połączoną z balem.

Wyszedłem. Kongres robił porażające wrażenie święta obłudy i wieczności. Mieliśmy zatem biznesmenów ze Wschodu, którzy kontynuowali dzieło zapoczątkowane wieki temu. Polegało ono na utrzymaniu państwa w niezmiennym schemacie, w którym zwykli obywatele nie mieli prawa głosu i decyzji. Ponieważ nie udawało się ich utrzymać pod kontrolą jednego rządzącego, czy tym bardziej całego parlamentu, odtworzyli oni komitet centralny, który zarządzał państwem. Podobnie, jak w ZSRR.

Słuchałem później tego, co mówiono w kuluarach, szczególnie naszych polityków z Zachodu, którzy zafascynowani byli tego rodzaju rządami. Co więcej chcieli oni, aby taka władza rozszerzała się na kolejne kraje. Moi rodacy stali z kolegami z innych państw.

- To bardzo dobrze, że założyli panowie tę międzynarodową międzynarodówkę korupcyjną. Nazwa ładna: Jedność, Braterstwo, Równość, ale brak tu słowa korupcja, no albo choćby pieniądz – mówił niewielki wzrostem polityk z niewielkiego państwa zachodniego, prawdopodobnie wchodzącego w skład Włoch, trzęsąc rękami i zaglądając Błońskiemu, dzięki małemu wzrostowi, pod opuszczoną głowę.

- Chyba pan oszalałeś – tłumaczył Błoński łamanym angielskim – przecież nas w kraju zajebią (zej wil fak as dałn – tak to brzmiało w jego wersji). Nie może być słowa „korupcja”. Po pierwsze, nie za bardzo ją u nas lubią, a po drugie nie za bardzo lubią PK. Będzie taka nazwa, jak ustaliliśmy z Podolskim – podkreślił i właściwie zaczął mówić do niego, ignorując Włocha i odchodząc od angielskiego.

- Oni nam tu pomogą, bo już z nimi rozmawiałem. Oczywiście nie za darmo, wiesz jak jest. Pożyczą pieniądze na dobrych warunkach, ale żądają zwrotu. Niekoniecznie finansowego. Raczej mamy zabiegać o to żeby mogli inwestować u nas, żeby Zachód zniósł sankcje wprowadzone za łamanie praw człowieka i inne bzdury, no i od czasu do czasu wrzucać jakieś tematy do dyskusji publicznej, no w mediach, tak jak teraz robimy, chyba jasno się wyrażam? - mówił Błoński.

Tak to właśnie rozmawiali nasi politycy. Ja tymczasem udałem się na poszukiwanie ciekawych paneli. Wszystkie tytuły brzmiały bardzo podobnie: Korupcja w medycynie drogą do wyrównania nierówności społecznych, Korupcja w drogówce drogą do równości, Oligarchiczna kontrola nad państwem drogą do spokoju społecznego. Ta ostatnia propozycja najbardziej mi się spodobała. Zapowiadała się ciekawa rozmowa, szczególnie, że gośćmi miało być kilku wielkich biznesmenów wchodzących w skład Rady Nadzorczej Państwa. Sam Prezes był największym i najbogatszym z oligarchów, ale akurat tutaj miał być nie on, a jego najbliżsi koledzy. Warto było posłuchać, co mają do powiedzenia, szczególnie, że w Pierwszym Korupcyjnym obowiązywała rotacja stanowisk, czyli ktoś, kto dziś ma tylko nieznaczące formalnie stanowisko, jutro może być już szefem szefów.



Rozdział VIII, w którym poznajemy dokładniej rządzących w PK i dowiadujemy się, jakie mają ambicje, a jakich nie

Znów przeszedłem dokładną kontrolę i znów znalazłem się w sali pełnej delegatów i ochroniarzy. Na scenie w wygodnych fotelach siedzieli czterej przedstawiciele wielkiego biznesu Pierwszego Korupcyjnego. Nie byli najmłodsi, mieli po około 60 – 70 lat, a może już nawet 80, choć liczne operacje plastyczne i odmładzające zabiegi utrudniały ocenę prawdziwego wieku. Pierwszy, licząc od lewej, siedział Lestaber Stalen - mały z grzeczną fryzurką i przyklepionym takim samym uśmiechem, drugi podobny tylko wyższy, to Lenrud Lagszmiwara, trzeci z rozbieganymi oczkami i łysiną, czyli Damir Dazdranagon, a czwarty grubszy z brodą i w okularach, ubrany -ku zaskoczeniu wszystkich- w niechlujny t-shirt i starą wytartą marynarkę to Rubin Lengenmir. Pozostali trzymali elegancki chiński sznyt – doskonale dobrane garnitury i koszule prosto z Pekinu. Poza butami, te musiały być z egzotycznych zwierząt, co było przypomnieniem początków XXI wieku i trąciło nowobogactwem. Mieliśmy zatem na scenie i krokodyla i strusia i słonia. Tylko Ruben Lengenmir nosił adidasy. Każdy miał też na nadgarstkach obowiązujący zestaw składający się ze złotego zegarka i ciężkiej, równie złotej, bransolety z niewielkim ekranikiem, który prezentował pozostałe egzemplarze biżuterii posiadanej przez właściciela, w domu, czy w sejfie w chińskim bądź zachodnim banku. Takie bransoletki nie należały do najtańszych, ale były ostatnim krzykiem mody. Na szyi obowiązkowy łańcuszek, z krzyżykiem bądź medalikiem. Tutaj znów wyróżniał się Rubin Lengenmir, który miał na rękę coś co wyglądało na pozłacany japoński zegarek elektroniczny, prawdopodobnie pochodzący jeszcze z lat '80 XX wieku. Jeśli był to rzeczywiście oryginał, to także nie był najtańszy. Produkowane później kopie nie miały na przykład melodyjek, które były w oryginalnych egzemplarzach sprzed dziesięcioleci.

Wszyscy czterej oligarchowie zaczęli swoją przygodę z biznesem w latach '90 i znali się bardzo dobrze. Walczyli ze sobą, może kiedyś nawet do siebie strzelali, podkładali ładunki wybuchowe, na pewno celowali w siebie ich „żołnierze”. Potem, gdy czas otwartych porachunków minął zaczęli walczyć ze sobą w sądach kupując sędziów i prokuratorów. Swoje spory przenieśli też na scenę polityczną - popierali różne partie, inwestowali ogromne pieniądze w polityków, aż w końcu doszli do wniosku, że nie ma sensu fundować fasadowej demokracji i oficjalnie zakończyli wszystkie spory. W ten sposób umarła polityka. Efektem był podział całego państwa na strefy wpływów. Nie było to żadne nowatorskie rozwiązanie, a po prostu przenieśli doświadczenie mafijne pochodzące jeszcze z lat '90 i stosowane przez różnego rodzaju organizacje przestępcze, polegające na podziale miasta na strefy wpływów. Tym razem zastosowano to w skali kraju. Zresztą tego rodzaju podziały w skali regionalnej były wykorzystywane na przełomie XX i XXI wieku w życiu politycznym. Jedna partia obsługiwała jeden region, a druga drugi, przy czym starały się one nie wchodzić na terytorium oponenta, co nie przeszkadzało im w oficjalnej retoryce wieszać na przeciwnikach wszelkie możliwe psy.

Atmosfera spotkania zapowiadała się przyjemna, ciepła, wręcz domowa, a widzowie zostali do tego domu dopuszczeni, aby popatrzeć, jak rozmawiają ze sobą starzy znajomi. Choć oczywiście po przejściu odpowiedniej kontroli. Nawet w domu nie wiadomo, czy ktoś nie będzie miał niecnych zamiarów. W końcu w rodzinach też dochodzi do przemocy. Uczestnicy Kongresu mogli zatem obserwować przyjacielską rozmowę na scenie. Mieli też szansę, jak się później okazało, na zadawanie pytań.

Zaczął Rubin Lengenmir, który mówił równie niechlujnie, jak wyglądał:

- Witam wszystkich na panelu zatytułowanym – tu zajrzał do kartki - Oligarchiczna kontrola nad państwem drogą do spokoju społecznego. Na początku powiem wam (mówił jak do starych znajomych, unikając słowa państwo i zwracając się raz do kolegów na scenie, a raz do obecnych na sali), skąd się wziął tytuł dyskusji. Właśnie dyskusji, a nie wykładu ponieważ chcemy nie tylko po prostu przedstawić receptę na zachowanie spokoju w państwie przy maksymalizacji dochodów, ale też porozmawiać z wami, jakie są problemy w waszych krajach i jak je można rozwiązać. Zachęcam zatem do rozmowy, moi drodzy Afrykańczycy i Azjaticcy. Czy może Azjaci? Azjaticcy brzmi milej - uśmiechnął się zgryźliwie biznesmen. Poglądził po brodzie i mówił dalej:

- Zatem rozpoczniemy naszą rozmowę, będę mówił na początku ja i moi koledzy. Oczywiście nie jednocześnie, przekrzykiwać się nie będziemy, a już na pewno nie będziemy walczyć. Ale jeszcze kilkadziesiąt lat temu, gdy upadł Związek i tworzyliśmy nowe państwo, celowo nie mówię nasze bo ono jeszcze nie było wtedy nasze, traciliśmy wiele energii na walki między sobą.

- Niektórzy tej walki nie przeżyli – rzucił mały z grzeczną fryzurką.

- Niektórzy nie dożyli do dnia dzisiejszego, to prawda – uśmiechnął się krzywo Rubin Lengenmir, tym razem poprawił okulary i kontynuował wstęp – Później przyszły czasy walki politycznej. Wspieraliśmy różne ugrupowania, inwestowaliśmy w polityków. Dawaliśmy pieniądze ludziom i finansowaliśmy wybory!

- Traciliśmy pieniądze – zauważył Damir Dazdranagon, czyli trzeci z rozbieganymi oczkami – traciliśmy masę pieniędzy, niezliczoną ich ilość, Zachód na nas patrzył, jak na wariatów. A my staraliśmy się przekupić ludzi, wyborców, udawaliśmy, że gramy w demokrację. Pamiętacie, jak rozdawaliśmy ludziom reklamówki z jedzeniem: olej, ryż, konserwa z mlekiem zagęszczonym! To były czasy! Śmieszne, ale to działało. No i doradcy polityczni, a to nasi, a to ze Stanów Zjednoczonych. Ile na to kasy poszło!

- W każdym razie rzeczywiście był tu pewien element hazardu, w końcu nigdy nie było wiadomo, co biomasa wybierze! Momentami to było lepsze niż wyjazd do kasyna w Monako - dodał Rubin Lengenmir. - Większe stawki, większe ryzyko, ale wygrana dawała naprawdę dużo.

- Wspieraliśmy nawet, przynajmniej niektórzy z nas, ich rewolucje. Rewolucje, wybory – to miało nam pomóc rozładować napięcie w społeczeństwie, wypuścić trochę pary. Ja przynajmniej tak myślałem, że to ma jakiś sens. Co więcej, muszę przyznać, że wydawało mi się, że może da się u nas zastosować model zachodni – rzucił Lenrud Lagszmiwara.

- Lenrud, ale to było bez sensu! Byłeś naiwny – zaznaczył Rubin Lengenmir – Sam wiesz i państwo wiecie, że mówi się: „chcesz zmienić świat, zacznij od siebie”. I zaczęliśmy. Choć trochę za późno, biorąc pod uwagę, ile pieniędzy wyrzuciliśmy w błoto. W końcu jednak przejęliśmy władzę, wzięliśmy odpowiedzialność za kraj. Nie ma sensu wyrzucać pieniędzy na fasadę. Zresztą nie było to trudne bo ludzie mieli dosyć, nie chcieli ciągłych kłótni, przekomarzań, obraz itp. itd. Ile ja mogłem sobie kupić jachtów za te pieniądze, które wydałem na debilnych polityków i doradców politycznych. Teraz rządząmy my, jako Rada Nadzorcza Państwa, no a Prezes, jak państwo wiecie jest spośród nas pięciu losowany.

Lenrud Lagszmiwara, który pośrednio przyznał wcześniej, że był dość naiwny, kontynuował swoją otwartą i szczerą wypowiedź:

- Nasze działania spotkały się z nierozumieniem Zachodu. Dla niego liczy się tylko demokracja. Ale u nas demokracja to był chaos, to były ciągle wybory i populizm. Dla nas ciągle wydatki, jak zresztą Rubin powiedział wcześniej. Dłuższy czas udawaliśmy też, że kochamy demokrację. Tylko traciliśmy czas i pieniądze. Ile ja utworzyłem i finansowałem ugrupowań!? Ile pieniędzy wadłowałem w jakichś półmózgów - polityków!? My chcemy żeby państwo było sprawnie funkcjonującą firmą, a nie ciągle psującą się machiną – gestykulował wyraźnie ożywiony Lagszmiwara wskazując palcem na stojący przed nim stół z wodą. - Ci politycy to jak radzieccy urzędnicy, którzy snuli się po korytarzach tylko nie swoich komitetów, ministerstw i biur, a mojej firmy. Zamiast młodych profesjonalistów! A my potrzebujemy profesjonalizmu. Nasze państwo go potrzebuje. Dopóki Zachód i Chiny tego nie zrozumieją, to nie będziemy z nimi współpracować - podkreślił.

I te słowa są doskonałym przykładem manipulacji: to Zachód i Chiny zerwały współpracę z Pierwszym Korupcyjnym, a nie Wschód z Zachodem. Były to sankcje za eksport modeli korupcyjnych i próby przekupstwa tamtejszych urzędników oraz uczestnictwo w praniu brudnych pieniędzy.

Pałeczkę przejął Lestaber Stalen:

- Na razie, to my obraziliśmy się na Zachód i Chiny. Już raczej nie trzymamy tam swoich pieniędzy – zapewniał a jego oczka biegały po całej scenie – teraz trzymamy je u siebie w kraju. Konfiskata, sankcje, zamrożenie aktywów. Po co nam to szczęście?

Tu znów minęli się z prawdą bowiem pieniądze nadal najczęściej leżały na kontach poza PK, tyle że nie w Europejskiej Unii Narodów, czy w Chinach, a gdzieś w rajach podatkowych. Oligarchowie byli ostatnio ostrożniejsi i po zaostrzeniu przepisów w różnych krajach dokładniej wybierali banki i państwa, gdzie trzymali swoje oszczędności. Choć właściwie trudno było pieniądze na zachodnich kontach nazwać oszczędnościami bo te przewidują jakieś wyrzeczenia, oszczędzanie, a to były raczej nadwyżki. Miliony, z którymi nie wiadomo było za bardzo, co zrobić.

- Chciałem jeszcze coś dodać na koniec naszych krótkich wystąpień - powiedział Rubin Lengenmir. - To nie jest tak, że zmiana systemu oznaczała tylko zyski. Nie. Musieliśmy zrezygnować z jednego z najważniejszych źródeł naszego dotychczasowego dochodu: defraudacji budżetu. Dyskusje na temat tego, jak ma wyglądać wspólna kasa państwa trwały bardzo długo. Bardzo długo nie mogliśmy dojść do porozumienia. W końcu przyjęliśmy, że ma on być, jak najmniejszy i zaspokajać tylko podstawowe potrzeby biomasy. Tak żeby nikt nie kradł.

Przez chwilę na sali zrobiło się smutnawo. Wydawało się, że Lestaber Stalen, Lenrud Lagszmiwara, Damir Dazdranagon i Rubin Lengenmir liczą w głowach, ile zarabiali na uzyskiwanych za łapówki zamówieniach publicznych i ile stracili. Ile wsparcia z budżetu otrzymywali dla swoich nierentownych kopalni, ile lewego gazu kupionego taniej niby dla ludności sprzedali drożej innym przemysłowcom, ile sprzętu zostało zakupione za państwowe pieniądze kilka razy drożej dzięki firmom – pośrednikom. Ale te czasy minęły. Słowa o tym, że mogą odkuć się w Europie, Ameryce, Chinach, czy w „państwach rozwijających się” wydawały się tylko trzymaniem dobrej twarzy do złej gry bowiem te państwa coraz lepiej zdawały sobie sprawę w jak brudną grę gra PK. Ciszę przerwały brawa. Początkowo pojedyncze, a później całej sali. Nie trwały one długo. W końcu nie był to koncert, a poważna konferencja.

- Proszę o pytania z sali – powiedział Rubin Lengenmir.

Nastąpiła tradycyjna minuta ciszy. Większość tych, którzy przybyli, było zainteresowanych wprowadzeniem systemu korupcyjnego u siebie w kraju. Nie mieli jednak albo możliwości, albo odwagi, żeby to zrobić.

- A co zrobić z ludźmi? Jak im wytłumaczyć, że na państwo nie mogą już liczyć? - rzucił jakiś mężczyzna z sali. Chyba delegat z Ameryki Południowej.

Rubin Lengenmir roześmiał się trzymając się raz za brzuch, raz za brodę, raz za okulary. - Z jakimi ludźmi? Z tymi co wybierają populistów, którzy potem mówią nam, co mamy robić? Kochany! Nam ci ludzie są potrzebni do pracy i my im tę pracę sprzedajemy. Właśnie, że sprzedajemy, a nie dajemy. Zarabiamy dwukrotnie. Po pierwsze na sprzedaży miejsc pracy, a po drugie na sprzedaży wytwarzanych towarów. Oni muszą nam płacić i muszą u nas pracować. Zachód jest dla nich zamknięty. Chiny tym bardziej. Oni nigdzie nie wyjadą. Chyba że się bardzo postarają. Więc robią u nas za grosze. I tu chciałbym dodać – lekko podniósł się z krzesła – że jeszcze przed tym, jak przejęliśmy władzę była korupcja wewnętrzna w naszych przedsiębiorstwach. Często ludzie rzeczywiście płacili za miejsce pracy, ale nie nam, a jakiemuś kadrowemu. Teraz to się skończyło. Jest przejrzyste i legalnie i kadrowy odpala nam odpowiednią sumę za zatrudnienie. Jak nam nie odpali, to my go odpalimy – Rubin Lengenmir znów roześmiał się sążnście wyraźnie zadowolony ze swojego dowcipu.

Zaskakująca szczerość. I to w obecności kamer miejscowych kanałów. Jednak ani lokalni reporterzy, ani ich wydawcy, ani ich kierownictwo nie były zainteresowane, aby ten cynizm można było zobaczyć, czy przeczytać o nim w mediach elektronicznych. Instrukcje były wyraźne i każdy wiedział, co można, a czego nie. Nieposłuszeństwo było surowo karane.

Później przyszedł czas na kolejne pytanie z sali. Z miejsca wstał delegat z Azji Środkowej, niski, mocno opalony, w jasnoniebieskim garniturze i wytartych zżółkłych butach.

- Tak panów rozbawiło pytanie: co z ludźmi, a problem jest duży bo co na przykład zrobić ze związkami zawodowymi?

Oligarchowie kilka chwil się naradzali i zgodnie kiwali głowami. Głos zabrał Damir Dazdranagon:

- To też jest śmieszne pytanie, ale oczywiście odpowiemy. Związki zawodowe są niepotrzebne. One pełniły fasadową rolę, zajmowały się głównie swoim majątkiem: sanatoriami,

ośrodkami wypoczynkowymi, hotelami itp. My takich ludzi nie musimy tolerować, pasożytów w naszych zakładach. Te związki u siebie rozwiązaaliśmy, a ich mienie przejealiśmy. Nie rezygnujemy jednak ze wspierania takiej działalności za granicą. Mamy powołany Międzynarodowy Syndykat Korupcyjny, z mojej inicjatywy, to jest powiedzmy taki fundusz, fundacja i my się tam zrzucamy żeby wspierać związki zawodowe w innych krajach, gdzie prowadzimy swoje interesy. Czasem trzeba przepchnąć jakąś decyzję, potrzebny jest jakiś protest, manifestacja, czy wręcz przeciwnie uspokojenie nastrojów. Mamy od tego swoich ludzi. Oczywiście nikt oficjalnie z nami nie współpracuje, sami państwo rozumieją, ale zachęcamy wszystkich tu zebranych, a rozumiem, że jesteśmy między swoimi, do zwracania się o pomoc. Następne pytanie – zakończył Damir Dazdranagon.

Podniósł się starszy mężczyzna, lekko zgarbiony i łysiejący. Mówił wyjątkowo uprzejmie, wyraźnie z obcym akcentem, jakby bojąc się reakcji audytorium i mówców. Zresztą bardzo wyróżniał się na ich tle, przede wszystkim skromnym ubraniem, rozdeptanymi butami i plastikowymi oprawkami okularów sklejonymi u nasady nosa, które od razu poprawił rozpoczynając swoją wypowiedź:

- Szanowni panowie oligarchowie. Nazywam się profesor Adam Pstrix i nie ukrywam, że kiedyś panów krytykowałem. Później jednak wytłumaczono mi, że popełniłem błąd i widzę, że system przez panów oligarchów zbudowany jest najlepszym z możliwych. Przynajmniej dla tej części świata. Tutaj nie da się rządzić inaczej i wiele prób, które tu podejmowano żeby bawić się w Zachód, czy w demokrację, to była totalna porażka. Porażka, która kosztowała nie tylko wiele pieniędzy, ale także życie ludzkich. To było tytułem wstępu. Mam jednak propozycję, nie mówmy o Pierwszym Korupcyjnym ponieważ tutaj nie ma korupcji, jest tylko uczciwa konkurencja, prawo silniejszego i liberalizm ekonomiczny, o którym tak lubi mówić wielu polityków, szczególnie w Ameryce. Mówienie o Pierwszym Korupcyjnym i przy tym chwalenie go przekreśla nas, jego zwolenników w Europie, w oczach naszych kolegów – tamtejszych naukowców, czy polityków. A my przecież, jako przekonani o wyższości zbudowanego przez panów systemu, mamy do niego przekonywać innych. Uważam, że zmiana nazwy jest konieczna – zakończył profesor Pstrix, usiadł, a oligarchowie wymienili się kilkoma uwagami.

- Pamiętam cię, to ty kiedyś pracowałeś jako dziennikarz, a potem chyba bawiłeś się w politykę jako działacz jakiejś zachodniej organizacji pozarządowej i starałeś się nas przekonać, że robimy źle kupując głosy w parlamencie. Teraz, rozumiem, jesteś naukowcem. Ale to nieważne bo koniec końców w rezultacie ty jesteś na dole, a my na górze – odpowiedział śmiejąc się Rubin Lengenmir. - W każdym razie – zaznaczył wciąż uśmiechając się z satysfakcją – te czasy już minęły. I nie ma co ich teraz przypominać i wypominać. Weźmiemy to, co powiedziałaś pod uwagę. Rzeczywiście nazwa naszego państwa może być uznana za roboczą. Będziemy myśleć nad jej zmianą, ale na to trzeba czasu. I nie roku, ani dwóch. Nam się ona podoba, przynajmniej na razie. Następne pytanie.

Rękę podniósł na oko 45-letni, czarnoskóry mężczyzna przy kości ubrany w tradycyjną dla Afryki długą kolorową suknię i sandały.

- Nazywam się Ekim Ottobre. U nas w Afryce mamy duże problemy przy budowie takiego państwa, jak wasze. Nawet biorąc łapówki nasi urzędnicy nas oszukują. Wiecie, co oni wymyślili? Boją się brać łapówek do kieszeni, bo z tego muszą odpalać dolę kierownictwu, to zaczęli przyjmować przekazy na numer telefoniczny, na karty pre-paid! To jest jakaś paranoja, robi się jakaś korupcja w korupcji! My nie wiemy, jak z tym walczyć. Może panowie coś poradzą, bo takie problemy pewnie pojawiają się też u państwa?

Siedzący na scenie oligarchowie oglądali się na siebie. W końcu głos zabrał Lestaber Stalen.

- To może ja odpowiem. Odpowiedź będzie krótka bo takich ludzi trzeba trzymać krótko. Jeżeli tylko wyczuwamy, że coś jest nie tak przeprowadzamy rozmowę wyjaśniającą, jeśli nadal nie rozumieją, tłumaczymy im to gdzieś w mocno zamkniętych pomieszczeniach, bądź w lesie, czy w pana przypadku na pustyni albo w buszu. Czasem są potrzebne jeszcze bardziej radykalne działania. Parę pokazowych akcji i następnymi już na pewno was nie oszukają. Do tego wszystkiego potrzebne są mocne służby porządku korupcyjnego i publicznego. Od tego trzeba zacząć tworzenie państwa.

Siedzący obok kiwali ze zrozumieniem głowami. Milczący dotąd Damir Dazdranagon dodał:

- Tu trzeba zdecydowanych działań. Od początku trzeba być przekonany do tego, że się ma rację, że to my wiemy, co trzeba robić, a nie inni. Nam w tym pomogły lata '90. Wtedy hartowała się stal. Ale wy tam w Afryce chyba nie macie problemów z brakiem zdecydowanych ludzi... Przynajmniej jeśli chodzi o działania na szeroką skalę.

Tutaj wtrącił się Rubin Lengenmir:

- Przepraszam państwa bardzo, ale musimy kończyć spotkanie. Musimy iść i pracować dla dobra państwa i dla swojego dobra. Moja krótka rada: nie zapominajcie szczególnie o tym ostatnim.

Przedstawiciele Rady Nadzorczej Państwa wstali i wyszli ze sceny tylnym wyjściem w wyraźnie dobrych humorach. Za nimi zniknęli ochroniarze. Delegaci zaczęli powoli opuszczać salę. Panel nie trwał chyba dłużej niż pół godziny, choć padło na nim bardzo dużo ważnych i wiele wyjaśniających deklaracji.

Inne dyskusje trwały jeszcze w najlepsze. W sali obok zobaczyłem ożywioną rozmowę działaczy kultury na temat wspólnej przestrzeni kulturowej Wschodu.

- Od lat, jeszcze przed nową erą, kręciliśmy seriale umieszczone w naszej przestrzeni kulturowej. W przestrzeni byłego Związku. Nikt nie mógł powiedzieć, czy dzieją się one w kraju A, B, czy C. W mieście D, E, czy F albo G. Chodziło o pokazanie, że wszyscy żyjemy tak samo, obchodzimy te same święta: Nowy Rok, czy Dzień Kobiet, czy Dzień Zwycięstwa. Nawet zgodziliśmy się na wspominanie o świętach religijnych. Jesteśmy właściwie jednym narodem. Później to się skończyło, do władzy doszli politycy, którzy nam tego zabraniali, mówili, że się różnimy, że jesteśmy odrębnymi narodami, nic nas nie łączy – mówił dość młody, ale już niemal całkowicie siwy mężczyzna w srebrnych lekkich okularach. To Lestak Urgawnieb, dyrektor jednej z największych stacji telewizyjnych w Pierwszym Korupcyjnym (mimo postulatów profesora Adama Pstriksa to była nadal obowiązująca nazwa państwa, więc pozostał przy niej). Zresztą telewizja ta należała (jakżeby inaczej) do jednego z oligarchów, Rubina Lengenmira. – To był dla nas prawdziwy biznes, myśmy na tym zarabiali krocie, seriale można było kręcić u nas i sprzedawać do innych państw, a później się to nagle skończyło. Ja mam cały czas nadzieję na powrót do tamtych dawnych dobrych czasów. Szczególnie, że teraz u władzy są ludzie, którzy wierzą, że kultura to też pieniądze.

Siedząca obok kobieta w zbyt dużej czerwonej marynarce i w podobnych okularach do tych profesora Pstriksa, które sugerowały, że lata '90 skończyły się całkiem niedawno, zaczęła nerwowo poruszać się już gdy wydawało się, że Lestak Urgawnieb kończył swoją wypowiedź i od razu zaczęła mówić, gdy rzeczywiście ją zakończył.

- Panie Lestak, to nie jest tylko kwestia pieniędzy! Bo pan tak mówi, jakby to był tylko biznes, a to jest produkowanie wartości dodanej bez której nasze państwo, czy wasze kraje, po prostu rozpadną się, znikną. A w pierwszej kolejności zniknie łączność między nimi. To jest kwestia przyszłości naszego państwa, a później i ogólniej, że tak powiem i pozwolę sobie wyrazić to jasno: ewentualnego sojuszu takiego rodzaju krajów. Sojuszu, który położy kres hegemonii Zachodu, Ameryki i Chin i pozwoli wszystkim myśleć swobodnie i działać swobodnie. I tutaj dodam i podkreślę, a nawet powtórzę: jeśli nie stworzymy wspólnej kultury, wspólnej nadbudowy, pożegnamy się najpierw z naszym państwem, a później z ewentualnym sojuszem – mówiła kobieta, której na początku nie byłem w stanie rozpoznać, choć chyba gdzieś przedtem ją widziałem. Być może w starych programach informacyjnych, jako prezenterkę, ale wtedy, czyli dobrych kilkadziesiąt lat temu, była dużo młodsza, atrakcyjniejsza, choć gestykulacją niewiele się różniła, tak samo, jak mało zmienił się jej głos. Po chwili przypomniałem sobie, kto to jest. To postać znana w całym byłym Związku - Róża Tetori, czyli prowadząca jeszcze w latach '80 XX wieku program „Czas”. W książeczce rozdawanej uczestnikom Kongresu, dokładnie opisano jej życiorys: „Po rozpadzie ZSRR prowadziła własny talk-show „My” - poświęcony problemom społecznym w nowo utworzonych państwach. Jednocześnie kierowała Komisją do spraw Wspólnej Przeszłości i Przyszłości. Ta instytucja zajmowała się, między innymi, koordynacją wspólnej polityki kulturalnej. Dzięki jej działaniom powstały takie seriale, jak „Związek w Związku”, „My ze związkowego

blokowiska”, „Marszrutka, która zmieniała moje życie”. W twórczości reżyserów współpracujących z Komisją widać było takie założenia, jak wspólnota zachowań, tradycji i historii byłych państw związkowych. Wykładała także na wielu uczelniach. - Róża Tetori tłumaczyła nam, jak mamy kręcić filmy, aby widz nie mógł określić, w jakim kraju, który powstał po rozpadzie Związku, był kręcony nasz serial. Chodziło o przekonanie mieszkańców, że nadal są jednym narodem – tłumaczył reżyser „Marszrutki, która zmieniała moje życie” Arwil Prawlen. Obecnie Róża Tetori jest na emeryturze, ale nie przestaje działać społecznie na rzecz odbudowy wspólnoty byłych państw Związku”.

Posłuchajmy, jak dalej toczyła się dyskusja.

- Kiedyś mieliśmy wspólną komisję, ustalaliśmy, co oglądają ludzie. Teraz naszym władzom na tym nie zależy. Nie ma platformy do dyskusji.

- Moment, moment, pani trochę przesadza. Są już seriale, które tłumaczą ludziom, dlaczego obecny system jest lepszy od poprzedniego – ożywił się trochę Lestak Urgawnieb. - W naszym studiu nakręciliśmy już 10 odcinków znakomitego serialu „Życ i umrzeć za pieniądze”. Nie widziała pani? Pewnie tak, ale może nie wszyscy na sali go oglądali. Opowiada on o zwykłej rodzinie, której żyć jest ciężko, ale jest ona i tak zadowolona z tego, jaka jest sytuacja w naszym państwie i przypomina sobie, jak źle było kiedyś. Jakie piekło nam gotowali politycy. Zrobiliśmy tutaj duży nacisk na retrospekcje.

- Oczywiście, że widziałam „Życ i umrzeć za pieniądze”. To dość dobry serial. Ale my chcemy więcej. Ja chcę żebyście państwo zrobili taki serial, który mogą obejrzeć ludzie w całym byłym Związku, a nie tylko w naszym kraju. Właściwie, co ja mówię, nic nie mówię, ale mówię, że nawet nie tylko w byłym ZSRR, ale też w Afryce i powiedzieć sobie: tak, chcemy tak żyć, jak tutaj. A tego brak! To może być reklamówka naszego kraju. Reklamówka, za którą w dodatku ktoś nam zapłaci kupując od nas taki film.

Róża Tetori mimo dość zaawansowanego wieku w ożywiony sposób tłumaczyła swoje racje.

- „Życ i umrzeć za pieniądze” to serial, który jest umiejscowiony w Stolicy. On łopatologicznie tłumaczy zalety Pierwszego Korupcyjnego. Ale ja powtarzam już po raz setny: tego serialu nie zrozumie nikt w Afryce, ani w Azji. Jego może nawet nie rozumieją nasi bracia z innych państw Związku. To jest jakby ciąg reklam umieszczony tu i teraz, w tym państwie. Co więcej! On buduje tylko waszą, właściwie naszą wspólnotę. Ktoś z sąsiedniego państwa wschodniego tego nie zrozumie! - gestykulowała porywająco unosząc się co chwila z fotela.

- Ale co pani mówi, pani Różo, widziała pani blokowiska, widziała pani urządzenie mieszkań, widziała pani o czym mówią nasi bohaterowie? Ktoś z Konfederacji EuroAzji tego nie zrozumie? Oczywiście, że zrozumie! My staramy się powiedzieć wyraźnie: wy, nasi sąsiedzi, też możecie tak żyć! Że my w tej tkance powstałej po rozpadzie Związku, budujemy nowe życie, które wy też sobie możecie zbudować – odrzucał oskarżenia Lestak Urgawnieb. Potem poprosił tych uczestników spotkania spoza państw byłego Związku, którzy widzieli serial, aby podnieśli ręce. Takich było kilku. Wśród nich byłem ja, choć się nie ujawniałem. Skojarzyłem, że to film, który opisywałem wcześniej, w którym młody mężczyzna dogadywał się z lekarzem, co do ceny porodu.

Wstał czarnoskóry mężczyzna w eleganckim garniturze, który zapewniał, że widział to dzieło, jednak dla osoby, która nie zna niczego więcej poza swoim krajem jest on niezrozumiały.

- Nazywam się Imphala Kufuna, jestem przedstawicielem Centralnej Telewizji Afryki Centralnej. Nasi przywódcy są bardzo zainteresowani państwa doświadczeniem. Ci polityczni misjonarze, jeśli mogę się tak wyrazić, którzy przyjeżdżali z Zachodu, nie rozumieли naszej mentalności. Chińczycy chcieli nam dawać niemożliwe do spłacenia kredyty, które nas miały zrujnować. Teraz wreszcie ktoś chce nam dać gotowy system dostosowany do naszych zwyczajów i tradycji korupcyjnych. Ale, odnosząc się do tego, co państwo mówią: my nie chcemy gotowych filmów, my chcemy ramy, które będziemy mogli wypełnić własną treścią, własnymi aktorami, własnymi realiami. Przecież Zachód produkuje mnóstwo takich ramowych scenariuszy, formatów, że wspomnę „Nudne sprawy”, „Dlaczego nie ty?”, „Ukryta nieprawda”. Dajcie nam podobny produkt! - mówił prawie żądając i podnosząc głos.

Tym razem ożywił się Lestak Urgawnieb, który zapewnił, że taka współpraca jest możliwa i całkiem realna.

- To jest bardzo dobra idea i będziemy nad tym pracować. Na razie to my importujemy cały czas formaty, na przykład, „Państwo elita tańczy” to jest zachodni format znany tam, jako „I ty możesz zatańczyć”.

Nie zdążył jednak dokończyć bo w słowo weszła mu Róża Tetori:

- Zachodni, zachodni, właśnie zachodni! A może jeszcze chiński? Nawet nie krajowy, nawet nie wschodni. To jest skandal i oligarcha, który jest właścicielem pana korporacji, czy nawet powiem stacji telewizyjnej, powinien się zastanowić, czy w ogóle z panem współpracować.

- Chce pani mnie wysiudać z miejsca? - oburzył się mały siwy w okularach. - Proszę pani do mnie nie mówi takim tonem! Wracając do pana pytania, my jesteśmy gotowi produkować formaty i je sprzedawać. Sprzedawać podkreślam bo „za dziękuję się nie pracuje”. Ale powiem więcej: te seriale mogą fundować przynajmniej częściowo też oligarchowie Pierwszego Korupcyjnego. Oni tego nie zrobią za darmo, ale może czasem warto ograniczyć zyski. Dajmy na to, mogą zafundować produkcję takiego obrazu w Afryce, ale zażądają zapewne jakichś korzyści, powiedzmy związanych z zamówieniami budżetowymi w państwa regionie. Mówię już otwarcie.

To zdanie wiele tłumaczy, jak działa PK. Konsekwencją powołania rządów wielkiego biznesu było znaczne zmniejszenie budżetu państwowego, tak aby nie było już co kraść. Zresztą wspomniano o tym już na pierwszym panelu. Oligarchowie kradli zatem z budżetów zaprzyjaźnionych krajów. I z niezaprzyjaźnionych też. Czasem robili to bezpośrednio, a czasem przez firmy służy w rajach podatkowych i dość często za zgodą miejscowych władz.

Dyskusja na temat kultury zmierzała ku końcowi. Niestety bez wniosków końcowych. Momentami rozmowa przypominała naukowe posiedzenia z czasów Związku, gdzie przedstawiciele różnych lokalnych watażków i mniejszych lub większych oligarchów z Azji i Afryki rozmawiali z reprezentantami rządzących w Stolicy i Komitecie Centralnego przedstawiając różnego rodzaju teorie i wygłaszając mniej lub bardziej ciekawe referaty. Wszystko odbywało się w duchu powszechnego lizusostwa i odpowiadało oczekiwaniom obecnego Zarządu, który przypominał dawny Komitet Centralny Partii Komunistycznej. Tutaj właściwie wyróżniała się Róża Tetori, która wciąż nie traciła nadziei na to, że uda się odbudować ZSRR w całości.



Rozdział IX, w którym poznajemy dokładniej miejscowy internet i zgłębiany media

Nie ma wątpliwości, że w PK wszystko jest kontrolowane. Będąc w Stolicy nawet nie zostawiałem laptopa w pokoju hotelowym. Miałem go zawsze przy sobie. Za dużo nasłuchiwałem się historii o tym, jak sprzęt był sprawdzany pod nieobecność „klienta”, a jeśli trzeba był niszczony, na przykład, umieszczany na krótko w kuchence mikrofalowej.

W PK każdy, kto miał pieniądze mógł kupić sobie komputer, laptopa, a biedniejszym wystarczył smartfon. Różnica w wykorzystaniu sprzętu tu i na Zachodzie pojawiała się dopiero wtedy, gdy łączyliśmy się z internetem. Ten był dokładnie kontrolowany i ograniczany. Gdy w końcu połączyłem się w swoim pokoju hotelowym i otworzyłem przeglądarkę wyświetliła się strona startowa: „Wita Państwa sieć informatyczna – informacyjna imienia Kompromisu Oligarchicznego. Cały nasz Świat u Waszych stóp. Dla Państwa bezpieczeństwa i poprawy jakości naszego serwisu każdy krok jest obserwowany i zapisywany”.

Na stronie startowej wyświetlono kilka adresów lokalnych serwisów, popularnych wśród biznesu i zwykłych mieszkańców, między innymi, Corrupt.info, Odnokoruptniki.com, 1st.info. Z zagranicy dostęp do nich był utrudniony, żeby nie powiedzieć niemożliwy. Umieją to robić tylko doświadczeni informatycy, dlatego skorzystanie z nich na miejscu, w PK, wydaje się szansą, której nie należy upuścić. I ja też z niej skorzystałem.

Serwis Corrupt.info służy wymianie usług, które na Zachodzie, Ameryce, czy w Chinach określono by mianem korupcyjnych. Na przykład, za rejestrację samochodu w jednym departamencie, czy republice składowej należało zapłacić urzędnikowi tysiąc, a w drugim 1200. Można było zapłacić pośrednikowi za usługę rejestracji w tańszym miejscu. Decyzja sądu: uniewinnienie ze skutkiem natychmiastowym kosztowało w departamencie południowy – wschód, 6 tysięcy, ale już w centralnym było o wiele droższe i trzeba było zapłacić 10 tysięcy, nie mówiąc o Republice Bursztynowej, gdzie cena sięgała 12 tysięcy. Jeżeli ktoś był biedniejszy, można było zamiast uniewinnienia kupić wyrok w zawieszeniu bądź też go skrócić. Dlatego za odpowiednią sumę sprawę można było skierować do tańszego sądu, którego kontakty można było znaleźć na stronie. Przypominało to wielki bazar, gdzie można wybrać tańszego sprzedawcę. Obok instytucji byli także pośrednicy. W sprawach sądowych byli to doświadczeni adwokaci. Państwo przymykało oko na tego rodzaju praktyki ponieważ władza centralna i tak otrzymywała odpowiednią dolę z tego rodzaju transakcji.

Na stronie ogłaszali się także właściciele więzień, którzy wynajmowali odbywających wyroki. Tu także ceny różniły się w zależności od regionu, a także od liczby wypożyczanych i ich umiejętności. Nowe placówki miały ceny promocyjne. Można było także zapłacić za przeniesienie do bliższego do rodzinnej miejscowości więzienia.

Oprócz tego Corrupt.info informuje o cenach usług w szpitalach oraz w szkołach i na uczelniach. - Prawdziwa wolność gospodarcza! - można pomyśleć. De facto: brutalny korupcyjny kapitalizm.

Serwis Odnokoruptniki.com to na pierwszy rzut oka zwykły portal społecznościowy. Szybko zakładałem sobie konto i zaczynam przeglądać profile innych. Większość jest ogólnodostępna. Ponieważ i tak służby śledzą każdy krok w internecie więc nie ma sensu zamykać się dla obcych, czy tym bardziej wpisywać fałszywych danych, ukrywać komentarzy, czy zdjęć. I tak wszystko wychodzi na jaw. Oprócz tradycyjnych informacji, jak data urodzenia, miasto zamieszkania i lista przyjaciół, można także znaleźć rozdział „powiązania”, gdzie opisano, kto, kiedy i z kim dokonał wymiany korupcyjnej i w czym może pomóc. Tam też znajduje się opcja: udostępnij / poleć. Bardzo praktyczne! Na przykład płacisz łapówkę za poród, a później chcesz polecić lekarza znajomym – właśnie do tego służy ten serwis. Sam też możesz zostać polecony. Dlatego oprócz liczby „przyjaciół”, portal wskazuje także liczbę poleceń i „korzystnych powiązań” oraz przy profilach osób wyższych rangą, jak ordynatorzy, sędziowie, urzędnicy, czy pracownicy MSW, stopień umiejętności dogadywania się w skali od 1 do 10.

Problemy w PK zaczynają się, gdy chcemy połączyć się ze światowym internetem. Dzięki miejscowym znajomościom, których oczywiście zdradzać nie będę, zdobyłem urządzenie, które

jakoby miało mi pomóc w korzystaniu z zagranicznych zasobów internetu. Wyglądało świetnie, był to łańcuszek, na którym zawieszony był krzyżyk wpisany w symbol dolara. Jego użyteczność okazała się jednak niemal zerowa, choć zapłaciłem za nie niemałe pieniądze. Przesunąłem kreseczki przekreślające dolara i urządzenie jakoby połączyło się z komputerem za pomocą jakiejś nowoczesnej technologii przypominającej znane jeszcze naszym ojcom i matkom bluetooth. Całego urządzenia nie rozmontowałoby nawet dziecko. Miało ono być niewidzialne także dla miejscowych służb. Niestety, gdy tylko wpisałem pierwszy adres strony internetowej od razu pojawił się komunikat: „Dostęp do strony został zablokowany. Możesz zwrócić się do obsługi internetu z prośbą o odczytanie zawartości strony”. Kolejna próba: e-mail. To samo, choć miałem nadzieję, że nikt nie przeszkadza w korzystaniu z tak starych technologii, jak poczta elektroniczna. Moje próby zakończyły się komunikatem: „Wykryto próbę połączenia przez serwery pośredniczące. Informacja została przekazana do oddziałów Bezpieczeństwa Publicznego”. Przyjemną ciszę panującą w pokoju w ciągu 5 minut przerwało pukanie. Wstałem, założyłem łańcuszek i schowałem krzyżyk pod koszulę, uchyliłem drzwi, choć i tak wiedziałem kogo się spodziewać.

- Kto tam? - zapytałem przez szparę w drzwiach. Musiałem udawać zaskoczenie.

- Służba Bezpieczeństwa Publicznego, proszę otworzyć.

Wykonałem polecenie. Do pokoju weszło dwóch smutnych mężczyzn ubranych, jak zwykli obywatele Pierwszego Korupcyjnego płci męskiej. Na szaro – czarno. Zdradzały ich tylko spojrzenia, którymi błyskawicznie omietli cały pokój zatrzymując się na niektórych przedmiotach. Podeszli do biurka, gdzie stał laptop.

- Z pana pokoju ktoś próbował dostać się do internetu za pomocą serwera, czy serwerów pośredniczących i urządzenia kodującego BPC/DW. Musimy to sprawdzić – powiedział jeden z nich bez pytania siadając przy biurku i podłączając do komputera niewielkie urządzenie. Na jego ekraniku pojawiły się liczby i różne napisy. Najczęściej pokazywały one wartość „0”.

- Jestem zachodnim dziennikarzem i domagam się szacunku. Chyba nie myślą państwo, że wjechałem tutaj tak po prostu – próbowałem protestować sugerując swoje znajomości.

Mężczyzna nie słuchał, a właściwie słuchał jednym uchem i potakiwał pod nosem.

- Nie tacy, jak pan opowiadają nam takie historie – burknął patrząc na ekranik, podczas gdy drugi cały czas oglądał pokój. Starał się niczego nie dotykać choć zaglądał wszędzie, nawet do niewielkiej lodówki i za zasłonę. Potem do łazienki.

- Nic nie ma. Czysto. Musiała być jakaś awaria systemu – powiedział pierwszy smutny, który kontrolował komputer.

- Bywa. Wychodzimy. Ale pan się ma na uwadze. My czuwamy i nie chcemy żadnych problemów. Pan pewnie też. One dużo kosztują – rzucił drugi smutny na odchodnym.

Rzeczywiście nie chciałem żadnych problemów. Zająłem się zatem po prostu przeglądaniem internetowych przestrzeni Pierwszego Korupcyjnego. Choć przestrzeniami trudno to było nazwać. Raczej pól. Miejscowy internet nie był zbyt rozwinięty, nie dziwi zatem, że wiele osób szukało dostępu do źródeł spoza PK.

Serwisy informacyjne były niezwykle nudne. 1st.info: na górze duży artykuł poświęcony Kongresowi. „Międzynarodowi goście, a także litościwie nami rządzący, spotkali się w Centralnej Sali Kongresowej, aby porozmawiać o doświadczeniach Pierwszego Korupcyjnego w budowie alternatywnego systemu państwowego. To już nie my uczymy się od Zachodu, a Zachód i cały świat od nas” – napisano w nagłówku artykułu. Został on urozmaicony zdjęciem witających się z oligarchami marginalnych polityków z mojego kraju, w tym Błońskiego, z podpisem: „Czołowi politycy Zachodu przybyli do Stolicy, aby chłonąć wiedzę naszych przywódców”. Obok były „Aktualne wiadomości” o tytułach składających się głównie z cytatów uczestników Kongresu. Ułożone były od najświeższych do najstarszych: „Róża Tetori: Wspólna kultura siłą naszych państw”, „Arwil Prawlen: Nie jestem już reżyserem jednego kraju”, „Lestaber Stalen: Nie będziemy okradać budżetu. Mamy lepsze źródła dochodu”, „Lorieks Arwil: Mamy znów gości z Zachodu, ale tym razem to oni uczą się od nas”, „Damir Dazdranagon: Obywatele powinni żyć lepiej”, „Andrzej Błoński: mamy dosyć prześladowań na Zachodzie”. Były to krótkie depesze informacyjno – propagandowe, napisane topornie, stylem: przyjechał, wziął udział, powiedział, zaznaczył, dodał, w

odpowiedzi na słowa naszego lidera, oligarcha zauważył. Ciężko to było czytać. W dodatku, aby dotrzeć do sedna trzeba było przebrnąć przez akapity wstępu opisujące całe tło Kongresu, miejsce gdzie się on odbywa i kto w nim uczestniczy. Wiadomości ze spotkania w Stolicy były z rzadka przeplatane innymi informacjami: „Wzrost wydobycia węgla w kopalniach wschodu”, „Oligarchowie rozważają skrócenie obowiązkowego nauczania z 4 do 3 klas”, „Z kraju nie da się uciec”.

Właściwie ciekawa była jedynie ta ostatnia wiadomość. Można się było z niej dowiedzieć, że na zachodzie PK wzmocniono ochronę granicy państwowej od strony Pierwszego Korupcyjnego ponieważ coraz częściej dochodzi do prób jej przekroczenia z dala od przejść granicznych. Cytat szefa Zjednoczonych Służb Granicznych: „Nie pozwolimy nikomu na wyjazd bez odpowiedniego pozwolenia. Jeżeli ktoś myśli, że wyrwie się stąd za darmo, to solennie się myli”. Obok było zdjęcie mężczyzny w okolicach pięćdziesiątki, z sumiastym wąsem i w mundurze z licznymi medalami. Na dole znajdowała się mapka z przejściami granicznymi oraz adresami biur, gdzie można było kupić pozwolenie na wyjazd. Ceny były tak wysokie, że wątpię, aby zwykłego człowieka nawet z Zachodu stać było na to, aby zafundować sobie taki dokument. Dodatkowo dochodziły koszty paszportu.

Blokada wyjazdów za pomocą zwiększenia wydatków na dokumenty nie jest niczym nowym. Jeszcze w czasach drugiej rewolucji mas władze obiecywały obniżenie opłat za wydanie paszportu. Nawet jeśli cena samego dokumentu rzeczywiście spadła, to wciąż pojawiała się konieczność przedstawiania nowych dokumentów, które były potrzebne do otrzymania paszportu. Za każdy trzeba było zapłacić odpowiednią sumę. Na każdy trzeba było czekać, a jeśli nie chciało się czekać, należało zapłacić łapówkę. Potrzebne były zaświadczenia z miejsca pracy, ze szkoły i ze szpitala. Potrzebne było zaświadczenie o niekaralności. Potrzebne były też zaświadczenia o tym, że danej osobie zaświadczenie w konkretnej sprawie nie jest potrzebne. Na przykład dzieci do lat 15. musiały zapewniać, że nie potrzebują zaświadczenia o tym, że nie mają chorób wenerycznych. Sytuacja była tak absurda, że zarówno obywatele, jak i rządzący zdawali sprawę, że tak dłużej być nie może. Po przejęciu władzy przez oligarchów postanowiono ten problem rozwiązać za pomocą znacznego podwyższenia opłaty za paszport i wprowadzenia dodatkowej jednej opłaty nazwanej „mytem wyjazdowym”. Nie wszyscy urzędnicy byli z tego zadowoleni ponieważ zostali pozbawieni dochodów z łapówek za różnego rodzaju zaświadczenia. Sytuacja została jednak szybko wyjaśniona przez służby porządkowe oligarchów. Doszło do dotąd nie wyjaśnionych zniknięć i pobic kilku urzędników średniego szczebla z centrali i kilkunastu w regionach, którzy nadal próbowali brać nielegalne łapówki. Po uporządkowaniu sytuacji poszczególne departamenty zaczęły konkurować ze sobą, za ile można takie zezwolenie na wyjazd otrzymać. Sam druk paszportów został przekazany w ręce prywatnych firm. Tutaj szybko doszło do porozumienia oligarchów i ceny za dokument w całym kraju były takie same. Tak samo wysokie. Wyjazd z PK stał się dla przeciętnego obywatela niemal niemożliwy. Niektóre rodziny, a czasem nawet wsie i dzielnice składały się na dokumenty podróży, aby umożliwić choć pojedynczym osobom ze swojego najbliższego otoczenia emigrację. Dochodziło do pojedynczych przypadków desperackich prób przedarcia się przez granicę, które często kończyły się zastrzeleniem delikwenta. Wszystkie zostały odpowiednio nagłośnione w miejscowych mediach, aby odstraszyć potencjalnych naśladowców.

Zniknął też przemysł uchodźców z Afryki i Azji na Zachód i na Wschód. Oczywiście poza tym kontrolowanym przez władze, które zajmowały się też handlem żywym towarem i przrzucaniem poza własne granice wyjątkowo groźnych przestępców, którzy nie chcieli się podporządkować władzom w Stolicy.

Wracając do zwykłych mieszkańców, to sytuacja gospodarcza w Pierwszym Korupcyjnym w ostatnich latach pogorszyła się na tyle, że wielu z mieszkańców PK odkopuje swoje kontakty sprzed 2020 roku, kiedy masowo pracowali na Zachodzie. Krótkie polepszenie sytuacji gospodarczej we własnym państwie po rewolucji oligarchicznej, kiedy napłynęły inwestycje z Chin i ówczesnej Federacji Rosyjskiej, spowodowało falę powrotów. Później zanotowano w gospodarce znaczne spadki ponieważ miejscowy biznes nie chciał już konkurencji i zaczął z nią walczyć

wszelkimi sposobami: Chińczycy uciekli przestraszeni tym, czym dla nich było bezhołowie, a Rosjanie mieli własne problemy polityczno – gospodarcze, które zakończyły się powołaniem Konfederacji EuroAzji.

Oligarchowie dobrze pamiętali, co działo się w drugim dziesięcioleciu XXI wieku, gdy masowe wyjazdy na Zachód spowodowały, że sami nie mieli rąk do pracy we własnym państwie, a częste wizyty u sąsiadów spowodowały wzrost oczekiwań mieszkańców co do własnych władz. A ten kraj rewolucji miał -ich zdaniem- już dosyć.

Próbowałem czytać też coś o Zachodzie, ale informacji w lokalnych serwisach było bardzo mało, a jeśli były, to były tendencyjnie negatywne. Spróbowałem wejść na zachodni portal. Żądanie zostało odrzucone. Tym razem się zламаłem i posłuchałem komunikatu: „Dostęp do strony został zablokowany. Możesz zwrócić się do obsługi internetu z prośbą o odczytanie zawartości serwisu”. „Zwrócić się do obsługi internetu” było podkreślone na niebiesko. Kliknąłem. Trzeba było wypełnić krótki formularz, gdzie musiałem podać swoje dane osobowe: imię, nazwisko, datę urodzenia, serię i numer paszportu, a także adres zameldowania. Wypełniłem wszystkie rubryki. Pojawił się komunikat: „Proszę czekać”, po chwili kolejny: „Proszę odświeżyć stronę za pół godziny”. Wcisnąłem OK. W prawym dolnym rogu można było obserwować stoper, który pokazywał, ile czasu pozostało do możliwości zajrzenia na stronę.

Włączyłem telewizor. To medium było już wielokrotnie chowane do grobu, a wciąż według orientacyjnych danych około 2/3 mieszkańców PK nie szukało informacji samemu, a po prostu oglądało to, co aktualnie pokazują w telewizji. Ponieważ w Pierwszym Korupcyjnym miała ona charakter propagandowo - rozrywkowy, to jej śledzenie dawało nam podwójną korzyść: dowiadujemy się, jak rządzący chcą widzieć swój kraj i jego mieszkańców, a także jak myśli zapewne duża część obywateli.

Akurat zbliżał się czas wieczornych wiadomości. Początek „Pierwszych Informacji”, bo tak nazywał się program, pokazywał dymiące kominy, bloki, oligarchów pozdrawiających ludność, machających rękami i oglądających kłosa pszenicy i wielkie piece martenowskie. Spikerka w niewielkim, ale dość nowoczesnym studiu, zapowiedziała to, co będzie można obejrzeć w jej programie. Skrót wiadomości: Kongres; wzrost produkcji przemysłowej; inwestycje na Zachodzie, między innymi, dzięki pomocy spółek w rajach podatkowych; otwarcie nowych zakładów; materiał o przewadze pieców martenowskich nad nowymi technologiami, a także – ku mojemu zaskoczeniu – reportaż o ochronie granic i o tym, jak trudno jest wyjechać z kraju. Jak widać jest to dla miejscowych władz duży problem, jeżeli wszystkie media o tym mówią. Materiał z Kongresu składał się z wypowiedzi oligarchów, a także -jak podkreślono kilkakrotnie- gości, którzy przyjechali z zagranicy. Zobaczyłem siebie, chyba jako reprezentanta zachodnich mediów, Błońskiego, a nawet profesora Pstriksa oraz egzotycznych przybyszów z państw Azji i Afryki. Wszyscy występujący w wiadomościach delegaci wychwalali życie w Pierwszym Korupcyjnym i zapewniali, że są zainteresowani doświadczeniami tego kraju w legalizacji i uporządkowaniu łapówkarstwa i w pełnej jego integracji z systemem państwowym. “O ile w poprzednich latach korupcja miała charakter systemowy i stanowiła ważny, ale jednak tylko element ustroju, o tyle teraz stała się jego podstawą, osnową, która nie tylko pozwala na jego funkcjonowanie, ale też determinuje stosunki gospodarcze i społeczne” – mówił w materiale o Kongresie socjolog ze Światowego Instytutu Globalizacji Korupcji z jednej z zachodnich stolic. Nie miałem pojęcia, kim był ten mężczyzna, choć był przedstawiony z imienia i nazwiska. Dopiero później, będąc już w Warszawie, sprawdziłem: był to przedstawiciel jednej z tych placówek, które powołują oligarchowie na Zachodzie i w Chinach, aby móc pokazywać ich pracowników w swojej miejscowej telewizji i przekonywać mieszkańców własnego kraju, że żyją w państwie dobrobytu, którego kroki są dokładnie śledzone poza jego granicami, a w dodatku są pozytywnie oceniane. Tego typu instytuty miały także na celu „wrzucanie” odpowiednich tematów do zachodniego dyskursu politycznego. Miały w ten sposób przekonywać mieszkańców Zachodu, że nie żyją w najlepszym z możliwych systemów i że na Wschodzie, czy to w PK, czy to w Konfederacji EuroAzji, stworzono o wiele lepszą maszynę państwową, która powinna zostać uruchomiona także u nich. To ostatnie zadanie było trudniejsze bowiem opłacani hojnie przez oligarchów

pseudoeksperci rzadko byli dopuszczani do debaty w zachodnich mediach. Nie mówiąc już o chińskich, gdzie działała cenzura.

Wypowiedzi oligarchów w “Pierwszych Informacjach” były o wiele dłuższe od tej dyżurnego socjologa. Zmierzyłem je stoperem w telefonie. Kto dostaje więcej czasu, ten ma bowiem też przewagę polityczną. Lorieks Arwil, czyli Prezes Rady Nadzorczej Państwa, mówił dokładnie 5 minut i 30 sekund. Jego koledzy z Rady Nadzorczej mówili już krócej, choć im też dano co najmniej 3 minuty na wyłuszczenie swoich racji. “W Kongresie nie uczestniczyli przedstawiciele opozycji. Zbojkotowali wydarzenie. Większość z nich spędza teraz wakacje w zachodnich i chińskich kurortach za pieniądze tamtejszych rządów i nie ma zamiaru wracać, aby uczestniczyć w ważnych wydarzeniach państwowych. Pokazuje to doskonale, ile znaczy i jak mało warte jest dla nich własne państwo. Kto tak naprawdę je buduje? Oni, czy oligarchowie?” – konstatowała spikerka na tle zdjęć z plaż z palmami. Ostatnie słowo „oligarchowie” można było usłyszeć równocześnie ze zdjęciem czołowych rządzących państwem, którzy naradzają się przy ciężkim dębowym stole. Tak naprawdę, opozycji wcale na Kongres nie zaproszono, a jej członkowie raczej biedują w europejskich stolicach, czy pracują dzień i noc w chińskich fabrykach niż leżą na plaży. Z kolei wieczorami i po nocach zajmują się walką w wirtualnym świecie z panującym w Stolicy reżimem.

Później następowała część gospodarcza wiadomości. Damir Dazdranagon chwalił się w jednym z materiałów, że wygrał przetarg w Afryce Południowej na dostarczenie sprzętu górniczego, który zakupił wcześniej w Afryce Północnej. “Dzięki pośrednictwu, nasz oligarcha zarobił dwukrotnie więcej niż sprzedawca sprzętu” - podkreślała spikerka. “Oczywiście musiałem oddać dość znaczny procent władzom Afryki Południowej, ale tak się robi interesy. Dzięki temu zarobiłem ja i moi afrykańscy koledzy. Końcowym beneficjentem jest także miejscowa ludność, która będzie miała nowy sprzęt, z którego będzie mogła korzystać pracując na korzyść swojego państwa” - opowiadał Damir Dazdranagon na tle wysokiego budynku Ministerstwa Energii. Materiał był potwierdzeniem tego, że oligarchowie nadal zarabiali na zamówieniach publicznych tyle że nie we własnym państwie, gdzie wszystko już było sprywatyzowane, a budżet był minimalny, a za granicą, w krajach gdzie dotąd korupcja nie była oficjalnym ustrojem, a jedynie elementem systemu. Paradoksalnie oznaczało to, że zmiana tamtejszych systemów w totalną kleptokrację była sprzeczna z ich interesem, choć niejednokrotnie zachęcali do tego podczas Kongresu, przynajmniej przemawiając oficjalnie. To wydarzenie miało chyba jednak na celu przede wszystkim wzajemne zapoznanie się łapówkarzy z całego świata, którzy są gotowi wykorzystać zdobytą tu wiedzę do rabunku własnego kraju.

Później pokazano materiał o przejściach granicznych. Był to właściwie ten sam przekaz, co w internecie. Nawet była ta sama wypowiedź szefa Służby Celnej i Granicznej. Widocznie dziennikarze dostali to samo zamówienie i wytyczne.

Wiadomości zbliżały się ku końcowi, spojrzałem na komputer. „Gotowe! Zapraszamy do odczytu zamówionego serwisu” - głosił komunikat na ekranie. Zajrzałem na stronę znanego zachodniego serwisu informacyjnego, którego chęć przeczytania zgłosiłem wcześniej. Większość tytułów była zakryta czerwonymi „taśmami” z napisami: „Materiał nie do odczytu”. Zostały tylko te, które nie miały żadnego odcienia politycznego, czy ekonomicznego. „W środku lata zakwitły pierwiosnki”, „We wsi na południu pojawił się pies z dwoma głowami”, „Chciała schudnąć 20 kilogramów, schudła 80”. Choć nie, dopiero po pewnym czasie zobaczyłem, że było trochę materiałów opisujących negatywne zdarzenia: „Spadek produkcji słonecznika”, „Fabryka ProTex znów strajkuje”, „Przerwy w dostawach energii sparaliżowały północ”, „Chrześcijanie znów żądają większych praw. Czy Biblia zastąpi Koran w szkołach?”. Wszystko to miało przekonać mieszkańców Pierwszego Korupcyjnego, że u nich jest dobrze, a na Zachodzie i w Chinach źle.

- Te media nigdy nie były obiektywne. Zresztą podobnie, jak wszystkie chińskie, czy zachodnie. Za każdym medium ktoś stoi – przekonuje mnie jedna z najbliższych współpracownic Róży Tetori Awrora Butina. - My po prostu przedstawiamy swoją wersję wydarzeń, chyba mamy do tego prawo! Tak samo, jak mamy prawo ograniczyć wolność innych, gdy jest ona zagrożeniem dla

naszego kraju! - zapewnia 30-letnia asystentka, która kończyła dziennikarstwo w Paryżu i Pekinie, a mi udało się z nią porozmawiać w czasie Kongresu.

- Ale ludzie nie mają dostępu do innego punktu widzenia od waszego – sugeruję.

- A po co? Nasz punkt widzenia jest prawdziwy, oni żyją w tym państwie, a nie tam więc po co mają wiedzieć, co uważa ich sąsiad?

- Ale tu nawet nie chodzi o to, co uważa sąsiad, a o to że w telewizji, internecie, zapewne też w radiu jest jedna linia.

- Ponieważ nasi oligarchowie mają jedną linię i nie potrzeba większej liczby. Kiedyś, gdy była demokracja, zwana też przez moich krajan „gównokracją”, była większa liczba punktów widzenia. Czy to wyszło na dobre? Nie. Po co powtarzać błędy przeszłości.

- Pani przez lata mieszkała w Paryżu, korzystała pani z tamtejszej wolności, a teraz to, co pani tu robi bardziej przypomina Chiny niż Republique d’Ile de France et Centre.

- Tak, bo mi się bardziej w Chinach podoba. Ten wielki wybór wszystkiego, w tym też informacji, nie wychodzi wam na dobre. Sama to widziałam na własne oczy.

- Pani jako przedstawicielka władz ma dostęp do zachodnich mediów?

- Tak, ale ja umiem to ocenić i wiem, co jest prawdą, a co nie. Moim zadaniem jest ochrona moich współobywateli, którzy nie są w stanie tego zrobić.

Tyle rozmowy z 30-latką, która zobaczyła, jak wygląda bogaty świat. Europa, czy ogólnie Zachód, imponują tylko swoim bogactwem, dobrą organizacją pracy, czy produkcji. Kwestie wartości takich, jak wolność słowa, czy zgromadzeń, są na drugim planie. Dla niej, podobnie, jak dla większości rządzących w PK, Europa jest dobrym miejscem, aby kształcić tam dzieci i trzymać majątek (choćby częściowo), ale na pewno u siebie nie chcieliby takiej równości obywateli, jak na Zachodzie. Wtedy ich majątki szybko by zniknęły, wyparowały, a oni sami zapewne trafiliby do więzień.



Rozdział X, w którym okazuje się, że PK wcale nie działa tak perfekcyjnie, jak się wydaje

Wieczorny bal mający być zwieńczeniem Kongresu odbywał się w jednej z sal hotelu, która nosiła nazwę „Tropicana”. Nadała ona charakter wydarzeniu. Przed drzwiami stały kobiety ubrane w stylu karnawałowo - brazylijskim, które podawały long drinki z parasolkami. Przed wejściem było kilka reklam rajów podatkowych i zakładów należących do oligarchów. O ile w przypadku tych pierwszych, reklama wydawała się uzasadniona, o tyle w wypadku tych drugich sprawiała dość absurdałne wrażenie, szczególnie w wymiarze wewnętrznym. Wielki biznes podzielił się sferami produkcji i w zasadzie konkurencji nie było. Jeżeli ktoś produkował na przykład kremy do rąk, inny oligarcha tego nie robił. Podobnie było z ciastkami, ciągnikami, maszynami i niemal wszystkim innym. Przypominało to organizację rynku, a zatem też sensowność reklamy, za czasów komunizmu. O inwestycjach zagranicznych w PK nie było mowy. Za bardzo miejscowy biznes dbał o to żeby żaden obcy nie wchodził tutaj ze swoimi pieniędzmi i zabierał kawałek tortu. Raczej chodziło o to żeby sprzedać miejscową produkcję za granicę.

Ponieważ gości w sali było jeszcze niewielu, wyszedłem przed hotel, aby przewietrzyć się i przy okazji popatrzeć, jak przyjeżdżają jego uczestnicy. W balu brali udział nie tylko delegaci Kongresu, ale też miejscowa „elita”. Jej przedstawiciele podjeżdżali limuzynami, część z nich to były najnowsze modele eleganckich zachodnich i chińskich wozów, a część to importowany second hand, kilkadziesiąt razy remontowany, choć sprawiający wrażenie wyjątkowo drogiego, eleganckiego i oczywiście tuningowanego. W tym drugim segmencie popularnością cieszyły się różnego rodzaju podświetlenia zamontowane pod podwoziem i wykonane z jarzeniówek: zielonych, fioletowych i oczywiście czerwonych. W wersjach lux oświetlenie zmieniało kolory w zależności od prędkości pojazdu bądź też rytmu muzyki słuchanej przez pasażerów. I ci którzy jeździli tańszymi i droższymi wozami mieli najczęściej specjalne rejestracje. Na początku był numer regionu, a potem różnego rodzaju wymyślone nazwy, większość zapisywana alfabetem łacińskim i po angielsku: Rich, Gold, Million, Billion (to chyba ktoś kto ma większy majątek od poprzedniego), 10% (tu zapewne chodziło o wysokość procentu od transakcji, choć auto wskazywało, że jego właściciel bierze o wiele więcej), Bingo – Bongo. Między nimi pojawiały się auta należące zapewne do kochanek: Blondie, Hani, Blakk Panther, Dipfroat. Każda z dam musiała mieć nie kończące się wysokie obcasy, dalej wyjątkowo długie nogi, a potem spódnicę ze złotymi i srebrnymi cekinami, której długość była odwrotnie proporcjonalna do wysokości obcasów oraz usta i piersi pełne silikonu. Zasadą było to, że sukienka, czy spódnica miała zasłaniać, jak najmniej.

Jeśli chodzi o mężczyzn, to ci którzy wysiadali z aut byli w wieku 60+. Najczęściej mieli dodatek w postaci wspomnianych wyżej kobiet ubranych bez gustu i na bogato, które przyjeżdżały z nimi bądź też własnymi samochodami i od razu po wyjściu z nich dołączały do swoich sponsorów nazywanych zdrobniale „tatuškami”.

Między nimi kręciła się znana z jednej z telewizji pani w kapelusiku z kamerzystą, która starała się wyrwać któregoś z gości „choćby na chwilkę”, żeby wypowiedział się do jej programu.

- Panie Władlenie Barrikad, proszę nie uciekać – kamera starała się uchwycić przedsiębiorcę od góry, a pani z kapelusikiem wyskakiwała to z prawej, to z lewej jego strony, aby zdobyć choć krótką wypowiedź. - Chciałam panu zadać jedno pytanie.

W końcu dziewczynie udało się zatrzymać biznesmena.

- Dzięki ogromnym dochodom korupcyjnym, w tym przede wszystkim zamówieniom publicznym w naszym kraju, a później udziałowi w międzynarodowych interesach kapitałowych – mówiła dziennikarka, która jak od razu można było poznać, była świetnie przygotowana do tej rozmowy - udało się panu zebrać nie byle jaką fortunę. Zainwestował pan w sport, zbudował pan w swoim mieście na wschodzie ogromny stadion, finansuje pan tamtejszą drużynę, rozdaje pan raz na tydzień po kilogramie jabłek każdemu z mieszkańców. Mimo to nie jest pan w wyższej lidze oligarchów, nie wchodzi pan do zarządu naszego państwa. Co zamierza pan z tym robić? - to pytanie zastało Władlena Barrikada wciśniętego między moją skromną osobą a drzwi wejściowe do hotelu. Ucieczki nie było. Z przodu stała pani z kapelusikiem z mikrofonem i pracującą kamerą. Oligarcha nie kręcił oczkami, a utkwiał swoje spojrzenie w moich plecach.

- Eee... Jest jeszcze za wcześnie, aby o czymś mówić, rzeczywiście staram się inwestować w swój region... – biznesmen niemiłosiernie wydłużał końcówki, dzięki czemu miał czas, aby zastanowić się, co powiedzieć dalej - ale to nie znaczy, że mam jakieś plany.

- Oczywiście, ma pan rację, jednak pozwolę sobie się z tym nie zgodzić. Od kilku dni organizuje pan u siebie demonstracje ludu pracującego miast, miasteczek i wsi pod hasłem „Więcej dla nas, mniej dla nich”.

- To nie ja organizuję te demonstracje o których pani wspomniała, tylko organizują młodzi ludzie u nas, którzy chcą pewnych zmian. To są i pracownicy zakładów i studenci i nauczyciele. To że są to moje zakłady, czy sponsorowane przeze mnie instytucje, to czysty przypadek. Ja nie mogę mówić im, co mają robić – tutaj chwilę się zawahał, zrobił pauzę i dodał - choć powiem tak: pewne zmiany są potrzebne i oczywiście częściowo popieram ich postulaty. Ludzie ze Stolicy muszą nas usłyszeć. A teraz dziękuję bardzo, bo muszę już iść na bal.

Poczułem uderzenie łokciem i lekkie popchnięcie. Barrikad przedarł się dzięki temu do środka, zniknął za drzwiami, a przed nimi i przede mną została początkowo zdezorientowana dziennikarka. Natychmiast jednak uśmiechnęła się i rzuciła do kamerzysty:

- Mamy, co trzeba, ale pracujemy dalej.

Wróciłem do hotelu. Przypomniałem sobie, że trzeba jeszcze przejść dokładną kontrolę bezpieczeństwa. Do sali wchodzili nie tylko biznesmeni, ale też przedpołudniowe hostessy, które teraz przeżyły metamorfozę starając się ubrać dość wyzywająco, a przy tym zachowujące się wyjątkowo skromnie. Wyraźnie widać było tutaj brak harmonii między strojem a charakterem. Po cichu liczyły, że ten wieczór stanie się dla nich przełomowy i już nigdy nie będą musiały stać przy drzwiach i kierować gości do sali A, czy B i odpowiadać na pytanie, gdzie jest toaleta. Inne kobiety patrzyły na nie z góry, szczególnie te wysokie i na obcasach, w długich sukniach z rozcięciem aż do początku pleców albo krótkich spódniczkach, z dużą ilością złota, cekinów, botoksu i silikonu, opierające się na ramionach swoich tłustych i bogatych mężczyzn. Gdzieś w głębi duszy (jeśli taką miały) bojąc się przy tym, że ich pan może wymienić je na nowszy model. Panowie tymczasem sunęli do przodu, rzucając oczami i patrząc na prawo i na lewo na nowe „świeże mięso”, które pojawia się na sali. Uśmiechali się przy tym dając wyraźnie do zrozumienia swoim partnerkom, że ich rola nie jest dożywotnia i w każdym momencie słodkie życie może się zakończyć.

Na tym tle wyróżniali się samotni mężczyźni. W przeciwieństwie do tych, którzy wolno szli przez salę ze swoimi kobietami, ci nie byli tłuści i spoceni i nie wycierali cały czas potu ze swoich czoł. Ci którzy przyszli sami byli wysportowani, mieli dobrze skrojone garnitury i byli pozbawieni obwisłych brzuchów, które szłyby przed nimi jak pies przewodnik. Na prawo i na lewo rozdawali uśmiechy i spojrzenia. I byli młodszy. Może za kilka, kilkanaście lat będą wyglądali jak ci, którzy wybrali się na bal z partnerkami. Być może byli to ci sami ludzie, którzy patrząc na siebie widzieli swoją przeszłość bądź przyszłość. Taka fuzja czasowa. Ci młodzi byli przy tym pewni, że ich życie się nigdy radykalnie nie zmieni, że zawsze będą zdrowi i bogaci, a jedyne co się może zmienić to rodzaj zegarka, ubrania i samochodu. A także oczywiście partnerka u ich boku. Stąd też kobieca niepewność i chęć zaznaczenia swojej obecności. Ci starsi wiedzieli, że może też się zmienić ich passa i ci, którzy są nad nimi w korupcyjnej piramidzie mogą uznać, że są oni zbędni i muszą zniknąć. Jak pokazywała niedawna historia PK, takie przypadki zdarzały się dość często dlatego z życia trzeba było korzystać tu i teraz. Sala zamieniała się w targ, gdzie każdy jest towarem. Nawet mężczyźni, którzy wydawali się być kupcami byli tak naprawdę towarem, który miał być kupiony przez młode dziewczęta za pomocą ich wdzięków. Oni z kolei mieli pieniądze, za które mogli kupić wydawało się każdą kobietę.

Do sali zawitali także goście zagraniczni. Ci akurat wyróżniali się tym, że wyglądali dokładnie tak samo, jak w dzień, w czasie Kongresu, tyle że swoje teczki z laptopami i dokumentami zostawili w pokojach hotelowych.

Wziąłem sobie wysoką szklankę z plastikową parasolką i spróbowałem kolorową zawartość. Smak cieczy był zbliżony do płynu do mycia naczyń. Nawet alkoholu było tam wyjątkowo mało. Przyjezdni z Zachodu wymieniali się uwagami:

- Straszny syf, pić się tego nie da. Coś gorszego niż wódka Połówka – mówił jeden z nich.

- Wiadomo każdy chce zarobić więcej dla siebie. Mniej alko, więcej zostaje ci w kieszeni, no nie? - tłumaczył ze znużeniem inny.

- A może to obsługa? Tu jest takie państwo, co się da ukraść, to kradną – dodawał trzeci.

- Ale nie tam, gdzie jest własność prywatna, a teraz taka jest wszędzie. Dlatego właśnie ograniczyli państwową do minimum, żeby nie było co kraść – zauważył pierwszy z narzekających.

- Nikt nie chce wylecieć z pracy, czy trafić na przymusowe roboty. Lepiej już nalewać uczciwie drinki.

Sala zrobiła się pełna, mało kto już wchodził, a gospodarze balu wyraźnie się spóźniali. Goście rozglądali się za czymś do jedzenia i czymś lepszym do picia. Byli jednak tacy, którzy nie tracili czasu. Stojący przy stoliku z kawą i ciastkiem profesor Pstrix tłumaczył komuś, też prawdopodobnie naukowcowi, historyczne tło powstania Pierwszego Korupcyjnego:

- Oni tu wracają do tradycji europejskiej, w Rosji i na Rusi też lud karmił urzędników. Nosił im kury, jajka, sól, mięso, skóry, a potem pieniądze.

- Oczywiście kolego, zgadzam się z panem. I mi się ta ich Europa, którą tutaj tworzą na swój ład, bardziej podoba.

- Jakby taka czystsza, prawda? - powiedział profesor Pstrix do swojego interlokutora patrząc gdzieś w dal z rozmarzeniem.

- Tak, właśnie tak – dopiero teraz zauważyłem koloratkę pod jego szarym garniturem. - Nie ma tu tego gejostwa, tych parad homoseksualistów. Jest czystość. Naiwność tych ludzi. Prostota potrzeb, oni tylko chcą zjeść, pospać i popracować.

- Szkoda, że mało kto u nas to rozumie...

Zastanawiałem się, jak w naukę kościoła wpisują się nierówności społeczne, wykorzystywanie spauperyzowanego społeczeństwa, masowe aborcje zastępujące drogą antykoncepcję, sponsoring i inne tego typu patologie. Szedłem dalej po sali, starając się podsłuchać o czym mówią ludzie, jednak rozmowy toczyły się bardzo cicho. W rogu sali stał Władlen Barrikad. Tłumaczył coś kilku lepiej ubranym gościom, jednak w momencie gdy mnie zobaczył, jeszcze bardziej ściszył głos kojarząc mnie z natarczywą dziennikarką przed hotelem.

Na sali było coraz bardziej gorąco i wiele osób miało już dość oczekiwania na oficjalne rozpoczęcie balu. Robiła się prawdziwa tropikalna „Tropicana”.

W pewnym momencie zapadła cisza i przez salę przemknęli ochroniarze, a potem przeszła piątka zarządzająca państwem. Pierwszy szedł prezes Lorieks Arwil, a za nim oligarchowie Lestaber Stalen, Lenrud Lagszmiwara, Damir Dazdranagon i Rubin Lengenmir. Wszyscy elegancko ubrani, we fraki i muszki, szli zdecydowanym krokiem. Choć wydawało się, że jest to zdecydowanie połączone z irytacją i zmartwieniem. Może sobie sam to zasugerowałem wiedząc, że coś się dzieje i że Pierwsze Korupcyjne po kilku latach z pozoru spokojnego istnienia zaczyna się sypać. Nie było bowiem tajemnicą wśród dziennikarzy i ekspertów, że w PK narastał bunt regionów, które nie chciały już płacić Stolicy. Miejscowi oligarchowie, lokalni magnaci, zaczęli wmawiać ludziom, że gdy będą niezależni od Stolicy, to będą więcej zarabiać, że pieniądze zostaną w regionie i ludzie chętnie w to wierzyli. Miejscowi organizowali z inspiracji watażków demonstracje. Najbardziej aktywny był wschód i Zagłębie i właśnie jego przywódca Władlen Barrikad był o to pytany przez dziennikarkę przed wejściem do hotelu.

O tych wydarzeniach informowano na całym świecie, oprócz samego najbardziej zainteresowanego tym faktem, państwa. Przed wyjściem na wieczorny bankiet oglądałem różne kanały telewizyjne i na każdym był albo serial, albo koncert, a na kanale z informacjami wiadomości o tegorocznych zbiorach. Pojawił się tylko jeden ciekawy news:

“W lesie pod stolicą znaleziono ciało Weora Jaslenika, byłego doradcy Władlena Barrikada. Mężczyzna został złapany kilka miesięcy temu na jednym z chińskich lotnisk z ponad 30 milionami dolarów w walizce i oddany w ręce organów ścigania naszego państwa. Po zapłaceniu oficjalnej łapówki w wysokości 3 milionów dolarów został wypuszczony z aresztu” – telewizja pokazywała opuszczony dom z zamurowanymi oknami. Później kamera pokazała zbliżenie ciała Weora Jaslenika. Mężczyzna miał zakrwawione ręce. Prawie nie miał paznokci. Prawdopodobnie został zamurowany żywcem w budynku, a wcześniej był torturowany. Spiker czytał spokojnym tonem:

“W oficjalnym piśmie skierowanym do Władlena BARRIKADA, Lorieks Arwil wyraził współczucie z powodu śmierci asystenta. Przypomniał też, że obowiązująca w naszym państwie umowa społeczna nakazuje uczciwy podział zyskami i nie dopuszcza wywozu pieniędzy za granicę. „Nie damy okradać siebie i swojego ludu” - czytamy w piśmie”.

Wróćmy do tego, co się dzieje w „Tropikanie”.

- Witam państwa – głos zabrał Lorieks Arwil rozszerzając ręce w geście powitania, jakby chciał wszystkich przygarnąć. - Dziś nie ma powodów do zmartwień – zaczął swoje wystąpienie, a ja od razu pomyślałem, że jeżeli prezes tak zaczyna, to oznacza, że powody do zmartwień są. - Nasz Kongres pokazał, że jesteśmy ważnym partnerem dla świata. Że świat chce wiedzieć, jak można żyć według prostych i uczciwych praw i zasad. Choć są tacy, którzy twierdzą, że to niemożliwe. Są też tacy, którzy nie chcą ich zaakceptować nawet w naszym państwie – tutaj oczy Arwila przebiegły po sali, jakby w poszukiwaniu ewentualnych buntowników. - Ale my im tłumaczymy, że tylko jeden sposób budowy państwa jest możliwy, aby wszyscy w nim byli szczęśliwi. Żeby i wilk był syty i owca cała. Dziś wieczorem jednak nie będziemy o tym rozmawiać, a ja państwa trzymać nie będę swoimi przemowami bo nie po to się tu spotkaliśmy. Mamy się bawić, a zatem uznaję bal za rozpoczęty!

Z głośników rozległa się muzyka. Był to walc. Na salę weszła grupa młodych ludzi, zapewne profesjonalnych tancerzy, którzy byli ubrani w stroje z Rosyjskiego Imperium z XIX wieku, mężczyźni w wojskowe mundury galowe kadetów, kobiety w długie suknie. Wyglądały na dość tanie, jakby wypożyczone z prowincjonalnego teatru. Rozbłyły wszystkie żyrandole. Tancerze, choć sprawiali wrażenie zmęczonych, dawali z siebie wszystko, kręcili się po sali, a zgromadzony tłum delegatów patrzył na ich wysiłki. W pewnym momencie na chwilę zrobiło się ciemno, po czym znów zapalono wszystkie światła. Dołączyły do nich także reflektory – pomarańczowe, żółte i czerwone. Z głośników popłynęła dynamiczna salsa. Występujący zrzucili z siebie marynarki, a kobiety suknie. Oni mieli wyszyte cekinami kamizelki założone na gołe ciało, one skąpe spódniczki także z cekinami.

- Wreszcie coś ciekawego – śmiejąc się pod nosem powiedział do swojej młodocianej partnerki jeden z „tatuśków” i zaczął grzebać w wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął portfel, a z niego zmięty banknot. - Pokaż więcej – krzyknął do wyginającej się koło niego tancerki starając się wcisnąć pieniądze za spódnicę bądź biustonosz. Ta jednak poruszała się tak szybko, że było to niemal niemożliwe. Dziewczyna mimo to jakimś cudem umiejętnie chwyciła pieniądze zębami, a jej partner zręcznie przechwycił banknot i włożył go do tylnej kieszeni spodni. - Ej kurwa nie ty – krzyknął gruby, ale tancerz machnął ręką, aby tamten się uspokoił i dał do zrozumienia, że przekaże koleżance jej dolę. Tancerka zrzuciła spódniczkę i dalej tańczyła kręcąc pupą koło swojego chwilowego sponsora. Ze zdziwieniem zauważyłem, że do podobnych scen dochodzi właściwie na całej sali. Atmosfera gęstniała, coraz częściej można było usłyszeć jeszcze głośniejsze okrzyki zachęcające do odsłonięcia ciała. Tancerze powoli się odsłaniali, ale nadszedł ten moment, w którym nie mieli już czego z siebie zdejmować, aby nie naruszyć pewnych -obowiązujących nawet w PK- norm moralnych. Zaczęli zatem opuszczać salę mimo że żegnał ich gąszcz banknotów i perspektywa ogromnych dodatkowych zarobków. A na scenę wszedł wodzirej, który postukał palcem w mikrofon i zapewnił na tle rozpoczynającego się kawałka disco:

- Oni jeszcze wrócą! Tancerki i oczywiście tancerze – tutaj miał miejsce krótki sztuczny śmiech. Na sali można było usłyszeć pojedyncze gwizdy. - Proszę państwa, spokojnie, spokojnie, zobaczymy dziś jeszcze więcej. A jutro rano pewnie jeszcze więcej! - jego szerokie rękawy i rozszerzane u dołu spodnie, a także zamaszysty wąs sprawiały, że przypominał postać z poprzedniego wieku. I jego wiśniowa marynarka była oczywiście ozdobiona cekinami, nawiązywał w ten sposób do modnych obecnie lat ‘70. Światło skierowane na scenę sprawiało, że wodzirej był jeszcze bardziej czerwony i barwy jego garnituru powodowały wręcz ból oczu. - Teraz bawmy się bo oto gra dla państwa zespół ComeA\$\$! - zawył wodzirej, a na scenie rozbłył wyświetlony na ekranie napis z nazwą grupy składającej się z długonogich blondynki, brunetki i rudej. Wyglądały, jak przybyszki z silikonowej planety. Każda miała poprawione przez chirurgów usta i piersi. Krótkie spódniczki, długie dekolty i wyzywające spojrzenia. Przed nimi pojawił się wysoki brunet z

włosami podniesionymi na żel, rozpiętą niebieską koszulą włożoną w niebieskie džinsy, spod której wylaniały się kłęby czarnych włosów. - Hej, wita wszystkich grupa kamaz – właśnie w ten sposób wymówił nazwę swojego zespołu pod coraz głośniejsze uderzenia dyskotekowego beatu. - Wiem, że są goście z zagranicy więc mówię im – w tym momencie zajął na wewnętrzną stronę dłoni – łelkom, wilkomen, gededag, marhaba! I nasz pierwszy utwór: Łan, tu, fri, dajesz ty! - powiedział odwracając się tyłem do tłumu. Zaległa cisza. Na sali zrobiło się ciemno.

- Pokaż pizdę! - dało się słyszeć gdzieś z publiczności.

- Lengen, zamilcz – uspokajała partnera partnerka.

- Czego chcesz, kurwa się przykleiła. Nie jestem pijany. Już milczę – odpowiedział Lengen.

Rozbłyśły światła. Brunet zaśpiewał.

Dajesz ty, daję ja,

Takie jest życie la, la, la

La, la, la, jesteś tak jak ja

Chcesz komuś dać

By lepiej żyć, o tak

Bum, bum, bum, bum

Rozumiesz mnie ty

Czekałem na tę kasę wiele dni.

Dalej utwór toczył się w tym samym stylu. Z przodu śpiewał brunet. Dziewczyny z tyłu poruszały czym mogły, nachylając się do mężczyzn stojących w pierwszym rzędzie, którzy wkładali im pieniądze za biustonosze. Już wiedziałem, że tej imprezy na trzeźwo nie da się znieść. Na początku na sali tańczyły głównie kobiety, a mężczyźni na nie patrzyli. Oziębłe za dnia hostessy poruszały się w grupach, zaczynały tworzyć się małe kółka, na środek których co chwila wychodziło inne dziewczę, aby na razie skromnie choć seksownie poruszać swoich wdziękami. Parkiet napełniał się tańczącymi. Wypity w czasie długiego oczekiwania alkohol dawał o sobie znać. Powoli dołączali do nich mężczyźni. Niektórzy z tych, którzy przyszli z partnerkami, a już szczególnie żonami, musieli się czuć, jak z kamieniem u szyi, wyczuwało się napięcie krytycznych spojrzeń, próby ruchów mających na celu uwolnienie się od -tak zwanej- ukochanej, nawet małego odejścia w bok.

Na parkiet wbijam na pełnym lansie,

Do góry skaczemy, to podoba nam się

W jej oczach już widzę dwa złote lampiony,

Wyczuła już we mnie grube miliony⁹.

Słysząc był tekst piosenki. - Wita was zespół Łobuzy! - krzychał wokalista grupy. W międzyczasie zmieniła się występująca grupa choć nastąpiło to tak błyskawicznie, że trudno było to zauważyć. Po sali ciągnął już korowód złożony z gości Kongresu, hostess, utrzymanek, żon i zespołu ComeA\$\$, który występował wcześniej. - Ona czuje we mnie piniądz! – krzyczeli. Ci którzy byli w krawatach rozluźnili je, nawet goście z Azji Centralnej zazwyczaj dość wyważeni i spokojni. To mężczyźni. A kobiety, wycierały twarze od potu rozmazując tusz do rzęs i mieszając go z pudrem i wachlowały się wolnymi rękami. Co pewien czas część korowodu podskakiwała, to mężczyźni podszczypywali swoje obecne i potencjalne zdobycze. Tym razem słysząc był kolejny zachodni hit, choć tekst w porównaniu z poprzednim był dość liryczny i być może proroczy:

Ja wiem, ja wiem, ja wiem, że tak się stanie

Powiemy sobie wszystko

Za siódmą górą pożegnanie, za siódmą przyjdzie rzeką¹⁰.

Muzyka przyspieszała, a razem z nią tańczący. Ktoś się potykał. Biznesmeni i delegaci łapali za pupy asystentki, żony, kochanki, obecne i potencjalne. Rozmazywał się makijaż, lakier w połączeniu z potem sprawiał, że trwałe na głowach wyglądały, jak peruki, łamały się obcasy, a rajstopy błyszczały kropelkami potu. Błyskały światła: fiolety i czerwienie. Korowód wychodził na

⁹ Tekst grupy Łobuzy "Ona czuje we mnie piniądz"

¹⁰ Fragment utworu z filmu "Jak daleko stąd, jak blisko" Tadeusza Konwickiego.

korytarz i wracał na salę. Kelnerzy nalewali alkohole, robili drinki. Wśród nich o dziwo dominowała już nie miejscowa produkcja, a import z Chin, które obecnie są największym potentatem produkującym niemal wszystkie alkohole świata, nawet „amerykańską whisky”. Przynajmniej takie były etykiety. Choć były też prawdziwe ciekawostki: azjatyckie i afrykańskie smakołyki. W tym koniaki z różnego rodzaju dziwnych samozwańczych państw, które były uznawane jedynie przez siebie same.

- Ja też wiem, co się stanie! – mówił jeden z gości, prawdopodobnie z Zachodu, komentując usłyszany przed chwilą hit. - A to moje nowe koleżanki: pani Ania i pani Hania. One lubią kolegów z zachodnimi i chińskimi paszportami. I taka wiedza nam wystarczy.

- I lubią pieniądze, a my je mamy – dodał inny.

- Drogie panie, idziemy na parkiet?! - dowodził trzeci i poszli wszyscy, nie czekając na odpowiedź partnerek po prostu chwycili je mocno za biodra, a te z chęcią takiemu przymusowi się poddały.

Nie miałem już siły i zmęczony alkoholem podszedłem do jednego z wysokich stołów. Coraz bardziej mnie wykańczał, szczególnie przy tropikalnej temperaturze panującej na sali. Wydawało mi się, że cała woda wyparowuje, a w ciele pozostaje sama istota wypitego alkoholu.

W pewnym momencie muzyka zamilkła i zgasły wszystkie światła. Pomyślałem, że to już koniec. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, może to przewrót, może stan wojenny, może bojówkarze jednej z prywatnych armii wpadają do sali.

Tak samo nagle, jak zgasło światło, rozległ się dźwięk werbla i błysnęły na białe światła. Na scenie nie było już muzyków, był za to wodzirej. Przed nią stał tłum spoconych zabawowiczów. Wyglądali bardziej na zmęczonych długą zabawą weselników niż na uczestników bądź co bądź poważnej międzynarodowej konferencji. Koło stołu z alkoholami stali Błoński i Podolski, teraz już z kolejnymi dziewczętami.

- Aloha – powiedział pierwszy z nich mający na sobie wieniec z kwiatów z krepiny. Stała przy nim długonoga piękność, która wcześniej występowała w jednym z zespołów.

- I co tam słyhać? Separatyzm się budzi?

Wymownie spojrzałem na dziewczynę.

- Ona nic nie rozumie, a właściwie nie słyszy. Jest głuchoniema – wytłumaczył Błoński.

- Głuchoniema? Przecież widziałem ją na scenie.

- Panie, pan tu pierwszy raz? Żeby występować na scenie w takiej grupie, jak ComeA\$\$, wcale nie trzeba umieć śpiewać. Ważne żeby mieć ładne nogi, ładne cycki i ładną buzię – dodał pokazując otwartą dłońią interesujące go części ciała. – A zresztą, sam jej zasponsorowałem udział w tym projekcie więc teraz mogę na coś liczyć. I wspieram kulturę. Pan mi powie tylko krótko, co i jak, ale bardzo krótko bo Andżela się niecierpliwi.

- Może pan iść spokojnie. Nic nie będzie. Żadnego separatyzmu. Władze już działają – odpowiedziałem, sam nie będąc do końca przekonany do swoich słów. Chodziło o pokazanie tu i teraz, że mam jakąś wiedzę.

- No i dobrze – powiedział wyraźnie zadowolony.

Rozmowę przerwał nam ze sceny obsypany cekinami od stóp do głów wodzirej.

- Zaraz dla państwa na tej scenie wystąpi legendarny iluzjonista, maestro Zachar ze swoimi asystentkami Olą i Polą. Pokaże on światowej sławy trick, który demonstrował od Wschodu do Zachodu, a dziś pokaże go państwu!

Zszedł ze sceny bo pojawił się już tam prestidigitator. Z głośników słyhać było dźwięk werbli.

- Wita państwa Zacharrrrr! - iluzjonista był ubrany, jak na tego rodzaju wykonawcę przystało, czyli w czarny frak, białą koszulę i oczywiście cylinder, który uchylił w czasie powitania. Scena rozjaśniła się białym światłem. Weszły na nią przedstawione już wcześniej asystentki: Ola i Pola, ubrane w czarno – białe stroje kąpielowe, kabaretki i czarne buty na obcasach. Ukłoniły się w pół, a za nimi można było zobaczyć przygotowaną z góry ogromną czarną skrzynię. - Dziś pokażę państwu mój firmowy numer. Będziemy dzielić i znikać. Ale nie my znikniemy, a jedna osoba z was! - zagrzmiął niskim głosem iluzjonista. - Żeby nikt się nie bał, najpierw podzielimy Olę,

a potem Polę. A może najpierw Polę, a następnie Olę. Są tak podobne do siebie, że wciąż je mylę – prestidigitator przytulił do siebie dwie dziewczyny chwytając je za przyczepione do pup białe królicze ogonki. Na chwilę zgasło światło. Z głośników zaczęła dobiegać spokojna muzyka, która powoli nabierała szybkości i dynamiki. Goście stopniowo odchodzili od stołów z wyszynkiem i podchodzili do sceny. Ja tym razem wybrałem koniak, którego brzeg kieliszka był otoczony cukrem z zatkniętym plastrem cytryny i wraz z tłumem zacząłem oglądać przedstawienie.

Ola i Pola wykonywały wokół skrzyni kocie ruchy, choć starały się uniknąć erotyki, zapewne wyciągając wnioski z poprzedniego występu. Otwierały i zamykały czarną skrzynię starając się pokazać, że nie ma w niej nic podejrzanego i nie ma tam nic do ukrycia. Jedna z dziewcząt weszła do środka, druga zamknęła skrzynię i udając, że nie wie, dokładnie, jak to cudowne urządzenie się obsługuje zaczęła nim kręcić w prawo i w lewo, dzieląc je na dwie mniejsze skrzynie, w jednej znajdując nogi, a w drugiej głowę swojej partnerki. Później już nawet nie mogła znaleźć żadnej jej części ciała więc udała zdziwienie i przerażenie, że nie ma w środku jej koleżanki i to nawet po złączeniu dwóch połówek Pola nie może znaleźć Oli. Albo Ola Poli. Tutaj z prawego skrzydła sceny wyłonił się iluzjonista, który dotąd stał z boku i palił papierosa udając, że nie wie, co się dzieje parę metrów od niego. Teraz przyszedł na ratunek. Wykonał kilka ruchów skrzynią, otworzył ją i na scenie, obok stojącej dotąd Oli albo Poli, znów pojawiła się druga z jego asyistentek. Pogroził obydwu palcem i dał znak obydwoma rękami, aby całkowicie ściszo muzykę.

- Widzieli państwo, co one wyprawiają? - śmiał się udając zdenerwowanie. - Nie dość, że się podzieliły, to teraz jeszcze same siebie znikają.

Dziewczyny stały z boku, lekko schylone, zgarbione jak ukarane uczennice. - Ale już widzą państwo, że ta skrzynia jest bezpieczna, że nawet po podziale udało się złączyć dwie połowki i oto nasza Ola, albo Pola, stoi tutaj koło mnie. Dlatego zapraszam na scenę kogoś, kto jest na tyle odważny, aby spróbować naszego tricku. Właściwie nie tricku, a magii!

- Ja chcę – dobiegł spokojny głos z rogu sali. Należał do Władlena Barrikada. – Ja chcę, ale nie samemu wziąć udział, a kupić ten trick w prezencie dla naszego szanownego przewodniczącego Lorieksa Arwila, któremu zapewne nic nie jest straszne – biznesmen machnął plikiem banknotów. Światło biegło w poszukiwaniu na sali prezesa Rady Nadzorczej Państwa. – Panie przewodniczący zapraszamy - krzyczał wodzirej, a sala podchwyciła: za-pra-sza-my, za-pra-sza-my, za-pra-sza-my! W końcu jupiter znalazł Lorieksa Arwila, który spojrzał na kilku swoich kolegów i ochroniarzy. Wszyscy dali znak wzrokiem, żeby się zgodził. Trudno się dziwić jego obawom, przecież trick zaproponował mu jego polityczny oponent, który właśnie starał się podzielić państwo.

Tłum napierał oklaskami i zachęcającymi okrzykami. Przewodniczący nie mógł stchórzyć, nie mógł uciec, w końcu był najpotężniejszym człowiekiem w kraju, osobą, której wszyscy się mieli bać i być jej podporządkowani. Arwil zdjął marynarkę i podał ją ochroniarzowi. Podszedł do Władlena Barrikada i z przyklepionym do twarzy uśmiechem uściśnął mu rękę jednocześnie mówiąc coś na ucho i przejeżdżając palcem wskazującym po swojej szyi. Później wymienił dwa słowa z prestidigitatorem, podniósł dwie ręce do góry i krzyknął na całą salę:

- Jestem do waszej dyspozycji! Jak zawsze gotowy dla państwa i dla siebie. Dla swojego i waszego dobra - rozległy się brawa i pełne zachwyty okrzyki: bo-ha-ter, bo-ha-ter.

Lorieks Arwil kontynuował:

- Chciałem jeszcze coś dodać – sala ucichła. - Zaufanie to podstawa naszego państwa, gdyby nie zaufanie, niemożliwa byłaby korupcja. My nie podpisujemy dokumentów, a umawiamy się na odpowiednie sumy i konkretne działania. Chcę pokazać, że ufam każdemu z was. Ufam nawet Władlenowi Barrikadowi, któremu chciałem podziękować za tak awanturniczy podarunek.

Te słowa znów zostały przywitane okrzykami: bohater, bohater, nasz bohater, jesteśmy z tobą. Magik dał znać ręką publiczności, aby się uciszyła i wskazał Lorieksowi miejsce na fotelu. Miał ostatnią chwilę, aby się zrelaksować przed trickiem. Ola i Pola podały mu szklanekę, zapewne z alkoholem, było w niej coś co miało przypominać whisky oraz cygaro, które Arwil z przyjemnością zapalił. Wyglądał na zadowolonego spełnionego mężczyznę. Przynajmniej takie wrażenie starał się sprawiać. Widać było jednak pewną nerwowość w jego gestach. Nie były już łagodne, a raczej

kwadratowe, szarpane. Nie był teraz na pewno panem sytuacji, co dla osoby o takiej władzy mogło być wyjątkowo nieprzyjemne.

Dziewczyny podeszły do Zachara i zameldowały mu się na sposób niemal wojskowy. Na scenę wjechała skrzynia, do której została zaproszona jedna z dziewcząt. Rzeczywiście były tak do siebie podobne, że trudno było określić, która to Ola, a która Pola. Na szczęście tego rodzaju przedstawienia nie wymagają zbyt wielu słów, a nawet nie jest to wskazane ponieważ niszczy wszelką tajemniczość sytuacji. Tym razem trick wykonywał sam Zachar, który najpierw pokazał, że skrzynia jest pusta, że nie ma w niej tylnej wyginającej się ścianki, a dno i ściany boczne są twarde. Ola albo Pola weszła do środka i wystawiła ręce. W jednej z nich trzymała chusteczkę. Druga dziewczyna zamknęła pudło. Skrzynia została obrócona kilkakrotnie wokół własnej osi. Dla zwiększenia napięcia światło w sali zostało przygaszone. Dziewczyna w tym czasie niestrudzenie machała chustką wystawioną przez dziurę w górnym wieku. Zachar tymczasem sięgnął po długie szpady przypominające te do szaszłyków, które zaczął wbijać w boczną ściankę skrzyni. Wbił dwie co najmniej do połowy. Dziewczyna nadal machała chustką. Dźwięki werbli stawały się coraz głośniejsze, a półpijany tłum delegatów Kongresu milczał w napięciu. Zachar dopchnął dwie szpady. Ręce z chustką zniknęły. Zapaliły się wszystkie światła. Magik w teatralny sposób odwrócił się w kierunku przewodniczącego i poprosił go, aby podszedł do skrzyni i ją otworzył. W środku nikogo nie było. Było za to widać dwie wbite szpady. Tłum głośno wyraził zdziwienie.

Arwil usiadł na swoim miejscu na scenie.

- Oddawaj Olę, kurwa! - krzyknął jakiś gruby spocony i chyba dość już pijany delegat, który w jednym ręku trzymał soloną kukurydzę, a w drugiej kieliszek wódki. - Albo Polę – dodał, już spokojniej i wypił zawartość kieliszka i zagryzł kukurydzę.

Iluzjonista dał wszystkim ręką znak, żeby się uspokoili. Wyciągnął szpady, zamknął z powrotem skrzynię, obrócił ją kilkakrotnie, zatrzymał i otworzył pudło. Wskoczyła z niego uśmiechnięta Ola, albo Pola. Druga dziewczyna stała obok skrzyni.

- Cud, cudownie, cudowniusieńko – piszczały hostessy i delegatki wiszące na szyjach i ramionach swoich sponsorów.

- I chuj, a widzisz, mógł się jej pozbyć i wziąć sobie lepszy model, a ta wróciła. Zupełnie, jak kurwa w życiu – śmiał się starszy mężczyzna w garniturze a la koniec lat '90 XX wieku i okularach ze złotą oprawą mówiąc to głośno niby do swojego kolegi, a tak naprawdę do wszystkich z otoczenia.

- Teraz już pora na naszego sławetnego pana przewodniczącego, zapraszam do skrzyni – odezwał się Zachar. Arwil dopił whisky, zgasił cygaro w resztkach, które zostały w kieliszku i podszedł do skrzyni. Ledwo co się zmieścił w dość niewielkim pudełku. Pomachał wszystkim z uśmiechem, który miał pokazywać pewność siebie. I uśmiechem bogactwa. Dopiero teraz zobaczyłem, że oligarcha ma cały zestaw złotych zębów mniej więcej od piątki do tyłu. To były kolejne pozdrowienia z lat '90, czyli czasów pierwszych wielkich, można powiedzieć "złotych", interesów w byłym Związku.

- Żegna się, jakby z nami się na zawsze żegnał – powiedziała jakaś kobieta stojąca koło mnie. I była bliska prawdy. Wszystko odbyło się tak samo, jak z Olą albo Polą. Tyle że szybciej. Nie było machania chusteczką, był za to tępy dźwięk szpad przebijających ciało Arwila i przechodzących bądź ocierających się o kości, jego krótki krzyk, który został przytłumiony przez głośną muzykę. I nagłe pojawienia się skapujących kropel krwi pod magiczną skrzynią.

Zapadła cisza. Nie było słyhać niczego, nawet oddechów zgromadzonych. Słyhać było tylko kapanie krwi ze skrzyni. Wydawało się, że ta cisza trwa i trwa, minuta po minucie, jednak w rzeczywistości było to 10 sekund w czasie których ludzie nie wiedzieli, co powiedzieć i jak zareagować. Żona Lorieksa Arwila, Uspiepia, krzyknęła i zakryła twarz rękami. Podbiegł do niej jeden z ochroniarzy, inni biegli już na scenę. Otworzyli skrzynię. Zobaczyli skręcone w spazmach ciało oligarchy. Mężczyzna najprawdopodobniej nie żył ponieważ jedna z szabli przeszła dokładnie przez serce. Przez salę biegli już lekarze w białych chałatach. Ochroniarze szukali Zachara, Oli i Poli, ale cała trójka gdzieś zniknęła. Stałem wtulony w słup przy ścianie. Kobiety krzyczały, niektóre siedziały pod ścianą, inne podtrzymywane przez mężczyzn stały przy stolikach z

alkoholem. Kelnerzy nalewali, ale już bez uśmiechów. Jeżeli ktoś pił, to tylko po to, aby zapomnieć albo otrzeźwieć po strasznej scenie, której świadkiem był przed chwilą.

Szukali jeszcze kogoś, kogoś bez kogo Lorieks Arwil nie znalazłby się na scenie: Władlena Barrikada. Nie było go już na sali. Ochroniarze zamknęli drzwi za późno. - Nikt stąd nie wyjdzie – krzyczał jeden z nich. Wszyscy zebrani nagle oprzytomnieli i wytrzeźwieli, wyrwali się z trwającego od kilku godzin kręgu zabawy. Zaczęli zbierać się w niewielkie grupki: obcokrajowcy, miejscowi oligarchowie, drobni bandyci, żony, hostessy i utrzymanki / kochanki. Sprawdziłem telefon. Aparat był martwy. Nie było zasięgu. Prawdopodobnie został zagłuszony, jak wszystkie inne w sali, albo może nawet w całym hotelu.

W tym momencie podeszli do mnie Błoński i Podolski. Tym razem już bez damskiego towarzystwa.

- Co tu się kurwa dzieje – zapytał Błoński, który był chyba w najgorszym stanie ze względu na ilość wypitych trunków.

- Nic, po prostu Barrikad zlikwidował Arwila – odpowiedział Podolski i wypił kieliszek wódki, który trzymał w ręku.

- Ale po co? - rzucił Błoński, który też wypił kolejny kieliszek mając nadzieję na otrzeźwienie.

- Jego ignorowali ci z centrum, a on chciał i chce zmian. Oni mieli go zlikwidować, tymczasem wygląda na to, że to on zlikwidował ich szefa – wytłumaczyłem.

Błoński tymczasem padł nieprzytomny na plastikowe krzesło przy jednym ze stołów:

- A wszystko wyglądało tak stabilnie. I my też mieliśmy na tym skorzystać, ale się po-je-ba-ło – powiedział i po prostu zasnął. W jego stanie nic innego nie miało już znaczenia, nawet to, że tuż koło niego doszło do zbrodni.

Siedzące obok hostessy zdejmowały szpilki i nerwowo masowały swoje zmęczone tańcem i ciągłym staniem stopy. Poprawiały włosy i rozpinają bluzki. To samo robiły kochanki i utrzymanki. Żony z racji swojego wieku lub statusu ograniczały się do wachlowania się rękami i folderami reklamowymi. Te czynności pozwalały im się zdystansować od morderstwa na scenie.

Sytuacja, której byłem świadkiem była naprawdę szokująca. Nie mogło tu być mowy o pomyłce, czy przypadku. Świadczyło to o tym, że cała umowa oligarchiczna i zbudowany na korupcji system okazał się mocno niestabilny. Od wielu lat tak się spraw tutaj nie załatwiało, przynajmniej w centrum bo jak pokazywała moja przygoda z Krezusem i Hojnym, na prowincji nadal do takich zdarzeń dochodziło.

- Kobiety do wyjścia – krzyknął jeden z ochroniarzy, który był na scenie.

Stojący przy drzwiach mężczyźni w czarnych garniturach, ze słuchawkami w uszach, dokładnie patrzyli na wychodzące i porównywali ich twarze ze zdjęciami Oli i Poli oraz Zachara, które mieli w rękach. Istniało ryzyko, że zamachowcy ze sceny spróbują się wmieszać w tłum i opuścić miejsce zbrodni. Kobiety powoli wychodziły. Wycierały spocone twarze. Nagle ochroniarze pokazali jedną ze stojących w kolejce. Ta zaczęła się nerwowo oglądać na prawo i na lewo i rozglądać szukając wsparcia.

- To ona, trzymaj ją – krzyknął jeden z nich. Kobieta nie próbowała nawet uciekać, została wzięta pod ramię przez ochroniarzy.

- Ty kurwo zabiłaś mi męża – krzyczała do niej Uspiepia. Ola albo Pola nie zwracała na nią uwagi, a po prostu szła ciągnięta i popychana przez ochroniarzy. Dopiero przy drzwiach odkrzyknęła:

- To nie ja, ja o niczym nie wiedziałam, naprawdę!

- Zaraz nam wszystko wyjaśnisz, tylko się nie wrywaj – odpowiedział przez zaciśnięte zęby prowadzący ją mężczyzna i złapał mocniej za ramię.

W tym czasie zza kotary na scenie wyszli lekarze i nic nie mówiąc przeszli przez salę. Ochroniarze sprawdzili przy wyjściu także ich identyfikatory. Na chwilę pojawił się także wodzirej, postukał palcem w mikrofon i oświadczył, że na dziś zabawa jest skończona i ma jeszcze do przeczytania oficjalny krótki komunikat Rady Nadzorczej Państwa:

“Lorieks Arwil z powodów zdrowotnych odszedł do historii. Jutro odbędzie się zjazd rady regionów, składającej się z przedstawicieli wszystkich departamentów. Zostanie także uzupełniony skład Rady Nadzorczej Państwa i wybrany nowy prezes”.

Na koniec wodzirej uspokoił, że w ciągu godziny wszyscy na pewno opuszczą salę, ale każdy będzie dokładnie skontrolowany. - A jak komuś się nudzi, może pooglądać telewizję – zakończył swój krótki występ.

W rogu sali rzeczywiście wystawiono odbiornik włączony na jeden z kanałów informacyjnych, a tam akurat pokazywano reportaż, którego nie widziałem wcześniej. Głos zza kadru mówił, że “marginalne elementy, zwolennicy dawnych układów władzy, demokracji, hamulcowi reform – to oni wyszli na ulice Zagłębia, aby zaprotestować przeciwko rządzącym w Stolicy. - Mamy dosyć utrzymywania Stolicy, płacenia im łapówek, co ona nam daje, oprócz opresji, ja chcę więcej zarabiać – tłumaczy naszemu reporterowi jeden z pracowników firmy wydobywczej. Jego słowa to efekt dywersji i wrogiej propagandy. Człowiek ten nie zdaje sobie sprawy, że jest marionetką w rękach właściciela zakładu”. Później telewizja pokazała plac w centrum miasta, gdzie młodzi ludzie, zamaskowani mężczyźni z pałkami, a niektórzy nawet z bronią, starsze kobiety na emeryturze i młode dziewczyny, które przyszły raczej dla rozrywki i strzelić sobie selfie krzyczeli: Władlen, Władlen, Władlen. “Wysyłamy delegację do Stolicy, chcemy żeby nas usłyszano. Już jadą nasze autobusy” – tłumaczył reporterowi inny robotnik.

Reportaż nagle przerwano. Spikerka zapowiedziała oświadczenie Władlena Barrikada. Mówił prawdopodobnie ze swojego gabinetu, zastawionego różnymi pozłaczanymi figurkami i zdjęciami z biznesmenami z całego świata. Stało za nim dwóch uzbrojonych mężczyzn. - W związku z tragedią, do której doszło w Stolicy i koniecznością zmiany prezesa Rady Nadzorczej Państwa chciałem powiedzieć, że wyrażam współczucie żonie szanownego Lorieksa Arwila i jego najbliższemu – zapewniał, choć trudno było uwierzyć, że te słowa były szczerze, szczególnie, że oświadczenie sprawiało wrażenie nagranego wcześniej. - Jutro odbędzie się posiedzenie rady regionów, na której też się pojawię. Nasz departament, Zagłębie, domaga się więcej uprawnień. To my jesteśmy kołyską działającego obecnie w naszym państwie systemu. To u nas najwcześniej budowane były zasady zarządzania państwem oparte na wszechobecnej korupcji. To my przynieśliśmy je do Stolicy i my wcieliliśmy je w życie w skali całego kraju. To my zaczęliśmy kupować polityków i później uznaliśmy, że nie ma sensu bawić się nimi, jak lalkami i lepiej samemu wziąć we własne ręce stery naszego państwa. Ale nasze państwo staje się coraz mniej nasze, a w coraz większym stopniu należy do tych, którzy byli naszymi uczniami. Poza tym oddajemy coraz więcej pieniędzy do Stolicy właściwie nic nie dostając w zamian. Czas to zmienić! – mówił Władlen z ekranu telewizora.

Patrzyłem na reakcję zebranych na sali. Widać było, że większość przybyłych z prowincji ocenia pozytywnie usłyszane słowa. Zbierali się w grupki i po cichu omawiali sytuację. Ziarno padło na podatny grunt. Nie tylko Zagłębie miało dość płacenia. Delegaci z zagranicy w swoich małych grupkach próbowali wyjaśnić sobie, co się tak naprawdę dzieje. Barrikad tymczasem kontynuował swoje oświadczenie. - To co robi Stolica to rekiet. Wymuszanie, z którym mieliśmy do czynienia w początkach naszego państwa. Zatoczyliśmy koło. Departament Zagłębie oświadcza, że jeżeli nie zostanie wysłuchany pożegna się z Pierwszym Korupcyjnym. Nam takie państwo nie jest potrzebne. Jeśli zasady się nie zmieniają, to wraz z Komunistyczną Republiką Socjalistyczną Węgla i Stali, która na pewno do nas dołączy, odejdziemy od PK i dołączymy do Konfederacji EuroAzji. A za nami pójda inne regiony! Nasi wschodni sąsiedzi czekają na nas z otwartymi rękami – pod koniec oligarcha podniósł głos. Mężczyźni stojący za nim skrzyżowali broń. Ekran zrobił się czarny. Pojawiła się tablica: przepraszamy za usterki techniczne.

A koło mnie oraz dwóch naszych polityków: Błońskiego i Podolskiego pojawił się czarnoskóry delegat w długiej kolorowej sukni i równie kolorowej czapce. Był chyba z jakiegoś francuskojęzycznego państwa ponieważ po angielsku mówił fatalnie, z silnym francuskim akcentem. Ledwo ledwo: - Pierwsze Korupcyjne dead? What problem? - pytał.

- No problem – rzekł Błoński, który po krótkiej drzemce na plastikowym krześle, poczuł się już chyba znacznie lepiej, choć jego angielski pozostawiał wiele do życzenia i był chyba gorszy od

rozmówcy. Zmobilizowała go za to do wypowiedzi dość trudna sytuacja polityczna. - Po prostu koniec, ale nie do końca – mówił kiwając się, jak wahadło i wskazując palcem to jeden koniec, to drugi. - Będzie jeszcze parę końców. Rozumiesz? Jak masz pan na imię? I-mię. Jor nejm, pliz.

- Dalis Vist. Nie do końca rozumiem.

- To proste. W każdym państwie jest jakaś idea, która łączy ludzi, a tutaj tej idei nie ma. Brak. No idea. Same pieniądze to nie może być idea bo jak nie ma pieniędzy, to kraj się rozpada – wtrącił się Podolski, który mówił o wiele lepiej po angielsku. - I u nich się właśnie rozpada. Dalis, rozumiesz?

- Staram się zrozumieć.

- Przepraszam, że przeszkadzam i się wtrącam – koło nich pojawiła się kobieta w za dużej czerwonej marynarce i okularach z bardzo poprzedniej epoki. Przypomniałem sobie, że widziałem ją wcześniej na panelu dotyczącym kultury. To była Róża Tetori, tak się zresztą przedstawiła.

- Szanowny towarzyszu delegacie z bratniej Afryki. Nazywam się Róża Tetori, przez lata kierowałam Komisją do spraw Wspólnej Przeszłości i Przyszłości. Zajmowała się ona, między innymi, koordynacją wspólnej polityki kulturalnej. I ja się tym teraz nadal zajmuję, a właściwie zajmowałam – teraz, gdy stała, okazała się niska, lekko zgarbiona, stąd stojąc na każdego patrzyła z dołu, co sprawiało wrażenie, że spogląda spode łba. Kiedyś jednak zapewne była piękną kobietą i starała się to pokazać w swoim zachowaniu i gestach. Przy tym mówiła świetnie po angielsku. - To co się tutaj dzieje proszę towarzysza pana delegata z bratniej Afryki to jest właśnie wynik braku wspólnej polityki. Wspólny jest tylko „budżet”, ale oni go nazywają między sobą „obszaczak”, wzięli ten termin jeszcze z czasów swojej nie do końca legalnej działalności. Zrzucali się tam żeby mieć jakieś środki, jak kogoś zaaresztują, na adwokata, czy łapówki. I nie ma żadnej polityki ani historycznej, ani kulturalnej. Dlatego to wszystko się rozpada. Czy towarzyszu to rozumie? - dotąd mówiła gdzieś w powietrze, ale ostatnie pytanie skierowała wprost do Dalisa Vista patrząc mu wyraziście w oczy.

- Staram się. Ale nie rozumiem, dlaczego kogoś się morduje i to na sposób rytualny, na scenie, a potem ten pan towarzyszu, który oddał mu swoje miejsce w przedstawieniu mówi w telewizorze, że Pierwsze Korupcyjne prawie dead. Co to ma wspólnego z tym, że nie ma wspólnej polityki kulturalnej. U nas też nie ma i nic się nie dzieje – Dalis dziwił się coraz bardziej zamiast coraz mniej.

- No, ale coś was łączy? - znów prosto w twarz zapytała Róża Tetori.

- Sport chyba. Mamy mistrzostwa kraju w piłce nożnej i wszyscy na tym zarabiają. Właśnie o tym mówiłem dziś w czasie zjazdu. Słuchali państwo? - niestety nikt nie słyszał i nie odpowiedział twierdząco. - To mogę szybko wytłumaczyć – kontynuował delegat z Afryki. - To jest dość proste. Po pierwsze mamy rozgrywki krajowe, drużyny jeżdżą i grają ze sobą. Tak naprawdę mecze są ustawione bo wygrywa ten, kto płaci więcej sędziemu, który dzieli się z Federacją Futbolu. A Federacja dzieli się z nami czyli władzami. Wygrywa de facto ta drużyna, której właściciel jest bogatszy. Ale ludzie trochę poznają kraj, jeżdżą na te mecze, mają takie wrażenie, że to jest jedno państwo. Po drugie, kręcimy lody na sprzedaży biletów. Niby stadion ma jakąś pojemność, ale bilety można sprzedawać parę razy i na tym się zarabia. Ciemny lud to kupi bo lubią oglądać te przedstawienia, choć wiedzą, że są kupione – zakończył swój dość krótki wykład Dalis Vist. Róża Tetori już w połowie tej wypowiedzi zaczynała się trząść, widać, że chce przerwać i wsadzić swoje pięć groszy.

- Proszę pana towarzysza, oczywiście, my też mamy sport. I u nas też wygrywa silniejszy, czyli majątniejszy, ale ludzie mają mało pieniędzy żeby jeszcze płacić za widowiska. W dodatku policja organizuje kibolom ustawki żeby pozbyli się gdzieś negatywnej energii. Ale to za mało! Podstawą jest telewizja. Gdyby nie ona, gdyby nie to, że nie ma tam przekazu kulturowego, historycznego, albo że jest go za mało, nie mielibyśmy teraz autobusów jadących z Zagłębia do Stolicy. A mielibyśmy tak piękną historię, o której można było mówić i mówić. Można było pokazywać tyle ciekawych starych filmów, gdzie byliśmy młodzi i żeby ta młodzież też zaczynała wierzyć w to, że chce mieć taką młodość, jak my. Gdzie człowiek to był nie trybik, ale tryb i to tryb w wielkiej fabryce, w zakładzie przemysłowym – Róża Tetori wyraźnie przemieszczała się w

swojej świadomości gdzieś w przeszłość na zebranie partyjne, gdy była jeszcze piękna i młoda i budowała najbardziej sprawiedliwy system na świecie. - A tak to, koniec, nie wyszło, mądry człowiek po szkodzie! I stąd właśnie są te zabójstwa i bunty. Ale panowie mnie nie rozumieją - zakończyła swoją tyradę i odeszła popijając miejscowy portwejn, czyli wzmocnione spirytusem słodkie wino. Dalis Vist pokiwał głową ze zrozumieniem i odszedł do grupki swoich kolegów z Afryki, aby przekazać im to, czego się dowiedział.

- Panowie, musimy stąd jakoś wyjść – powiedziałem. - Tutaj się niczego nie dowiemy. Niby na sali są wszyscy uczestnicy Kongresu, ale nie ma najważniejszych ludzi w tym państwie. Gdzieś przepadli. Panie Podolski, jak pan tu wszedł, przecież pana nie było wcześniej?

- Normalnie, dałem łapówkę.

- Czyli tak samo można wyjść. Koledzy, składamy się – rzucił Błoński. Odsunął puste kieliszki i na obrusie zazieleniło się od banknotów. - Cztery stało, dajemy po dwieście, to razem będzie sześćset.

Błoński zgarnął pieniądze i poszedł do ochrony. Mężczyzn nie było łatwo przekonać. Wcisnął im jednak banknoty niemal na siłę i poprosił żeby sprawdzili ich pierwszych. Ochroniarze zgodzili się i dali znak kolejnym delegatom w kolejce żeby poczekali.

Wszystkich nas sprawdzano bardzo dokładnie. Wszystkie kieszenie nie tylko ubrań, ale też plecaków (ja i Podolski) i barsetki, zwanej też “pederastką” (Błoński). Posiadanie tego ostatniego atrybutu miało świadczyć o tym, że dość poważnie wsiąkł w miejscowe towarzystwo i należał do wyższej klasy społecznej zajmującej się biznesem. Robotnicy nosili płócienne czarne torby na ramię niewielkich rozmiarów, a urzędnicy skórzane teczki bądź nesesery. Barsetki nosił biznes. Mały, średni, a czasem -z rozpędu- także wielki.

Zależało mi żeby akurat w tym trudnym momencie, gdy przyszłość była całkowicie niejasna trzymać się z politykami z Zachodu. A ci usiedli w lobby dokładnie naprzeciwko recepcji. Mogli obserwować, kto wchodzi i wychodzi z hotelu. W barze, który był tuż obok, zamówili coś do picia. Nad całym towarzystwem unosił się mocny zapach przetrawionego alkoholu. Atmosfera jednak nie była pijana, a wręcz przeciwnie, sytuacja skłaniała do trzeźwego myślenia. Błoński strzelił tylko setkę wódki żeby wrócić do swojego normalnego stanu i żeby uśmierzyć drżenie rąk. W rogu zawieszony był telewizor, na którym leciał jakiś miejscowy serial. Dźwięk był wyłączony, ale z tego co można się było zorientować opowiadał on o kierowcy autobusu, który jeździł między różnymi miastami. Był on zdecydowanie pozytywnym bohaterem. Zaradnym człowiekiem. Najpierw można było zobaczyć pasażerów kupujących bilety, później kasjerka postawiła kawałek dykty z naklejoną kartką z odręcznym napisem: “Biletów nie ma i nie będzie”. Ludzie przy kasie reagowali ze zrozumieniem. Odchodzili od okienka i szli na tyły dworca. Następną sceną. Kierowca liczy pasażerów w autobusie stojącym jeszcze przy jednym ze stanowisk. Autobus jest w połowie pusty. Zadowolony idzie do kasy, gdzie wręcza kasjerce banknot. Kobieta jest zadowolona, mężczyzna też. Cięcie. Kierowca siedzi już w autobusie, odjeżdża i od razu zatrzymuje się z tyłu dworca, gdzie wsiadają ci pasażerowie, dla których nie było już biletów. Wszyscy są zadowoleni. Kierowca zbiera od nich pieniądze. Kolejna scena. Autobus wyjeżdża. W budce strażników kierowca zostawia kolejny banknot. Maszyna jest pełna ludzi, rzeź, silnik walczy o to żeby rozpędzić ogromne cielsko wypełnione pasażerami do chociażby 40 kilometrów na godzinę. Na autobus macha lizakiem policjant. Kierowca uchyla jedynie okno i nie chcąc tracić osiągniętego z trudem ślimaczego pędu wygląda uśmiechnięty przez okno i wyrzuca zmięty banknot. Policjant podnosi do góry kciuk.

Korytarze zapełniały się powoli gośćmi wychodzącymi z sali balowej. Po dokładnym przeszukaniu przez ochronę zamieniali między sobą kilka słów i wracali do pokoi hotelowych. Większość i tak nie rozumiała, co się dzieje. Poza tym atmosfera stawała się nieprzyjemna. Po korytarzu kręciło się coraz więcej uzbrojonych mężczyzn. Jednak już nie w garniturach, a w wojskowym kamuflażu. Jakby przed chwilą wrócili z wojny. Wszyscy skupiali się wokół jednej z sal konferencyjnych. Po chwili zdałem sobie sprawę, że są różnie ubrani, jedni lepiej, inni gorzej, biedniejsi z naszywką batalionu Zagłębie chodzili w skórzanych butach wojskowych. Ci z oddziału Centrum mieli nowoczesne prawdopodobnie koreańskie obuwie z ekstrateksu. Najgorzej wyglądali

ci z batalionów Południe i Zachód. Część z nich miała na sobie nawet adidas, albo w jeszcze gorszym wypadku tenisówki, gumowe klapki bądź czarne zużyte pantofle od garniturów. Patrzyłem na naszywki tych ze Wschodu, na których były pomarańczowo czarne pasy rozchodzące się, jak promienie słońca od położonej w środku czarnej figurki górnika trzymającego karabin. Autor albo autorka naszywek Centrum postawił/a raczej na sukces finansowy, były tam dwie ręce z karabinami nad znaczkiem przedstawiającym miejscową walutę i szeroką rzekę. Na lewym jej brzegu znalazły się zakłady przemysłowe, na prawym złote pola.

Z tej kontemplacji wyrwał mnie huk otwieranych drzwi do sali konferencyjnej. Wybiegł z nich jeden z oligarchów z rady nadzorczej państwa, Lestaber Stalen.

- Niech on stąd spierdala, nie będę z tym chujem rozmawiał – krzyczał. Odwrócił się do otwartych na oścież drzwi i krzyknął do kogoś, kto był w środku. - Lata '90 dawno się skończyły. On zabija jednego z naszych, a my mamy z nim rozmawiać? Targować się? - mocno gestykulował i nie zwracał na nikogo uwagi.

Wyleciał za nim Lagszmiwara:

- Lestaber, wracaj, musimy rozmawiać, nie chcę mieć tu wojny. Szczególnie na zewnątrz. Rozumiesz, co on nam mówi? Że chce się połączyć z Komunistyczną Republiką Socjalistyczną Węgla i Stali. To może być nasz koniec!



Rozdział XI, w którym dowiadujemy się, z kim chce się połączyć Władlen Barrikad i dlaczego nie udało mu się tego dokonać

Czym jest Komunistyczna Republika Socjalistyczna Węgla i Stali? To dawna część Zagłębia, która została utworzona po rewolucji oligarchicznej w 2020 roku. Wtedy niektórzy politycy i dyrektorzy zakładów przemysłowych nie zgadzali się na życie w dyktaturze oligarchii i woleli dyktaturę proletariatu i powrót do czasów Związku sprzed 1991 roku. Przynajmniej w płaszczyźnie retorycznej. Władze w Stolicy doszły do wniosku, że zamiast pozwolić im paraliżować życie całego państwa swoimi wystąpieniami, lepiej ich zamknąć w rezerwacie na wschodzie państwa, a nawet utworzyć „kraj”, na wzór tego z dawnych dobrych lat, gdy „kielbasa była po 5 kopiejek”.

Udało mi się odwiedzić stolicę KRSWiS Stalino już po tym, jak sytuacja w PK uległa uspokojeniu. To tu, przy placu z pomnikiem Lenina, noszącym “od zawsze” imię wodza rewolucji, odbył się w 2020 roku Zjazd Rad, który zdecydował o utworzeniu tego tworu państwowego. Jak podkreślono na granitowej tabliczce przytwierdzonej do postumentu, zdecydowali o tym przedstawiciele miejscowych górników i hutników oraz dyrektorzy państwowych kopalni i hut. Ci bohaterowie powołali także Centralny Komitet Wykonawczy na czele z jego przewodniczącym Krasnomirem Lanianem, który od lat był związany bardzo dobrymi układami prywatnymi i biznesowymi ze zwierzchnikiem Zagłębia Władlenem Barrikadem. Stąd KRSWiS określano czasem mianem jego prywatnego folwarku.

- To, co widać u państwa na powierzchni, to chyba kopia systemu obowiązującego w Związku Radzieckim? - pytam Gertrudę Iskrę, która kieruje Działem Propagandy i Informacji Centralnego Komitetu Wykonawczego w Stalino, mieszczącym się w dawnym budynku rady obwodowej.

- Tak, to bliski system. Ten system zresztą sprawdził się przez dziesiątki lat. Funkcjonował bez zarzutu. Ludzie byli zadowoleni, a pojedyncze bunty to były działania jednostek ciężko chorych, które nie były w stanie zrozumieć geniuszu ówczesnych władz. Były one zresztą za to surowo karane albo dobrodusznie leczone.

- Jakie państwo mają zapożyczenia z dawnych lat?

- Mamy znacjonalizowane zakłady pracy, należą one do narodu Republiki. Podobnie, jak największe sklepy, czy stacje benzynowe – też zostały znacjonalizowane.

- Niektórzy mówią, że to fikcja bo i tak kieruje nimi przewodniczący CKW Krasnomir Lanian i to on czerpie z nich zyski we współpracy z Władlenem Barrikadem.

- To nieprawda, to podłe kłamstwo. Krasnomir... Przepraszam, towarzysz Lanian ma tyle, co inni. Nie jest oficjalnie niczego właścicielem. On może wyznaczać kierunek, wskazywać drogę rozwoju, ale nie będzie zniżał się tak bardzo by być burżujem, nie jest jakimś handlarzyną, czy badylarzem.

- Co jeszcze was różni od reszty PK?

- Mamy ceny regulowane, żeby nikt nie naciągał naszych współobywateli. Ludziom pozwoliliśmy handlować na bazarach, ale przecież wiadomo, że każdy mądry człowiek woli pracować w wielkim zakładzie niż mieć swój biznes i być, przepraszam za słowo, spekulantem.

Niestety nie wszystko jest tak idealnie, jak przedstawia to Gertruda Iskra. Ta 70-letnia kobieta pamięta jeszcze dobrze, jak funkcjonował Związek i teraz wraca do tej przeszłości, gdy przypadała jej młodość i kiedy wszystko było o wiele piękniejsze. Zapomina, że ZSRR targany był wieloma problemami, na przykład, niską wydajnością pracy, czy zaopatrzeniem. W Republice są te same kłopoty: kolejki, talony na niektóre towary i czarny rynek, gdzie wszystko można kupić kilkukrotnie drożej. Muszę jednak przyznać, że byle jakie minimum socjalne ma zapewnione każdy. Choć jest to minimum naprawdę byle jakie.

Mimo że byłem cały czas kontrolowany przez miejscowe służby, to udało mi się porozmawiać z 30-letnią Lirą, która pracuje jako pielęgniarka w miejscowym Szpitalu Republikańskim:

- Mimo że jesteśmy placówką numer 1 w Republice, to i tak często nie ma niektórych leków, ludzie przynoszą je sami, nie wiem, skąd zdobywają, może z ChinaHelpu lub KoreAidu. Albo

kupują na czarnym rynku. Jest trudno. Wszyscy zarabiają niby tyle samo, ale wierzuszka partyjna widać, że żyje lepiej. Żeby to zobaczyć trzeba pojechać na drugi brzeg i popatrzeć na wille koło ogrodu botanicznego. Mówimy o tej dzielnicy: zatoka czerwonych świi. Ale nie głośno bo służby działają. A jak wygląda moje życie? Ja wychodzę z pracy o 16.00, po 10 godzinach przy łózkach pacjentów, i później muszę odstać swoje w kolejce, kupić jakieś mięso, czy rybę. Jeśli oczywiście są. Czasem pójde na bazar, tam handlarze mają wszystko! Spekulanci nas okradają, ceny są kosmiczne, nie wiem, kogo na to stać. W normalnych cenach można coś załatwić tylko przez kontakty. Z tego wszystkiego cieszą się głównie starsi ludzie, to dla nich jest ten cały rezerwat, a młodzi, czy w moim wieku, chcą wyjechać. Nie widać tu przyszłości. Wszystko jest zbudowane na kulcie siły i przeszłości. Ile można świętować Dzień Zwycięstwa, czy Dzień Pracowników KGB? - pytała Lira.

Miejscowi zastanawiają się nad wyjazdem, a tymczasem do Republiki przyjeżdżają liczne wycieczki emerytów z całego byłego Związku. Obsługuje ich państwowe biuro InterSovTurist. Gdy chodzą spokojnie po mieście z aparatami fotograficznymi i smartfonami, słuchają przewodników z czerwonymi parasolkami, można odnieść wrażenie, że widzi się wycieczkę dzieci z przedszkola zadowolonych zarówno ze swojego towarzystwa, jak i z tego co widzą. Do tego odwołują się też organizatorzy tego rodzaju kanikuł: „Czy to pamiętasz?” na tle zdjęcia saturatora, czerwonych flag i zakładów przemysłowych. „Zapisz się jeszcze raz na liście kolejkowej, wepchnij się do trolejbusu i posłuchaj przemówienia przewodniczącego” - czytamy w ulotce InterSovTuristu. Turyści mogą zawsze w południe zobaczyć uroczystą zmianę warty pod stelą zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, mogą też raz w tygodniu wysłuchać przemówienia przewodniczącego. Największe zainteresowanie jest oczywiście 1 i 9 maja, kiedy można obejrzeć parady robotników i inteligencji pracującej oraz dzieci weteranów wielkiej wojny ojczyźnianej trzymające znane sprzed lat transparenty: Światu pokój, czy Nigdy więcej wojny! W paradach w Dniu Zwycięstwa idzie jeszcze jedna wyjątkowa grupa: realni rekonstruktorzy.

Co pewien czas władze organizują bowiem tak zwane „realne rekonstrukcje” bitew z lat 1941 – 45, w których biorą udział robotnicy z fabryk należących do oligarchów oraz więźniowie z zakładów karnych, a nawet czasem aresztanci, którzy jeszcze formalnie nie zostali skazani. „Realne rekonstrukcje” mają zgodnie z nazwą być, jak najbardziej zbliżone do rzeczywistości, dlatego trup ściele się gęsto. Ci, którzy zostali wylosowani, aby być po stronie zwycięzców mogą poczuć się, jak swoi pradziadkowie i dziadkowie, którzy doszli do samego Berlina. Jeżeli przeżyli makabryczne rekonstrukcje, biorą potem udział w defiladach 9 maja w strojach weteranów w obwieszonych medalami marynarkach mundurów galowych. Rodziny ofiar, oczywiście jeśli przyszło im walczyć w czasie rekonstrukcji po stronie radzieckiej, też biorą później udział w demonstracji na Dzień Zwycięstwa, w marszu -tak zwanego- „nieśmiertelnego pułku” niosąc przyklejone do dykty powiększone zdjęcia swoich bliskich. Dla wielu z nich to powrót do macierzy, do tego, co mówili im ich rodzice, może dziadkowie. Naturalne środowisko, w którym czują się dobrze i raczej nie chcą z nim teraz zrywać. Ci którzy walczyli w czasie rekonstrukcji jako żołnierze III Rzeszy są chowani w bezimiennych grobach, jeśli ich ciała nie zostały wcześniej wykupione przez rodzinę.

Zazwyczaj ulice Stalino są dość puste, nie ma wielu samochodów, mieszkańców Republiki w większości na nie nie stać. Nie ma także wielu sklepów i restauracji. Te które są nie mają nazw. Królują wywieszki typu: Sklep spożywczy, Restauracja, Kawiarnia, Artykuły papiernicze itp. Z głośników przyczepionych do latarni można usłyszeć pierwszy program miejscowego radia przypominający przemówienia Krasnomira Laniana przeplatane najlepszymi hitami z lat '60-'70 i '80 XX wieku. Na ulicach nie ma reklam, poza plakatami z przewodniczącym.

W Stalino zatrzymałem się w hotelu Stalino. To typowy zwyczaj dla terenów postradzieckich, aby najlepszy w założeniu hotel w mieście nazywać tak, jak miejscowość, w której się znajduje. Chciałem tak naprawdę zamieszkać w hotelu Stadion, który cieszy się lepszą opinią, jednak tam poinformowano mnie, że ze względu na obowiązujące prawo, nie przyjmuje on obcokrajowców. Robi to tylko hotel Stalino, który zapewni mi także meldunek. Tak też trafiłem do tego przybytku, który jak się można domyślić, przypominał to, co było jeszcze w latach '60, czy '70 XX wieku. Recepcja z drewna z żarówkami umieszczonymi nad blatem wyłożonym zielonym

suknem, a za recepcjonistą w kremowej brudnawej koszuli kratka z kluczami, a przy każdym z nich ogromny drewniany dzwon z numerem pokoju.

- Śniadanie jutro od 8 do 08.45, w restauracji na dole, później nie działa, woda gorąca 6-7, zimna 7-8. Wyprowadzić się trzeba od 11 do 11.15, wcześniej czy później, dopłata 50% – poinformował mnie zmęczony jak jego koszula recepcjonista.

- A ile dopłacić żeby mieć jednocześnie ciepłą i zimną wodę? - zapytałem.

- Nic. Trzeba sobie wymieszać. Możemy wypożyczyć wiadro +10% ceny za pokój.

- Ok. To wezmę wiadro – poddałem się. - Gdzie jest winda?

- Winda jest tam.

Podszedłem do windy, próbowałem wcisnąć przycisk, aby wezwać kabinę, ale za każdym razem odskakiwał. Lampka się nie świeciła, nie słychać też było żadnego ruchu.

- Winda nie działa? – zapytałem recepcjonistę.

- Nie działa.

- Nie mógł mi pan powiedzieć?

- Pytał pan tylko, czy jest, a nie czy działa – odparł i zniknął za drewnianą ścianką z kluczy, skąd dobiegał dźwięk telewizora.

W ten sposób wdrapałem się z walizką i wiadrem na piąte piętro po klatce schodowej z lastriko z sałatowymi lamperiami i brudno kremową ścianą. Królował zapach papierosów i farby olejnej. Pokój utrzymany był w tym samym stylu, co recepcja. Uwagę przykuwał telewizor, który miał tylko przycisk włącz i wyłącz. Dostępny był jedyny kanał, Pierwszy Komunistyczny, emitujący wiadomości i stare filmy z czasów Związku. W wiadomościach królował przewodniczący Krasnomir Lanian, który z upodobaniem odwiedzał różne zakątki swojej niewielkiej Republiki z gospodarskimi wizytami. Gdy Krasnomir Lanian przybył do kołchozu Gwiazda Stali i Węgla był zaskoczony warunkami, w jakich żyją świnie, dlatego postanowił na jedną noc zamienić je miejscami noclegowymi z kołchoźnikami i kołchoźnicami. Później wyrażali oni wdzięczność przewodniczącemu za tak mądrą lekcję pokory. “Sława naszej Republice, sława Przewodniczącemu” – mówiła spikerka na tle zdjęć śpiących pracowników kołchozu poukładanych jeden przy drugim w chlewie na brudnym sianie. Jak żyły świnie w ich domach, nie pokazano. Dalej było o rekordach w wydobywaniu węgla, produkcji stali i zbiorach płodów rolnych.

- To wszystko fikcja, żadnych wzrostów nie ma - tłumaczy mi już w Stolicy PK ekonomista Merlis Nauka. - To taki rezerwat, założony dla tych, co tęsknili za Związkiem. Nasi oligarchowie doszli do wniosku, że tak będzie po prostu łatwiej. Zamiast się z nimi sprzeczać, walczyć, zakładamy jeden wielki rezerwat z przestarzałymi zakładami przemysłowymi i ubieramy to w komunistyczne fatałaszki. Taki wentyl bezpieczeństwa. Może lepiej powiedzieć komin, w tym przypadku.

- I ludziom się to podoba?

- A dlaczego nie? Wielu z nich tęskniło za swoją młodością, za tym, co było. Za potęgą, za sprawiedliwością. A młodzi... owszem wyjeżdżają, ale mamy dość dobry program wysyłania do tego regionu byłych przestępców, czy więźniów, którzy dają nadzieję na resocjalizację. Republika to region dotacyjny. Nasze władze do nich dopłacają, ale za to mają ten cały reakcyjny element pod kontrolą.

- Widziałem sklepy, tam prawie nic nie ma poza chlebem i cukrem. Ale ludzie się nie buntują.

- Nie, nie buntują się bo każdy dostaje minimum. Oni jeszcze mają trochę produktów spożywczych ze swoich zakładów pracy. Taki bonus. I jeszcze podlewamy to sosem walki z chińskim imperializmem i do przodu! Aha, i darmowe bilety na futbol. No i święta, 1, 9 maja. Jak tam jest wtedy pięknie...

- To wszystko jasne, ale dlaczego król całego Zagłębia Władlen Barrikad chciał się z nimi połączyć?

- To nie do końca prawda. To była zagrywka taktyczna. Strategia negocjacyjna.

W czasie kongresu to tak nie wyglądało. Wtedy atmosfera była zdecydowanie napięta. Negocjacje odbywały się za zamkniętymi drzwiami, dlatego swoją relację muszę oprzeć na bezpośrednich, choć niestety anonimowych, świadkach tych wydarzeń.

Jak wspominają, sala była niesamowicie duszna. Klimatyzacja głośno pracowała, ale wszyscy w środku palili i nie była w stanie przerobić nagromadzonego dymu. Przy stole jak ustawionych stołach pościąganych z różnych innych sal konferencyjnych siedziała grupa najważniejszych oligarchów: Damir Dazdranagon i Rubin Lengenmir. Szybko dołączyli do nich Lenrud Lagszmiwara i Lestaber Stalen, którego ten pierwszy ściągnął z powrotem z korytarza do stołu negocjacji niemal siłą. Wszyscy oni byli po jednej stronie sali. Po drugiej siedziało 3 innych mężczyzn, z których znany w całym PK był tylko Władlen Barrikad. Reszta to mniejsi oligarchowie ze wschodu, których nazwiska nie czytelnikom nie powiedzą. Pod ścianą stali uzbrojeni ludzie z różnych batalionów. Między nimi Róża Tetori, która pośród wysokich dobrze uzbrojonych mężczyzn wyglądała na jeszcze młodszą i bardziej zgarbioną niż wcześniej. Widać było, że zaistniała sytuacja ją przeraża.

- Nie trzeba było mordować Lorieksa Arwila! - krzyknął wchodząc z powrotem do sali Lestaber Stalen, który był bliskim kolegą zabitego. Razem przeszli trudną szkołę lat '90 i mimo że często znajdowali się po przeciwnych stronach barykady, to doświadczenie pokoleniowe łączyło ich silniej niż podziały biznesowo - polityczne.

- Nie słuchaliście nas. Nie chcieliście z nami rozmawiać – powiedział Barrikad.

- Teraz też nie będziemy was słuchać. Jest jakaś umowa, którą zawarliśmy lata temu. Powołaliśmy pierwsze państwo korupcyjne, z jasnymi zasadami, a wy nam włącznie do pałacu swoimi ubłoconymi butami – rzucił Damir Dazdranagon rysując coś na kartce. Coś co przypominało ogromny zakład przemysłowy, produkujący czarne chmury.

- Nie możemy tyle oddawać do Stolicy. Ludzie się burzą – powiedział jeden z dwóch siedzących po drugiej stronie niższych rangą oligarchów. - U nas na południu codziennie są demonstracje. Ludzie chcą żebyśmy sobie żyli we własnym państwie, a nie płacili nie wiadomo za co do centrum.

- Powiedzmy, płacimy za ochronę, ale od kogo jest ta ochrona – rzucił drugi z dwóch mało znanych. - Chyba nie od Konfederacji EuroAzji – uśmiechnął się pod nosem.

- No właśnie, ona oferuje niższe stawki! - podkreślił Barrikad.

- Ale tam nie ma naszych zasad. Władlen, tutaj jesteś kimś, a tam będziesz nikim. Tam nie ma naszego systemu. Tam cię zmiotą z powierzchni ziemi – ostrzegł Rubin Lengenmir.

- A może my będziemy zaczynem. Dzięki nam właśnie zbudują takie państwo, jak nasze, rozumiecie!? Ale bardziej sprawiedliwe. Sama Konfederacja jest teraz mocno podzielona, poszczególne regiony mogą być zainteresowane naszym doświadczeniem. Centrum u nich już się nie liczy - odparł Barrikad. - Są protesty, są manifestacje i ja mam ciche poparcie dla tych działań z sąsiednich regionów Konfederacji. Ale mówię zupełnie szczerze: to poparcie jest groźne bo oni przysyłają na nasze manifestacje swoich ludzi. Wieszają tam swoje flagi. A tłum za tym idzie. Jeśli nie będziecie szybko działać, nie ustąpicie i ten targ nie zakończy się jakimś rezultatem, to po prostu wszyscy przegramy. I będziemy tam mieć wrogię wojska najpierw u mnie w Zagłębiu, a potem u was w Stolicy.

- Wrogię! Patriota się znalazł. Chyba chciałeś powiedzieć konkurencyjne. Nie trzeba było zaczynać tej całej awantury! Po co było mordować Lorieksa? - powtarzał Lestaber Stalen.

- Ja go kurwa nie mordowałem – Barrikad trzasnął ręką w stół i wstał. Część wojskowych pod ścianą obudziła się z pół snu. - To była prowokacja.

Siedzący dotąd cicho Lenrud Lagszmiwara zabrał w końcu głos. - Ktoś jest przeciwko nam i możemy to stwierdzić prawie na sto procent. Nie możemy jednak stwierdzić, kto to jest. Zachód chce doprowadzić do naszego upadku. Chiny też. Konfederacja EuroAzji ma nam za złe, że to my rozpoczęliśmy radykalną reformę opartą na prawdzie i ciągniemy ich do siebie. U nich cały czas jest fałszywa demokracja fasadowa...

- Weź Lenrud nie pierdol, Kongres się skończył, mów po ludzku: na korupcji – powiedział odchylony na fotelu Damir Dazdranagon.

- OK. Będę się streszczał. Sytuacja jest zła i cały separatyzm rozpoczęty przez Barrikada i jego kolegów wyjdzie mu i nam bokiem. Stracimy kontrolę nad państwem. Trzeba działać szybko.

- A jak mamy działać szybko? - głos zabrał Lestaber Stalen. - Powiedzmy, że to prawda, że to nie on zabił, że jest jeszcze ktoś, trzeci gracz, czy dwaj, a może trzech gracze. Przyjmijmy, że Zachód nie atakuje, nie przysyła prowokatorów. Co więcej, na zachodzie kraju nie mamy protestów, ale my mamy tam największe siły wojskowe! To tam wysyłamy wojsko żeby nie wypuszczało ludzi z kraju. I jak teraz przenieść te siły na wschód? No proszę, ktoś jest na tyle mądry żeby to wyjaśnić?

Zapadła cisza. Jak wspominają świadkowie spotkania, przerwała ją stojąca pod ścianą Róża Tetori.

- Ostrzegałam. Ostrzegałam wielokrotnie, także dziś, a właściwie wczoraj, w czasie Kongresu. Naszych ziem nic nie łączy. Wspólny mianownik to tylko wasza chęć żeby się dorobić i żeby wycyckać mieszkańców do cna. Można było zrobić bardzo ciekawy projekt, który odrodziłby dawne dobre czasy, oczywiście nie aż tak, jak w Komunistycznej Republice Socjalistycznej Węgla i Stali, a nie tylko zamykać ludzi radzieckich w sowieckim rezerwacie. A wy byście sobie działali tak, jak kiedyś. Tych ludzi, z całego kraju, trzeba połączyć wspólną ideą, ale teraz na to jest zapewne za późno.

- Za późno. A co gorsza wielką wspólną ideę, o której mówi pani wszem i wobec przejął nasz wschodni sąsiad. I to on ją odradza. Na swoich warunkach – przerwał jej Lenrud Lagszmiwara.

- To my ją przejmijmy z powrotem. Chciałam przez chwilę przypomnieć historię powołania Komunistycznej Republiki Socjalistycznej Węgla i Stali, która miała miejsce kilkanaście lat temu, a mało kto już teraz o tym wspomina. Proszę sobie przypomnieć, jak na wschodzie, w Zagłębiu, powołano dwie republiki ludowe. Potem udało nam się je zintegrować budując KRSWiS bo rozpadł i osłabił się nasz wschodni sąsiad. Tam właśnie realizowana jest moja idea powrotu do dawnych dobrych czasów. Oczywiście nikt teraz o tym nie mówi i w ogóle najchętniej byście mnie tam wysłali żeby pozbyć się starej baby, ale to się nie uda!

- Bzdury pani gada. To że ludzie tam żyją w tym radzieckim rezerwacie to ich sprawa. Możemy sobie pozwolić na utrzymanie takiego kawałka. Ale nie całego kraju!

- Macie panowie jakieś lepsze wyjście? Poza tym, w KRSWiS na radzieckich zasadach jest oparta gospodarka, a w PK byłaby to tylko ideologia - Tetori oparła się z powrotem o ścianę i poprawiła okulary patrząc na uczestników spotkania. - Gdybyście byli prawdziwymi biznesmenami, a nie grupą alfonsów i szabrowników, wiedzielibyście, że każdy produkt musi mieć wartość dodaną, musi mieć jaką ideologię. Papierosy zniewalają, ale dołączona do nich ideologia to wolność i swoboda. Maszynka do golenia ma golić, a jest symbolem męskości. Wy tego nie rozumiecie, dla was państwo to była taka maszynka, która ma po prostu golić, i papieros, który ma się po prostu palić.

- Pani Tetori! Pani sobie za dużo pozwala. Będzie nas baba uczyć! - rzucił Lestaber Stalen.

- Właśnie! – podchwycili inni. Znow zapadła cisza.

- Jeszcze pożałujecie – powiedziała Tetori i wyszła trzaskając drzwiami.

- Sama pożałuje, prędzej, czy później – rozległy się głosy z sali.

- Może mnie panowie posłuchacie? - odezwał się w tym momencie starszy mężczyzna stojący dotąd przy ścianie. - Jeżeli mogę, chciałbym zabrać głos – To był profesor Adam Pstrix, któremu jakimś cudem udało się wejść na salę. - Wydaje mi się, że mogę wam pomóc – dodał.

- Odkąd to obcokrajowcy mogą zabierać głos w czasie naszych *schodek*? - tu Lestaber Stalen użył słowa jeszcze z lat '90 oznaczającego zebranie grupy przestępczej. Ten oligarcha miał być, według moich informatorów, najbardziej radykalnie i bezkompromisowo nastawiony ze wszystkich uczestników spotkania.

- To jest obcokrajowiec życzliwy. Nasz obcokrajowiec – tutaj Lagszmiwara mrugnął do kolegów oligarchów. - Człowiek, który chce u siebie budować takie państwo, jak my mamy. A przynajmniej poznać jego teoretyczne podstawy i część z nich u siebie wprowadzić – podniósł dwie ręce do góry.

- To niech sobie buduje, a nie miesza się w nasze sprawy – ponownie głos zabrał Stalen.
- Dajmy mu powiedzieć, niech mówi – odezwały się jednak głosy z drugiej strony stołu.
- Niech mówi, niech mówi, choć bierze pieniądze od nas za milczenie, a nie krytykę – pozwolił w końcu Lestaber.

- Dziękuję – odparł Pstrix i zaczął tłumaczyć swoje wyjście z sytuacji. - Przede wszystkim musimy rozebrać to, co się dzieje na kilka wątków. Po pierwsze, po latach wasza umowa oligarchiczna wymaga zmian. Jak widać, regiony się buntują, nie jest ważne, czy za podszeptem kogoś z zagranicy, czy nie. Niezadowolenie i tak jest. Trzeba obniżyć stawki za ochronę. Ogłosić to protestującym.

- Ale dlaczego ja mam ustępować? - zapytał milczący dotąd Rubin Lengenmir.

- Bo jak tego nie zrobisz, będziesz miał zamiast 30% zysków z regionów, zero procent – odparł Lagszmiwara, który był wyraźnie życzliwszy w stosunku do Pstriksa.

- No właśnie. Po drugie, proponuję jednak nie przerzucać wojska na wschód. Jest jeszcze za wcześnie. Sytuacja ma duże szanse się uspokoić, a pan panie Władlen Barrikad musi sobie niestety zdać sprawę, że pan przesadził, że sytuacja wymyka się spod kontroli i może pan stracić wszystko. Po prostu wszystko. A po trzecie, jako teoretyk i wykładowca uniwersytecki muszę podkreślić, że pani Róża Tetori ma rację. To państwo potrzebuje idei. I to nie tylko idei korupcyjnej, ale jakiejś historii, która by łączyła ludzi i jakiejś narracji na przyszłość.

- Może ogłosić ludziom, że jest wojna i że musimy bronić państwa? - rzucił Damir Dazdranagon. - Bo faktycznie jest taka sytuacja!

- A kto cię będzie bronił? Ledwo żywa biomasa, którą doimy, jak się da? - zapytał Rubin Lengenmir.

- Ja im daję dużo! Wypłacam bardzo przyzwoite pensje, dzieci dostają jabłka na 1 września. Nawet zbudowałem stadion. Ludzie jedzą mi z ręki – odparł Dazdranagon.

- Każdy z nas zbudował stadion, ale jak widać ludziom trzeba czegoś więcej – zauważył Stalen.

Zapadła cisza.

- Proponuję podwyższyć im zarobki i obniżyć stawki pobierane przez Stolicę – powiedział Pstrix.

- Nie, to pomyłka, nie będę niczego podwyższać. Mam mnóstwo wydatków i nie stać mnie na to żeby robić podwyżki – rzekł Dazdranagon, który ostatnio bardzo dużo inwestował w Wenezueli i jak pisano w kronikach towarzyskich kupił niewielkie miasteczko nad Adriatykiem w Czarnogórze.

- To dajcie im jakieś paczki. Dajcie im reklamówki z kaszą, z jabłkami, z olejem. Z takimi podstawowymi produktami. Tak, jak to było kiedyś – zaproponował profesor. – To na pewien czas uspokoi sytuację.

W pomieszczeniu rozległ się dźwięk telefonu. To był stary, szary aparat na kabel, jeszcze z tarczą do wybierania numeru.

Lenrud Lagszmiwara spokojnie podniósł się z fotela i podszedł do stolika, gdzie stał telefon. Podniósł słuchawkę. - Władlen, to do ciebie – powiedział odkładając słuchawkę na stół. Barrikad podszedł do aparatu. Powiedział krótkie słucham i potem rzeczywiście nic nie mówił tylko słuchał. Słuchał i niemal bladł w oczach. Dał znak, że chce się napić wody, którą podał mu jeden z ochroniarzy. Wszyscy z napięciem patrzyli na tego postawnego mężczyznę, który wydawał się kurczyć, zmniejszać, aż pojawiły się obawy, że zniknie. Odłożył słuchawkę nic nie mówiąc. Usiadł na krześle i wycodził przez zaciśnięte zęby:

- To już koniec. Zajęli mój dom. W fabrykach pozakładali jakieś dyrektoriaty społeczne, czy coś takiego. Mają broń. Chcą władzy. Panowie, musimy działać.

Znów zapadła cisza. Tym razem trwała ona dość długo. W końcu ogłoszono przerwę. Dwie grupy miały zastanowić się, jakie propozycje im odpowiadają. Lestaber Stalen nawet nie wstał z miejsca i notował coś zaciekle na kartce. Pozostali uczestnicy dyskusji opuścili salę. Ożywione rozmowy toczyły się też na korytarzu skąd, dobiegały podniesione głosy.

Przed salą tłoczyli się wojskowi oraz dziennikarze, czy raczej pracownicy, a może funkcjonariusze mediów, bo tak chyba można nazwać tych, którzy posłusznie pisali i mówili to, co chcieli ich właściciele. Teraz czekali na wynik spotkania na szczycie. Można było odnieść wrażenie, że za swoją lojalność całkiem nieźle zarabiają. Dziewczyny były naprawdę świetnie ubrane, niektóre miały zachodnie i chińskie ciuchy, a inne wyróżniały się wyjątkowo drogim designerskim miejscowym odzieniem. Tu już rzadziej można było zobaczyć tani blichtr, jak poza hotelem. Te obserwacje potwierdziły tylko, że większość „dziennikarzy”, jeśli nie wszyscy, było częścią obsługiwanego systemu. Kamerzyści mieli też bardzo dobry, nowoczesny, sprzęt. Widać, że oligarchowie nie oszczędzili pieniędzy na media. Częściowo wynikało to zapewne z dość dużej konkurencji między nimi. Kanały telewizyjne były armią, która w każdym momencie mogła być wykorzystana do walki. Musiała być na podorędziu. Gdyby doszło do sytuacji zagrożenia, odpowiednie instytucje już były gotowe. Teraz byli zdeorientowani. Zazwyczaj jeździli na nagrania z tak zwanym „zadaniem redakcyjnym”. Mieli dokładnie napisane z kim rozmawiać, kogo nagrać, a potem wysyłali „surówkę”, czyli nieobrobione nagrania do redakcji albo przewidywali czysty tekst, a w centrali robiono wiadomości zgodnie z instrukcjami z góry: od właścicieli albo redaktora naczelnego, który zresztą był w ciągłym kontakcie z właścicielami.

Powoli zbliżał się poranek, czyli czas, kiedy delegaci zjazdu zgodnie z harmonogramem mieli wracać do swoich domów. Kręcili się nerwowo koło recepcji starając się porozumieć z obsługą. Centralne lotnisko zostało zamknięte. Sam wyjazd z hotelu też był mocno utrudniony.

Na pobliskim rondzie kręciło się kilkaset osób odgrywających rolę demonstrantów. Wszystko to miało sprawiać wrażenie nacisku społeczeństwa na oligarchów. Manifestanci przechodzili po pasach w czterech możliwych miejscach, milczeli i raczej ze sobą nie rozmawiali. Ktoś palił, ktoś jadł, a ktoś popijał coś z butelki, czy termosu. Byli jednocześnie w ciągłym ruchu. Niektórzy wyglądali, jakby spali idąc, co nie dziwiło ponieważ pora była jeszcze wczesna. Większość stanowili mężczyźni. Z rzadka w tłumie można było spotkać kobiety. Nikt się nie zatrzymywał. Niektórzy mieli kartki naklejone na plecach z takimi samymi enigmatycznymi hasłami: „Chcemy więcej”, „Nie chcemy mniej”, „Szersze pasy dla ludu”, „Więcej większych mieszkań”. Postulaty nie były zbyt wydumane, trudno je było rozczytać ponieważ najczęściej zostały wydrukowane na niewielkich kartkach formatu A4, najwyżej A3. Niektórzy mieli umieszczone swoje hasła na identycznych deskach z dykty zawieszonych na kijach. Tutaj już format był większy. Wszystkie wyglądały, jakby zostały przygotowane przez te same osoby, w jednej drukarni. Za to postulaty były trochę inne niż u tych, którzy ponaklejali sobie kartki na plecach: „Więcej dla nas, mniej dla Stolicy”, „Chcemy żyć, jak wy”, „Nie słyszycie nas, odejdziemy”, „Barrikad nasz P.R.N.”, czyli Prezes Rady Nadzorczej. Po pewnym czasie zorientowałem się, że tak naprawdę są to dwa wymieszane protesty: ci z mniejszymi kartkami rozrzedzali większą manifestację, tę z większymi hasłami, która została przywieziona przez Władlena Barrikada.

Porozmawiałem trochę z jednymi i z drugimi.

- Jakie mam postulaty? Nie wiem, skąd mam wiedzieć, przecież postulaty mam naklejone na plecach - odpowiedział 60-letni niedogolony mężczyzna, ubrany jak wszyscy jego krajanie płci męskiej w czarne spodnie, czarną skórę i szarą spraną koszulę.

- Wczoraj powiedzieli, że mamy jechać bronić naszego pana Barrikada bo chcą go zniszczyć i może nawet zabić, czyli mogą zniszczyć też nas, a my chcemy żeby nas usłyszeli – mówiła trochę młodsza kobieta, która miała „fabrycznie przygotowany” transparent na kijku ze zdjęciem oligarchy ze Wschodu. W stroju górnika. - Nasz pan mówi, że on nie może nic dla nas zrobić bo Stolica mu zabiera, a ja mam dwoje dzieci i już nie stać mnie na łapówki, ledwo co dają radę, a jeszcze mamę mam w szpitalu. I codziennie po pracy chodzę do niej, za wszystko muszę tam zapłacić. I co? Nic nie mam. Bo wszystko nam zabierają, jeżdżą najlepszymi samochodami, a my nic nie mamy – tłumaczyła.

- Ale Barrikad też ma wszystko – dopytywałem.

- On ma, ale ja wolę żeby on miał niż żeby oni tu mieli w Stolicy bo on jest nasz i on się na pewno podzieli – argumentowała.

Inny uczestnik "protestu", 40-latek, mówił:

- Manifestuję bo mam kurwa dosyć. Wystarczy?

- Nie, nie wystarczy, proszę powiedzieć coś więcej. Pełnym zdaniem, jak w szkole.

- Więcej? Proszę rozejrzeć się dookoła, tyram, tyram i nic z tego nie mam. A ci się zmieniają, jak dzieci na karuzeli. Zginał Lorieks Arwil, zastąpi go inny taki sam. Raz jeden kręci, wszyscy siedzą, potem drugi i inni siedzą. Tak to wygląda, żadnych zmian nie ma. Ludzie się burzą, uciekają, nie chcą już tak żyć, nie widzą żadnego sensu. A oni pozamykali granice, trzymają nas tu jak świnie w chlewie.

W tym momencie przerwała nam około 60-letnia kobieta:

- Żadnej prawdy on nie mówi, kłamie, kłamstwa pan opowiadasz! Pan mu nie wierzy – wzięła mnie za rękę i skierowała dyktafon na siebie. - Wszystko będzie dobrze. Pan Barrikad nie pozwoli nam umrzeć, on nam da więcej, tylko ci tutaj, o tutaj, w Stolicy, nie dają mu i nam żyć. Oni nas nie słyszą!

- Czyli sądzi pani, że radykalna zmiana władzy i systemu nie przyniosłaby poprawy sytuacji ekonomicznej? - zapytałem.

- Broń cię panie Boże, my już mamy dosyć rewolucji, teraz ma być ewolucja, teraz nasi dobrodzieje mają nam zrobić dobrze. I oni na pewno nas nie zdradzą, mówię panu, na pewno. Poza tym, czy u nas jest źle? U was jest gorzej! U was mordują ludzi na ulicach, narkotyki, alkoholizm, co ja telewizji nie oglądam, internetów nie czytam?

Kobieta była wyraźnie usatysfakcjonowana tym, że może się wreszcie wypowiedzieć. Chwilę poczekała, co powie na jej argumenty mężczyzna. Ten jednak właściwie ominął jej tyradę. Kobieta już mu nie przerywała, a po prostu stała i słuchała, jak krytykował rządzących i jak przekonywał, że jednak konieczna jest zmiana władzy i oddanie jej zwykłym ludziom, a nie pozostanie w rękach oligarchów.

- Dwie rewolucje, które u nas były wcześniej do niczego nie doprowadziły. Oni się po prostu zawsze dogadywali. A po co? Żeby nas ruchać w dupę. Ludzie muszą przejąć władzę. Zwykli ludzie!

Kobieta odeszła kręcąc głową z dezaprobatą.

Mężczyzna lat 30:

-Tu zawsze był biznes u władzy. Jak byli jedni, co dorobili się jeszcze w latach '90 wysadzając swoich konkurentów w powietrze, to oni tak robili później ze swoimi konkurentami politycznymi. To znaczy już nie mordowali, ale robili to niby cywilizowanie: sądy, zastraszanie. Ludziom się nie podobało. Później, na zmianę poprzednim, przyszli tacy, co dorobili się produkując zabawki, to się dogadywali po dobroci. To teraz w końcu ten biznes rządzi bezpośrednio.

- Ale to jest teraz, przynajmniej zdaniem rządzących, dobry system, pozbawiony obłudy – staram się użyć argumentów drugiej strony.

- Panie, albo pan jest pożytecznym idiotą i naprawdę pan w to wierzy albo jest pan po prostu idiotą. Im chodzi tylko o zysk.

Wokół ronda stały zielone ciężarówki z wojskowymi oddziałami poszczególnych regionów. One zabezpieczały tłumy i gwarantowały do pewnego stopnia, że nie dojdzie do otwartego konfliktu między grupami demonstrantów i stołeczną policją. Sytuacja przypominała tę, gdy każdy z gangsterów celuje w swojego przeciwnika i koło się zamyka. Poza tym manifestacje w Pierwszym Korupcyjnym były oficjalnie zabronione, dlatego też protestujący krążyli po rondzie, a nie zatrzymywali się.

Trochę dalej zaparkowane były autobusy, które zapewne przywiozły demonstrantów. Część miała za przednią szybą nie tylko podstawowy zestaw złożony ze świecącej diodami nazwy firmy, która wyprodukowała maszynę i świętych obrazków oraz kilkunastu małych flag, ale także powtykane sztandary swoich regionów, czy też zdjęcia ich przywódców i loga ich firm. Wśród tych ze wschodu dominowały fotografie Barrikada w mundurze wojskowym albo galowym strażaka albo świętecznym górnik. Przypominały te robione dzieciom w przedszkolach: kim chcę być, jak dorosnę. Widać było, że miał duże ambicje.

Z rozmowy z dziennikarzem od lat pracującym w PK. Jednym z niewielu zachodnich, który mieszkał tam faktycznie na stałe. Poznaliśmy się w czasie manifestacji. Później już nie udało nam się zobaczyć. Wolał pozostać anonimowy:

- Ja też tak myślałem, że jest ładnie i stabilnie, ale tak naprawdę to jest tutaj drugie dno, o którym my mało wiemy. Zawsze są jakieś tajne negocjacje i zawsze się dogadają, ale nie wiemy, czy nie obchodzi się bez zastraszania i morderstw. Zdarzają się przypadki, że ludzie gdzieś znikają, I to są najczęściej ci, którzy niezbyt lubią obecną władzę. Zresztą ja też kiedyś wierzyłem, że tu się coś zmieni, a teraz widzę, że ci ludzie po prostu nie umieją inaczej, czego nie zbudują wychodzi im KPZR. [...] Teraz jest tu wszystko na powierzchni. Kiedyś istniały tu takie instytucje, jak na przykład Wydział do spraw Kontroli Handlu Narkotykami. Wszyscy się śmiali z tych absurdalnych nazw, a one po prostu odzwierciedlały stan faktyczny. Ten wydział dosłownie kontrolował obrót nielegalnymi substancjami choć oficjalnie z nim walczył. Teraz przejął go jeden z oligarchów. Oni tu raczej stawiają na tranzyt narkotyków, swoich nie trują. Poza spajsami. Te są powszechnie dostępne. Tak, jak alkohol - tani i do kupienia na każdym rogu, choć podłej jakości. Narkotyki to już krok za dużo, destrukcja może nie pozwolić na wykonywanie przez ludzi codziennych obowiązków, chodzenie do pracy. Dopalaczy jest dużo i są tanie, ale powoli to też się skończy. Za mało rąk do roboty.

- Był jeszcze Wydział do spraw Walki z Przeszłością Zorganizowaną – przypominałem.

- Tak, ale tu nazwa była mniej kuriozalna. A wie pan, jak to się teraz nazywa? Wydział do spraw Kontaktów z Przeszłością Zorganizowaną. Częściowo jest to taki kryminalny MSZ ponieważ miejscowe grupy przestępcze są już bezpośrednio zintegrowane z państwem. Stąd w Pierwszym Korupcyjnym można na przykład kupić kradzione na Zachodzie, czy w Chinach albo Korei samochody. Część z nich, szczególnie te gorszej jakości, jest sprzedawana miejscowym. Jeśli auto ma pojechać dalej, na przykład do Konfederacji EuroAzji, jest odpowiednio przygotowywane. Pierwsze Korupcyjne stało się także pralnią pieniędzy. Miejscowy system bankowy jest silnie powiązany z rajami podatkowymi. Wszelkie łańcuszki korupcyjne są doskonale prowadzone przez lokalnych prawników i ekonomistów. Najczęściej ślad urywa się właśnie w tym kraju. Nie działa tu żaden zagraniczny bank, a miejscowa ludność raczej stara się trzymać pieniądze w gotówce. Banki powstają, jak grzyby po deszczu, a giną, jak gąsienice wychodzące na chodniki po deszczu. Najczęściej tego typu operacje mają pomóc w całkowitym zamieceniu śladów. Mieszkańcy wiedzą już, że przypadkową ofiarą mogą być także ich oszczędności.

Dziennikarz sprawiał wrażenie wyraźnie zawiedzionego losami PK:

- Kiedyś wydawało się, że to zwykli obywatele zmieniają władzę. Teraz wychodzi na to, że to władza tych ludzi zmieniła, dostosowała do siebie. Zresztą wiele nie musiała robić. Nawet, jak poprzednicy mówili, że nie trzeba płacić łapówek, że nie wolno, to szara masa i tak nosiła pieniądze sędziom, policjantom i lekarzom. Ci którzy wierzyli, że może być inaczej już dawno wyjechali na Zachód albo, rzadziej, do Chin. Zostali ci, którzy byli przekonani, że jest może i źle, ale gorzej już nie będzie i niczego nie ma sensu zmieniać. Przystosowali się do panujących warunków i każda mocniejsza zmiana mogła pogorszyć ich i tak nie za dobrą sytuację. W kraju zostali też ci, którzy nie mogli nigdzie wyjechać bo mają chore dzieci, czy rodziców i niewielka klasa na nich zarabiająca.

Pytam, jak emigranci wspierają swoje rodziny w PK.

- Tu nie działają międzynarodowe systemy finansowe. Tworzone są jakieś alternatywne, miejscowe, oficjalne sieci, które są kontrolowane przez oligarchów, którzy zabierają nawet do 50% wartości przekazu. Tworzą się też struktury półlegalne, działające z cichą akceptacją władz. Oczywiście nie bezpłatną. Pieniądze zostawia się gdzieś na Zachodzie, w sklepie, w muzeum, w cerkwi, a adresat odbiera sobie odpowiednią sumę w podobnej „placówce” w Pierwszym Korupcyjnym. Właściwie to już wszystko jest oficjalne, należy do miłośników rządzących.

Nasza rozmowa musiała się zakończyć bo na placu przed hotelem wyraźnie zwiększyła się liczba ludzi. Świt już powoli mijał a na rondo przyjechali miejscowi, którzy skorzystali z byle jakiego, ale jednak, transportu publicznego, który został uruchomiony po nocy. Na miejsce przyjechały też kolejne partie robotników pozwożonych podstawionymi przez właścicieli

autokarami. Tłum czasami ożywiał się w momencie, gdy co bardziej aktywni uczestnicy wznosili hasła: „Więcej dla nich!” - krzyczeli. A reszta odpowiadała: „Więcej dla nas”. „Nasze mieszkanie?”, odpowiedź: „Nie ma miejsca na śniadanie”. Co pewien czas wykrzykiwano też nazwiska miejscowych oligarchów. Wszystko to wyglądało na dobrze wyreżyserowane przedstawienie.

W pewnym momencie ludzie zatrzymali się. Na monitorach wyświetlających dotąd reklamy sklepów second-hand, na przemian z ekskluzywnymi butikami sprzedającymi horrendalnie drogie ciuchy i buty, pojawiła się biała plansza z czarnym napisem: Przemówienie nowego prezesa Rady Nadzorczej Państwa. I tyle. Bez nazwiska, bez szczegółów. Oznaczało to, że prawdopodobnie porozumienie zostało osiągnięte.

Wielki ekran cały czas świecił na biało. Widać było tylko czarny napis zapowiadający przemówienie. Ludzie zaczęli odwracać się do niego, przerywać rozmowy tak, jak przerwali wcześniej absurdalne krążenie po rondzie. Na ekranie pojawiły się paski w kolorach tęczy, a potem lekko trzęsąca się kamera pokazała Władlena Barrikada, a obok niego stojącą... Różę Tetori. Z jednej strony był to zatem ukłon w stronę regionów, a z drugiej w kierunku tych, którzy tęsknili za starymi dobrymi, według nich, czasami. Za dwojgiem stali główni oligarchowie z Rady Nadzorczej Państwa, jeszcze za nimi ci mniejsi rangą z regionów. Barrikad był wyraźnie zdenerwowany. Chyba nie spodziewał się, że sprawy zajdą tak daleko. W rękę miał kartkę z tekstem przemówienia, czekał na znak zza kamery. Można było usłyszeć krótkie „jesteśmy na wizji” i nowy przewodniczący Rady Nadzorczej Państwa mógł zacząć. Starał się nie czytać z kartki, choć wychodziło mu to bardzo opornie. Często do niej zatem zaglądał, czasem mając problemy z odczytaniem napisanego tam tekstu.

- Moi współobywatele, towarzysze. W obliczu zagrożenia bezpieczeństwa państwa postanowiliśmy zjednoczyć swoje wysiłki na rzecz jego wspólnego dobra: naszego dobra i waszego dobra. Nie czas teraz na separatyzmy, a czas na wielkie zjednoczenie. Wczoraj w niecny sposób został zamordowany nasz dotychczasowy przewodniczący Rolieks Arwil. Człowiek, który kontrolował nasz cały kraj. Nie wiemy, kto za tym stał, ale zrobimy wszystko, aby to wyjaśnić. Rada Nadzorcza Państwa została teraz rozszerzona o moją skromną osobę, a ja sam zostałem wybrany na jej przewodniczącego – tutaj Barrikad musiał przełożyć kartki, rozejrział się po tych, którzy stali za nim, jakby czekając na ich zgodę na kontynuację. Lenrud Lagszmiwara lekko kiwnął głową. Władlen mówił dalej:

- Teraz przejdziemy do konkretów bo to jest najważniejsze, chyba. Więc tak: ustaliliśmy, że przywódcy regionów będą zostawiali więcej sobie, czyli więcej też będzie dla was, dla zwykłych mieszkańców, a mniej będziemy oddawać Stolicy. Czyli do centrum będzie mniej pieniędzy szło – tutaj składnia dała znać, że mamy do czynienia z przedstawicielem prowincji. Mogło to się jednak spodobać miejscowej ludności, która widziała w nim „swojego chłopca”, a nie wypacykowanego w Chinach za ich pieniądze gogusia, jak jego poprzednik. - I dlatego ja i moi koledzy z regionów postanowiliśmy pozostać w PK i opowiedzieć się za integralnością terytorialną naszego państwa. A wy zostaniecie razem z nami. I będziemy razem budować nasze państwo, które jest też po części wasze. Jak już mówiłem: więcej dla nas, to więcej dla was.

Tłum stojący przed hotelem zaczął nieśmiało bić brawo. Rozległy się jednak także niezbyt życzliwe okrzyki: - Niech nam coś dadzą, niech dadzą więcej już teraz! - krzyczał jakiś starszy mężczyzna ubrany, jak zresztą wszyscy inni, w czarną wiatrówkę, czarne, niemal szare, wypłowiałe spodnie i tego samego koloru przydeptane zakurzone buty ze zwężającym się kwadratowym czubem.

- Podjęliśmy decyzję, że każdy obywatel dostanie od nas teraz, już w ciągu tego miesiąca, pakiet spożywczy, w którym znajdują się różne produkty: olej, kasza gryczana, mleko zagęszczone, może makaron. No tego typu rzeczy, które wam się przydadzą żebyście mieli co jeść.

Tutaj słowa nowego przewodniczącego zgubiły się w owacjach tłumu. Niektórzy starsi ludzie mieli łzy w oczach. - Mówiłam, mówiłam wam, że oni nas nie zostawią – krzyczała do mnie starsza kobieta stojąca koło mnie. - To są ludzie dobrego serca, pan Rolieks też nam kiedyś dał takie paczki – przypominała inna.

- Jak dobrze pójdzie, to będziecie takie pakiety dostawać częściej, później – kontynuował. - Dlatego wzywam wszystkich do tego żeby przestali protestować. Wracajcie do naszych zakładów, kombinatów i kopalń i pracujcie. Ci którzy zostaną na placach to będą albo przysyłani majdanarbeiterzy z Konfederacji EuroAzji, a może nawet z Chin, czy Zachodu albo zdrajcy naszej ojczyzny. Na jedno zresztą wychodzi. Radzę im się szybko zmyć z naszego kraju bo niedługo na wschód naszego państwa przybędą nasze oddziały. Żeby bronić nas przed zarazą separatyzmu, która przychodzi zapewne od naszego najbliższego historycznie sąsiada. My wiemy, że ludzie tam, w Konfederacji, też cierpią, że tam cierpią nie tylko wasi ludzie, ale i nasi ludzie. Tamtejszy biznes. Dlatego my mówimy im: dołączcie do nas. U nas będziecie płacić uczciwe procenty od transakcji. Otwarcie dawać łapówki. Sprywatyzujcie swoje państwo tak, jak my swoje! Dostyc uzurpacji władzy przez pojedynczego polityka. Prywatyzacja to demokracja. Powiem tak – Władlen znów rozejrzał się po swoich kolegach, a ci pokiwali głowami.

- Chciałem dodać jeszcze jedno. A właściwie opowie o tym pani Róża Tetori, która ma być moją oficjalną doradczynią do spraw ideologii.

Kamera dość nieudolnie przemieściła się z jednej twarzy na drugą.

- Tak, witam państwa. Chciałam podziękować panu Władlenowi za to, że dał mi tak ważne stanowisko. Pierwszy raz kobieta w PK osiągnęła tak wiele. Ale, przejdźmy do rzeczy, pamiętacie wspólne państwo, w którym kiedyś zgodnie żyliśmy: lody, czekoladę i programy telewizyjne dla dzieci. Później dorastaliśmy: Dzień Mężczyzny, Dzień Kobiet, 1 maja, Nowy Rok! 9 maja, Dzień Zwycięstwa. Jedyne prawdziwego zwycięstwa. To wszystko było nasze. I nadal będzie. Ale nadamy mu nową siłę! Nasze wspólne państwo narodziło się ponad 10 wieków temu w naszej Stolicy i teraz pytam się, dlaczego to oni tam na wschodzie mają mieć monopol na jego odrodzenie – Róża Tetori wyraźnie się rozkręcała. Wreszcie ktoś dał jej nadzieję, że będzie mogła zrealizować swoje marzenie o powrocie do własnego dzieciństwa. Ludziom też się podobało. Wszyscy chcieli znów żyć w utraconym raju własnej bądź swoich rodziców młodości.

- Komunizm! To była ideologia. Wielka ideologia. Na czym ona polegała? Na tym, że wszystko było wspólne. Było nasze! I wcale nie odeszliśmy od tego za daleko bo takie jest też teraz nasze państwo. Ono należy do nas wszystkich. Do naszych oligarchów, do których należymy my. Czyli państwo pośrednio jest nasze. I tu jesteśmy nadal bliscy komunizmowi. To u nas panuje równość, to u nas każdy płaci tyle, ile może. A co jest u nich, na tak zwanym prawdziwym wschodzie, czyli w Konfederacji EuroAzji?! Drapieżny kapitalizm! - zgromadzeni kiwali do tych słów głowami. Niektórzy nawet klaskali. - U nich jedna klika na czele z jednym człowiekiem zmonopolizowała cały kraj, rozpełzając się, jak rak po wszystkich podmiotach Konfederacji. To ma być władza ludu pracującego? Nie! To władza pasożytów, którzy żerują na tym narodzie. Właściwie to jednego pasożyta! – Róża Tetori jeszcze dalej podwyższała głos. - Dlatego my apelujemy do naszych braci ze Wschodu. Powstańcie! Powstańcie i dołączcie do nas. To my będziemy nowym centrum nowego Związku. Nie dajcie się okradać. Bądźcie z nami!

Paradoksalnie tego komunikatu nikt w sąsiednim państwie nie mógł usłyszeć. Była tam taka sama blokada informacyjna, jak tutaj. Chyba że tak naprawdę przekaz został skierowany do mieszkańców Pierwszego Korupcyjnego, aby pokazać jego potencjalną wielkość i możliwość przyciągania nowych terytoriów.

Tetori mówiła nadal, choć tłum już słuchał mniej, a coraz głośniejszy był szum komentarzy.

- Ideologia zacznie teraz rządzić tym państwem. Będziemy mieć własne seriale nie tylko o plusach korupcji, ale też o tym, jak żyliśmy i jakie mamy szanse na powrót do tamtych czasów. Wróci prawdziwa pamięć o wojnie, o wielkich rocznicach. Obecna Rada Pamięci Walk, która skupiała się głównie na stawianiu pomników zabitym w czasie budowy kapitalizmu lat '90, znów zajmie się wielką wojną ojczyźnianą i pamięcią o niej. Ja wiem, że trochę odchodzę od tematu, ale to są rzeczy ważne, które dotąd wydawały się nieważne – ostatnie zdanie wtrąciła spokojnie.

- Pani Różo, proszę kończyć – można było usłyszeć zza kadru.

- Dlatego kończę i mówię wszystkim: bądźcie z nami! Naprawdę warto.

Głos zabrał Władlen Barrikad, nowy przewodniczący Rady Nadzorczej Państwa:

- To, co powiedziała pani Róża, towarzyszka Tetori, to jedno z haseł naszego państwa: „Bądźcie z nami, naprawdę warto!”. Bierzemy się do dzieła.

Wyłączono dźwięk, postacie na ekranie zaczęły się rozchodzić, rozmawiać ze sobą. Po chwili znów pojawiła się tęczowa zastawka, a potem ekran zrobił się biały.

Kręcący się po placu lepiej ubrani mężczyźni odbierali telefony z instrukcjami. Włączono silniki autobusów. Tłum powoli, jak na odgórne polecenie, zaczął się rozchodzić. Ludzie rzucali transparenty prosto na ziemię. Wyrzucali kubki po kawie i wsiadali do swoich brudnych rozwalających się maszyn. Ci którzy się ociągali byli poganiani przez kierowników “zakładowych wycieczek na demonstrację”. Na rondzie zostali tylko miejscowi, którzy też powoli się zbierali. Musieli wracać do pracy, do “swoich zakładów” należących do ich oligarchów.

Ci którzy chcieli zostać na rondzie i protestować dalej, ponieważ zaproponowane rozwiązanie im się nie podobało, byli nagabywani przez grupki mężczyzn w czarnych podkoszulkach z bronią przy pasie. Ci wyprowadzali ich poza plac do zaparkowanych ciężarówek z ciemno zielonymi plandekami. Nie wszyscy chcieli iść sami z siebie, niektórzy byli popychani przez tajniaków.

W ten sposób Pierwsze Korupcyjne zostało po raz kolejny uratowane.



Rozdział XII , w którym dowiadujemy się jaka przyszłość będzie czekała PK i odwiedzamy Półwysep

- Nic się nie zmieni, będą tylko niewielkie modyfikacje systemu – zapewnia mnie tydzień po nieudanym przewrocie politolog Wektor Dazwsemir. To wyjątkowy człowiek w PK. Szary kardynał tego parapaństwa.

Rozmawiamy w jego przestronnym luksusowym biurze na XIII piętrze wieżowca w centrum Stolicy. Zza jego pleców obserwuję sznury samochodów jadących z jednego na drugi brzeg. Każdy pas swoim tempem w zależności od opłaconej winiety. Wektor Dazwsemir jeździ pasem dla wybranych. Z jego usług korzystają wszyscy oligarchowie, najczęściej właśnie w przypadku sporów między sobą, takich do jakich niedawno doszło.

Kiedyś, jeszcze w latach '90 XX wieku, był politologiem na miejscowym uniwersytecie i zajmował się polityką czysto teoretycznie. Później zajął się technologią polityczną, czyli politykę produkował doradzając wielkiemu biznesowi i politykom. Teraz jest po prostu doradcą oligarchicznym.

- Polityczna technologia to był wymysł lat '90 i początku XXI wieku. Żeby ona istniała musi istnieć polityka, demokracja, a od czasu porozumienia oligarchicznego tej polityki nie ma – podkreśla. - Ja z tego powodu nie płaczę, taki jest po prostu bieg świata – dodaje filozoficznie.

Wektor Dazwsemir ma około 80 lat. Jego rodzice przyjechali do Stolicy z Bliskiego Wschodu jeszcze za czasów Związku, z jednego z bratnich państw. Ma długie, niemal całkowicie siwe już włosy i brodę. Zawsze występuje w tym samym brązowo-szarawym garniturze. O tym, że jest człowiekiem statecznym świadczy dobry zegarek, biuro oraz przepustka najwyższej rangi. I winieta umieszczona na luksusowym chińskim aucie z cyfrą 99. Czyli zniżka 99% na wszelkie łapówki.

- Polityka zmarła ostatecznie tydzień temu, wraz z próbą przewrotu. Nasz system dostał ostatnie szlify. Takie szlify ostatnią krwią – uśmiecha się pokazując szaro-czarne pieńki zębów. Pali jednego papierosa za drugim cały czas pijąc kawę.

- I co to oznacza? Musi być jakiś wentyl bezpieczeństwa – pytam.

- Te wentyle są, tylko pan ich nie widzi. Po pierwsze ja jestem takim wentylem, regulatorem życia oligarchicznego. Po drugie, dla ludzi mamy pewien margines wolności. W końcu to nie Korea Północna, nie wiem, czy pan pamięta takie państwo...

- Pamiętam.

- U nas ludzie są inni, trochę porywcy, ale i tak ich uspokajamy. Mamy odpowiednie technologie.

- Technologie?

- Nie mogę więcej powiedzieć, ale są pewne środki, które można stosować na masową skalę nie niszcząc ludzi. Proszę jednak nie drażnić tematu.

Nie drażyłem i tak wiedziałem, że nie mi nie powie. Tego człowieka rozsadzała ogromna wiedza. Pokazywał, że wie więcej i nie może nic powiedzieć. Nie mógł się nią podzielić ponieważ zostałby później po prostu zlikwidowany. Cierpiał zatem gromadząc wszystko wewnątrz siebie i czasem wypuszczając nieliczne informacje.

- Co pan mi zatem może powiedzieć? - powiedziałem odsuwając od siebie szklankę z wodą podejrzewając, że może właśnie tam leży klucz do pozornego spokoju w Stolicy. Mówili o tym wcześniej nieliczni opozycjoniści, bądź też konkurenci biznesowi obecnej grupy, którzy musieli uciec na Zachód, ale mało kto im wierzył: do wodociągów miano dodawać substancje tłumiące agresję. - Niech pan mi powie, gdzie są ci wszyscy ludzie, którzy zaginęli po zesłotygodniowych wydarzeniach – pytam. Gdy szedłem do Wektora Dazwsemira mijałem dziesiątki ogłoszeń: „Poszukiwany”, „Zaginiony”, „Nie wrócił do domu”. Oblepione są nimi wszystkie słupy w centrum obok typowych ogłoszeń „Skupujemy chłam”, „Kupimy włosy. Co najmniej 50 centymetrów”, czy „Stare zegarki kupię”.

- Widocznie nie mogli wrócić do domów. Może się ukrywają. Lata '90 XX wieku już dawno się skończyły. Świat jest teraz inny.

- I ludzie nie są porywani?
- Według mojej wiedzy: nie – podkreślił, ale jego oczy jednocześnie ześlizgnęły się z mojej twarzy i spoczęły na zegarze za mną.

- Nie kończmy jeszcze?

- Nie, nie kończymy.

- Niech pan mi opowie, jaka będzie przyszłość – zapytałem dochodząc do wniosku, że o dniu dzisiejszym niczego się nie dowiem.

- OK. Pobawię się trochę we wróżkę bo to łatwe. Nic się nie zmieni. Niemal nic. Ta władza już jest wieczna i nic jej nie zmieni. Kiedyś było tak, że udawano zmiany, niby odbywały się wybory demokratyczne, ale pozostawaliśmy w tym samym zamkniętym kręgu. Czym to się różniło od autorytaryzmu? Niczym. Cały czas żyliśmy w tym samym środowisku lekko zmieniając fasadę. Teraz nic, a nic się nie zmienia.

Jego słowa potwierdziły tylko moje obserwacje - w ciągu niemal tygodnia „separatyzm” prawdziwy, czy tylko „teatralny” zniknął. Nie było już nawet mowy o połączeniu Zagłębia z Komunistyczną Republiką Socjalistyczną Węgla i Stali. „Nasi rządzący pokazali, że dla nich najważniejsze jest dobro robotnika. Dobro tego, który musi gdzieś pracować. Oligarchowie stanęli murem za ludem pracującym i jego rękami odbili te fabryki i kopalnie, które chcieli nam zabrać nasi niecni współobywatele i sabotażyści z zagranicy” – komentowała telewizja. Jednostki wojskowe należące do oligarchów, przed którymi murem szli robotnicy żądający „oddania naszych fabryk”, wchodziły do kolejnych miast i miasteczek wprowadzając tam wyjątkowo surowe porządki. Sytuacja się odwróciła bo w przygranicznych regionach Konfederacji EuroAzji coraz częściej pojawiały się głosy opowiadające się za dołączeniem do Pierwszego Korupcyjnego. Kolejne zachodnie obwody Konfederacji przyjmowały decyzje o całkowitej niezależności, a następnie o dołączeniu do Pierwszego Korupcyjnego. Jednak te próby były szybko pacyfikowane. Wbrew pozorom centrum Konfederacji EuroAzji miało jeszcze siłę.

- Widzi pan i to tylko tydzień. Ludzie chcą żyć w państwie złodziei, ale własnych złodziei. Państwie, gdzie wszyscy wiemy, kto i ile zabiera dla siebie – mówił mi Wektor Dazwsemir.

- Ale ludzie to dla władz bydło. To po pierwsze.

- Ale bydło nie wie, że jest bydłem. Rządzący mu tego nie powiedzą, media też, a resztę uspokajamy.

- Te próby uniezależnienia się w Konfederacji też kończą się dość szybko.

- To prawda, ale za parę lat władza centralna tam osłabnie i wtedy wejdziemy my! My ich pociągniemy. Jesteśmy tym, co już było, tym co podświadomie lubią i za czym tęsknią. Tylko jeden przykład. Pewnie nie widział pan filmu sprzed kilku lat o tym, jak młody naukowiec z przeszłości, z czasów Związku, przenosi się w czasie do Pierwszego Korupcyjnego. I on mówi, że to jest bardzo podobny system do tamtego, w centrum stawia dobro i bogactwo człowieka. Naród jest zarządzany przez niewielką grupę z komitetu centralnego. Czym to się różni od sytuacji dziś? Niczym.

- Co z polityką zagraniczną? Nie można wiecznie istnieć w próżni.

- Nie musi się pan martwić. Wszystko będzie dobrze. Jest wielu ludzi na świecie, którym takie państwo, jak nasze jest potrzebne: kraje wchodzące w skład Konfederacji EuroAzji, najbiedniejsze kraje Azji i Afryki i oligarchowie stamtąd. Wiele państw byłego Związku jest zainteresowanych współpracą z nami. A panu radzę się nie martwić, a po prostu zrelaksować. Może wyjazd na Półwysep? Tam jest idylliczna wspólna ziemia oligarchów...

Jak powiedział, tak zrobiłem. Na drugi dzień kupiłem bilet lotniczy na Półwysep, jedyne terytorium PK, poza Stolicą, zarządzane wspólnie przez wszystkich najważniejszych biznesmenów. Zanim tam trafiłem udało mi się obejrzeć stołeczne lotnisko. Sprawiało wrażenie czegoś pomiędzy aeroklubem dla samolotów rolniczych i transportowych, a małym lotniskiem w prowincjonalnym mieście Zachodu. Gdy samolot lądował, podjeżdżał wiekowy autobus, a czasem była to naczepa do przewozu ludzi na ciężarówce, która zabierała pasażerów w daleką podróż do terminalu. Czasem trzeba było iść piechotą, były bowiem dni, gdy samolotów było zbyt mało, aby utrzymać pracowników czekających w pogotowiu. W oddali widać było niewielki terminal przeznaczony dla miejscowych oligarchów wykonany w stylu aluminium i szkło popularnym na początku lat '90. Na

szczęście nam trafił się autobus, który wioząc nas do naszego samolotu miał niewielkie awionetki należące do biznesmenów, a także wysłużone transportowce, które latały głównie do Afryki i biedniejszych państw Azji. Swoją obecnością pokazywały, że jednak udało im się wyrwać z piekła, wykonały swoją misję, a miejscowi piloci, w razie awarii, wylądują nawet na polanie otoczonej drzewami. Na lotnisku widać też było zwykłe samoloty pasażerskie, było ich jednak niewiele. Większość pochodziła z krajów, które przez -tak zwany- cywilizowany świat były uznawane za dzikie i trudne do zrozumienia leżące gdzieś poza cywilizacjami europejską i chińską. To był po prostu margines wielkiego świata. Na niektórych budynkach wisiały hasła reklamujące PK: „Wasze bogactwo, to nasze bogactwo”, „Biednemu zawsze wiatr w oczy, bogatemu pieniądź”.

Samolot, którym leciałem pełen był właśnie tych ostatnich, czyli bogatszych mieszkańców PK. Standard maszyny nie odbiegał od chińskiego, czy zachodniego. Głównym tematem były oczywiście wydarzenia ostatnich dni. Rozmawiano cicho, pod nosem i raczej ze strachem, co będzie dalej i czy znów po latach stabilności nie dojdzie do rewolucji, a może nawet otwartego konfliktu. Tego najbardziej obawiał się biznes.

Lotnisko w stolicy Półwyspu było nowocześniejsze niż w samej stolicy PK. Uwagę zwracała wysoka na 10 metrów żywa ściana z roślin. Funkcjonariusze policji dokładnie przyglądali się przyjeżdżającym. Półwysep miał być rajem, którego istnienie nie powinno być niczym zakłócone. Obsługa miała plakietki z różnego rodzaju hasłami: „Daj mi, ja też muszę potem dać”, „Naprzód do oligarchizmu”, „Służę ... [tutaj wymienione było imię i nazwisko oligarchy, dla którego pracował dany funkcjonariusz]”. Praca na lotniskach była organizowana bowiem tak, że każda zmiana oddawała pieniądze konkretnemu członkowi Rady Nadzorczej Państwa.

Sam Półwysep rzeczywiście wydawał się rajem. Świetne drogi, piękne krajobrazy z wysokimi górami schodzącymi niemal do morza. Na wybrzeże dojechałem pociągiem – trasę wybudowała firma z Ghany, która wykorzystywała sprowadzone wcześniej do Afryki chińskie technologie. Chińczycy bali się bezpośrednio inwestować w PK. Podobnie, jak inni zagraniczni biznesmeni, obawiali się przede wszystkim tego, że ich prawa nie są w żaden sposób zabezpieczone, a utworzone przedsiębiorstwo może zostać w każdej chwili zabrane. Firma z Ghany należała do funduszu inwestycyjnego West East Virgin Polnix Zbyt, który był wspólnym przedsięwzięciem biznesmenów wchodzących w skład Rady Nadzorczej Państwa.

Na Półwyspie widać było, że jest to miejsce, w które inwestuje cały biznes z PK. Udało mi się zobaczyć nie tylko elegancką kolej, ale też jeździłem miejscowymi autobusami. Maszyny były nowe, zadbane. Na poboczach zbudowano eleganckie wiaty, w których miejscowa ludność sprzedawała arbuzy, melony, brzoskwinie i wszystko, co można było tutaj wyprodukować. Co kilkanaście kilometrów wyrastały zajazdy z tradycyjnymi szaszłykami. Z dala od szosy majaczyły średniej wielkości zakłady przemysłowe. Niektóre postawione w dość dziwnych miejscach, jak na przykład, elektrownia znajdująca się w niecce wśród gór. To jednak dzieło nie miejscowych władz, a jeszcze okupacyjnych z ówczesnej Rosji po zajęciu Półwyspu w 2014 roku. Został on odbity w 2024 roku. I to bynajmniej nie siłą, a kupiony za pomocą zwykłej, choć wyjątkowo dużej, łapówki. Zbiegło się to z nagłym zgonem ówczesnego prezydenta Rosji. Przypadek? Nie sądzę.

- To był bardzo dobry krok i my jako miejscowa ludność orientalna, czyli jak się mówi obecnie Orientyści, jesteśmy bardzo wdzięczni PK, że znów nas wzięli pod swoje skrzydła – mówi mi przywódca tej ludności 60-letni Awangard Bosfor w zbudowanym jeszcze latach '50 XX wieku budynku rady obwodowej. Teraz pełni funkcję przewodniczącego miejscowej Rady Oligarchów, czyli de facto rządu, który właśnie tutaj ma swoją siedzibę. To bowiem na ludność orientalną postawili oligarchowie ze Stolicy wiedząc, że na miejscowych Słowian nie ma co liczyć. - Myśmy się tyle nacierpieli za okupacji. Ludzie ginęli, porywano ich, wsadzano do więzień – przypomina.

- Czy teraz jest lepiej?

- Tak, oczywiście. Już nas nikt nie porywa. Możemy posługiwać się własnym językiem, kultywować tradycje. To jest teraz nasz Półwysep! Choć oczywiście do władzy dopuszczamy też Słowian. Nie będziemy się mścić. A w ogóle, dlaczego pan zadaje takie dziwne pytania. Nie interesuje pana rozwój Półwyspu? Tutaj mamy czym się pochwalić.

Wysłuchałem z grzeczności, to co Awangard Bosfor miał do powiedzenia o tym, jak rozwijają się podległe mu ziemie. Rzeczywiście odzyskanie kontroli nad Półwyspem łączyło się z polepszeniem sytuacji gospodarczej. Oligarchowie ze Stolicy zrobili sobie tutaj mały raj. Pośrednio było to związane z tym, że liczne sankcje i krążące po całym świecie listy gończe uniemożliwiały im wyjazd do wielu zagranicznych kurortów. Na Półwyspie nie było widać biedy, przestrzeń publiczna była wyjątkowo uporządkowana, na ziemi nie można było znaleźć żadnego papierka, czy suchego liścia. Jeśli taki się pojawiał był od razu zmiotany przez brygady słowiańskich sprzątaczy.

Słowianie pracowali też jako kierowcy, kucharze, budowlańcy, czasem sprzedawcy w sklepach. Ich interesy reprezentuje Związek Słowian Południa przy miejscowym rządzie. Organizuje występy muzyki ludowej, kupuje stroje, co rok przeprowadza konkurs recytatorski imienia Trzech Słowiańskich Wieszczów. Jego przedstawiciele biorą także udział w oficjalnych uroczystościach. De facto tego rodzaju organizacje nie mają żadnego wpływu na prowadzoną przez władzę politykę.

Są jednak tajne, działające w podziemiu, organizacje. Do jednej z nich udało mi się trafić za pośrednictwem pewnego panslawisty z Warszawy. Nie było to łatwe ponieważ służby specjalne na Półwyspie są o wiele bardziej zmobilizowane niż na kontynencie. W raju musi być spokój. Rozmawiałem z osobą, która przedstawiła się jako emerytowany generał, 82-letni Romblen Feldz. Spotkaliśmy się na jednym z ogródków działkowych, gdzie obecnie spędza większość swojego czasu. Weszliśmy do niewielkiego drewnianego domku, gdzie było znacznie chłodniej niż na upalnym dworze.

- Zrobię panu herbatę – powiedział i postawił przede mną szklanki w metalowych koszykach z wybitymi na nich wielkimi zakładami przemysłowymi czasów Związku. Widząc moje zainteresowanie, powiedział z zachwytem:

- Tak, tak, to były czasy! Wtedy było wszystko i trzymaliśmy za mordę tę orientalną hołotę!
- Gdzie pan wtedy pracował?

- W szeroko pojętych organach. Były czasy, były, wszystko było i kiełbasa po 5 kopiejek i w kosmos lataliśmy. Od 1991 do 2014 mieliśmy małą przerwę – chaos, biedę, ale później nas uratowali, a potem znów nas sprzedali, ale my jeszcze będziemy rządzić. Mówię panu!

W jego domku stały niewielkie flagi, jedna czerwona z sierpem i młotem i niebieskim paskiem na dole, a druga trójkolorowa: białe niebiesko czerwona. Na ścianach widniały portrety przywódców Konfederacji EuroAzji i praporce kilkunastu różnych organizacji z czasów Związku i późniejszych.

- Co pan chce ode mnie się dowiedzieć? - zapytał, gdy w końcu przygotował herbatę i postawił na stole ciastka o nazwie "Do herbaty".

- Chcę wiedzieć, jak wam się żyje. Jak żyje się ludziom, którzy do niedawna tu rządzili.

- Mi żyje się dobrze, mi wiele już nie trzeba. Ale chodzi o młodych. Ja chcę żeby im było lepiej, a teraz przyszli ci, dla których ważne są tylko pieniądze. Oni nas kupili. I ten orientalny pomiot też.

- Nie za ostro się pan wyraża?

- Skąd. To oni u nas służyli, my ich trzymaliśmy pod butem. Panie, jakie to były u nas przesłuchania! Jak my im tłumaczyliśmy, jak ma wyglądać świat. A teraz... Teraz oni się odkuwają na nas, robią to samo. Czy tu są jakieś prawa? Nie ma i nie będzie, w najbliższym czasie. Sądzę, że rachunki krzywd się wyrównały i teraz powinniśmy stanąć ramię w ramię – Słowianie i Orientyści.

- Ale pan się o nich tak wyraża, że wątpię żeby chcieli z panem współpracować. Poza tym teraz Orientystom jest dobrze – zauważam.

- Nie do końca. Oczywiście oficjalna linia jest taka, że jest im dobrze, że oni tu rządzą, itp. Ale tak naprawdę ludzie mają dość wyzysku. Chcą sprawiedliwości. Nie chcą być instrumentem w rękach władzy i wielkiego biznesu.

- Orientyści zapomnieli, co im zrobiła władza radziecka, a potem rosyjska?

- Są tacy, którzy z nimi współpracowali.

- Kto wam może pomóc?

- Na pewno nie Stolica, oni stamtąd tego nie widzą, przyjadą najwyżej odpocząć, i tyle. Zresztą, to oni stworzyli ten system. Konfederacja EuroAzji to kilkanaście ksiąstewek, co prawda jeden silny władca, ale oni mają własne kłopoty. Czasem myślę żeby to wszystko rzucić i przenieść się do Komunistycznej Republiki Socjalistycznej Węgla i Stali. Ale mam tutaj, co robić i nie mam na myśli uprawy pomidorów – spojrzał przez okno na równo podwiązane krzaczki. - Organizuję tajne pokazy filmów, jak to było kiedyś na Półwyspie, oglądamy stare kroniki filmowe z lat '70-'80 XX wieku, gdy nasz kraj, nasz wspólny kraj był potęgą. Wspominamy czasy po 2014 roku: budowę nowych dróg, zakładów pracy, mostu łączącego z kontynentem – Romblenowi Feldzowi załamał się głos, odwrócił wzrok i spojrzał na koszyczki od herbaty z radzieckimi zakładami pracy.

- Most się zawalił w 2025...

- Zawalił się bo nikt o niego nie dbał. Ale my to jeszcze zmienimy, jeszcze będziemy potęgą. Myślę, że kropla draży skałę. Musimy stawiać na nowe pokolenie, na młodzież.

Opuściłem emerytowanego generała. Gdy szedłem przez alejki ogródków działkowych minąłem dwóch młodych mężczyzn, jednego Orientystę, drugiego Słowianina, którzy zniknęli w furcie prowadzącej do domku Romblena Feldza.

Pojechałem jeszcze do jednej miejscowości na południu Półwyspu. Tradycyjnie dobra droga, na miejscu eleganckie hotele prowadzone przez Orientystów, zero nielegalnej zabudowy i chaosu, żadnych dobudówek, tandetnych dyskotek i bud z suwenirami. Ma być elegancko. Wszędzie jest wyjątkowo wysoki poziom obsługi. Tak, jak kiedyś było na Zachodzie, a obecnie można to tylko porównać do najlepszych nadmorskich kurortów w Chinach. Cisi kelnerzy pojawiający się, jak spod ziemi i reagujący na każdy ruch. Sklepy pełne najlepszych towarów. Ceny jednak biją po oczach.

W południowej części Półwyspu nie ma biedy, ponieważ ci, którzy nie byli w stanie sobie dać rady i utrzymać się ze względu na rosnące ceny nieruchomości i produktów spożywczych, już dawno wyjechali. Ci którym z obecną władzą nie było po drodze ze względów światopoglądowych zostali aresztowani. Dla tych ostatnich miejsce znalazło się na północy. W środku stepów są obozy dla osób, które wciąż się burzą i nie chcą zaakceptować istniejącego porządku rzeczy. Co tam się dzieje, znamy jedynie z wypowiedzi rodzin więźniów, których wiarygodność trudno skorygować. Latem w palącym słońcu zbierają oni arbuzy i melony. Karcer to wielka jama w ziemi, z której samemu nie da się wyjść. Cierpi się tam od słońca i duchoty. Zimą kara zmienia się bezczynne liczenie dni w stepowym mrozie. Choć czasem więźniowie są wykupowani do różnych większych i mniejszych inwestycji. Czasem też sprzedawani na organy.

Tego jednak nie widzą zwykli turyści, którzy przyjeżdżają na Półwysep z samego PK i z państw zaprzyjaźnionych. Szlaki turystyczne są oddalone od dróg, gdzie mieszkają Słowianie i biedniejsza część Orientystów. A są to najczęściej bidawille zbudowane z byle czego, co można znaleźć na śmietniku, kawałków starych mebli, okien z autobusów, szmat, eternitu. Bieda na południu nie jest tak rażąca jak na północy choć de facto jest to ten rodzaj zabudowy, który można zobaczyć w Republice Bursztynowej, czy na przedmieściach Stolicy. W słońcu przypomina to raczej dekoracje do teledysku kręconego gdzieś w kolorowych fawelach Ameryki Południowej. Niektórzy są sfłoczeni w dawnych sanatoriach przerobionych na hotele pracownicze.

- Tutaj na 15 metrach kwadratowych mieszkam ja, mąż i dwoje dzieci – tłumaczy mi 23-letnia Spartakiada Elbrus (imię i nazwisko zmienione), z którą skontaktował mnie Romblen Feldz. - I tak mamy tu lepiej niż w bidawillach gdzieś na stepie - dodaje. Idziemy nieoświetlonymi korytarzami, gdzie jedynym źródłem światła są okna na ich końcu i początku. Drzwi do windy, a raczej otwór, który po niej został, zalepiony jest taśmą klejącą. Same drzwi, ciężkie i metalowe, już dawno ktoś oddał na złom. Dzieci biegają po korytarzach, zajmują się czasem nimi starsi mieszkańcy, gdy młodzi idą do pracy. Zapach przepoconej pościeli i ubrań miesza się z dymem tytoniowym i zapachem cebuli i tłuszczu z prymitywnych kuchenek gazowych ustawianych na korytarzach. To właśnie w takich miejscach rodzą się ruchy sprzeciwu, można wręcz powiedzieć rewolucyjne. Spartakiada Elbrus kieruje jednym z nich:

- Najgorsze, co nas dotknęło to zdrada. Zdrada Konfederacji EuroAzji, a potem Stolicy. Myśmy tu kiedyś rządili, nasi dziadkowie walczyli o tę ziemię. Po prostu nas sprzedali za łapówkę Stolicy, a ci nas zostawili na pastwę Orientystów. My Słowianie musimy się im podporządkowywać,

a pomagają w tym wszystkim organy ścigania przysłane też przez Słowian, tylko ze Stolicy. To się w głowie nie mieści. Za to oni jeżdżą sobie superszybkimi samochodami po nadmorskiej promenadzie. I my ich obsługujemy – kobieta, jak na swój wiek, mówiła wyjątkowo dojrzałe, wyrażała się bardzo składnie. Pytam, czy ma wyższe wykształcenie.

- Mam, ale domowe. Na uczelnię i do liceum nie chcieli mnie przyjąć, powiedziano mi, że 4 klasy szkoły podstawowej wystarczą. Mój ojciec i matka wykładali wcześniej na uczelni wyższej i uczą mnie teraz w domu. Oni by chcieli zrobić ze mnie inżynierkę, ale ja pożyczam od nich i ich kolegów książki o polityce i wiem wszystko – po raz pierwszy uśmiecha się szeroko.

- Romblen Feldz mówił, że niektórzy Orientyści z wami współpracują.

- To prawda. Jest część takich ludzi i to paradoksalnie ci, którzy najbardziej nacierpieli się od Słowian, no i najmłodszy, którzy widzą niesprawiedliwość. Oni rozumieją, że ten reżim w Stolicy nie ma przyszłości. I Konfederacja EuroAzji też nie ma. Powinniśmy się usamodzielnic i żyć na swoim.

- Buntujecie się?

- Buntujemy. Po cichu, ale kiedyś to wybuchnie. Eksploduje i oni się nie pozbierają – mówi patrząc daleko w morze i na wierzchołki palm położone u podnóża sanatorium. Bardzo chce mi coś pokazać, przedzieramy się przez zarośnięte aleje sanatorium, mijamy baseny zarzucone śmieciami i starymi liśćmi. Wreszcie spośród drzew wyłania się wielki czarny pomnik kroczącego mężczyzny w płaszczu.

- To on, Słowianin, nasz bohater, który w 1917 roku rozpoczął rewolucję. I my też taką rozpoczniemy! Ale ci w Stolicy chcą żebyśmy o nim zapomnieli. Nie! - zapewnia mnie wyraźnie ożywiona, a jej oczy płoną pasją.

Wieczorem siedzę na rozświetlonej zachodzącym słońcem promenadzie. Piję miejscowe różowe wino w eleganckiej restauracji, przy białym stoliku a la początek XX wieku. Promenadą chodzą turyści z Pierwszego Korupcyjnego i nieliczni obcokrajowcy.



XIII. Epilog, czyli PK trzy lata później

Do Pierwszego Korupcyjnego wróciłem 3 lata później. W ciągu tego okresu Stolica niemal w ogóle się nie zmieniła. Z tego, co mówili mi znajomi, którzy w PK mieszkają od lat, zmiany są tam o wiele powolniejsze niż na zachodzie, nie mówiąc już o Chinach. Panuje pewien constans, który pozwala czuć się w miarę bezpiecznie. Znowu te same sklepy z tanimi rzeczami, te same pasy dla uprawnionych, znowu reklamy drogich produktów dla małej grupy uprzywilejowanych.

Kolejny Kongres, który zorganizowano, ponownie zgromadził przyjaciół państwa. Jednak tym razem wśród przedstawicieli Azji, Afryki i Ameryki Południowej dominowali nie urzędnicy i wszelkiej maści usłudźni pseudoeksperci, a politycy. I to politycy najwyżsi rangą. Wszyscy starali się pokazać swój sukces. Miał go widzieć każdy. Było zatem złoto, drogie błyszczące garnitury, buty ze skóry słonia. I oczywiście drogi telefon komórkowy w ręku każdego. Najlepiej ozdobiony złotem i drogimi kamieniami. Nawet jeśli nie było z niego żadnego pożytku ponieważ sygnał w pomieszczeniach, gdzie odbywały się najważniejsze wydarzenia, był tradycyjnie zagłuszany i tak wszyscy starali się go trzymać na wierzchu. Był to bowiem kolejny przedmiot, na którym można było umieścić diamenty, złoto, czy w ostateczności drogie sztuczne kryształy.

Przed wejściem do sali znowu stali ochroniarze, tym razem wszyscy uzbrojeni w długą broń. Znowu obszukiwali wszystkich obawiając się zamachu. Obsesja Władlena Barrikada była jeszcze większa niż jego poprzednika, który zginął w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. Śledztwo niby się toczyło, ale dziwnym trafem świadkowie albo ginęli (to ci którzy zapowiadali, że coś powiedzą) albo pozwalano im uciec (to ci, którzy byli bardziej ugodowi i zamiast tracić życie postanowili stracić pamięć i po prostu zniknąć). Wiedzieli, że na emigracji, niezależnie, czy to Londyn, czy Curacao, też nie mogą nic powiedzieć bo skończą, jak ci pierwsi. W związku z obawami najwyższego kierownictwa, każdy musiał przejść przez dwie bramki do metalu, które były obsługiwane przez dwie różne grupy ochroniarzy. Byli ubrani zupełnie inaczej, co świadczyło o tym, że pochodzą z różnych oddziałów. Kontrolowali nie tylko wchodzących, ale też patrzyli sobie na ręce.

Przeszedłem kontrole i wszedłem do sali. Oprócz delegatów były tam także ich życiowe towarzyszki: żony i sekretarki (przede wszystkim biznesmenów) o rozszerzonych kompetencjach obejmujących także sferę usług seksualnych. Wszystkie miały drogie suknie, krótkie i dłuższe, w zależności od wieku: 22 lata, długość spódniczki 22 centymetry, 50 lat, długość 50 centymetrów i tak dalej. Za to wysokość obcasów była odwrotnie proporcjonalna do wieku i należało tu wykonać o wiele trudniejsze działania. Widać było, że w tym towarzystwie decydują mężczyźni. Kobiety od dziesięcioleci na tym terytorium stykały się ze szklanym sufitem, którego nie pozwalano im przebić.

Organizatorzy wyciągnęli też inne, oprócz wzmocnionej ochrony, wnioski z imprezy sprzed 3 lat. Nie podawano żadnych alkoholi, aby uniknąć wszelkich ewentualnych wybryków. Nie przewidziano tańców i występów, w tym w żadnym wypadku żadnych iluzjonistów. Od czasu zamachu ten rodzaj działalności artystycznej został zakazany, a jego wykonywanie, nawet w ukryciu było surowo karane. Od wieloletniego więzienia nie można było się wykręcić nawet wysoką łapówką, choć nikt nawet tego nie próbował. Po prostu nie warto za marny trick spędzić resztę życia w kopalniach Zagłębia, czy też w przeżywających ponowny rozkwit, tamtejszych biedaszybach. Władze czerpały z tych ostatnich pokaźne zyski - było ich coraz więcej, społeczeństwo biedniało i każdy szukał możliwości zarobku. Nie mogło to pozostać poza uwagą lokalnych kacyków oraz ich nadzorców ze Stolicy.

Tym razem przewidziano tylko oficjalne przemówienie samego Władlena Barrikada i Róży Tetori. Od 3 lat nierozłącznej pary, która rządziła Pierwszym Korupcyjnym i kształtowała jego politykę. Za najważniejszą część, czyli ekonomiczną, prawa poszczególnych regionów, wkłady korupcyjne, wysokość stawek odpowiadał Barrikad wraz z Radą Nadzorczą Państwa, której skład się nie zmieniał. Róża Tetori odpowiadała za nadbudowę ideologiczną. Zasada była prosta: ideologia ma odwoływać się do czasów radzieckich, ale gospodarka już nie, ta była brutalnie liberalnie kapitalistyczna. Socjalistyczna fasada ekonomii pozostała tylko w Komunistycznej

Republice Socjalistycznej Węgla i Stali. Ambicje ulepszonej wersji PK były o wiele większe - z tyłu sceny wisiało nowe godło państwa składające się z zebranych wspólnie elementów godeł republik byłego Związku. Otaczał je łańcuszek złotych symboli waluty Pierwszego Korupcyjnego, kłosa, traktory i dymiące kominy. W środku znalazł się trójkąt z okiem opatrności, co miało podkreślać, że ateizm nie jest już częścią obowiązującej ideologii.

Uroczystości rozpoczęły się od wstępu prawosławnego duchownego, który wkroczył na scenę z ogromnym złotym krzyżem na riasie, ze złotymi pierścieniami i laską zwieńczoną małą kulą ziemską i niewielkim krzyżykiem. Był to ten sam ksiądz, który przemawiał trzy lata wcześniej. Wtedy jednak nie miał na sobie aż tylu atrybutów bogactwa. Jak widać ulepszony system mu sprzyja. Przywitały go ograniczone brawa.

- Witajcie moi bracia i siostry. Błogosławię ten zjazd, jak 3 lata temu, błogosławiłem poprzedni. Patrzę na was i widzę, że Bóg jest z wami nawet bardziej niż wtedy. Bo z wami są pieniądze! Coraz większe pieniądze! Pamiętajcie, że kto nie pracuje, ten nie je. Ja pracuję i jem, ja się modlę i jem, ja służę swojemu panu. A moim panem jest Władlen Barrikad i dopiero nad nim jest Bóg. Ale ja i każdy z nas służy najpierw swojemu bezpośredniemu przełożonemu. Pamiętajcie o tym, bądźcie posłuszni albo róbcie wszystko abyście to wy byli przełożonymi, a nie przekładanymi. Jeśli mogę sobie pozwolić na taki dowcip – sam zaczął się śmiać, choć sala nie odpowiedziała entuzjazmem. Postanowił zatem dość szybko skończyć swoje przemówienie. - A teraz życzę wam i naszemu państwu wielkiej przyszłości. Większej niż ta, którą mieliśmy kiedyś. Z Bogiem bracia i siostry.

Zakończył. Mówił bardzo krótko i mimo demonstracyjnego entuzjazmu widać było, że jest zmęczony. Energia z poprzednich lat gdzieś się ulotniła, a może nie dawał żyć ciężar obowiązków i bogactwa, które musiał na sobie nosić.

Rozległy się werble, przyćmiono światło. Przejęty niski głos mówił drżąc z przerażenia i zachwytu nad wspaniałością wypowiedzianych słów: Panowie i panie! Przed wami prezes zarządu Pierwszego Korupcyjnego, człowiek który zjednoczył lud i oligarchów, człowiek, który jednoczy nasze państwo z innymi, które kiedyś były razem z nami, człowieka, którego imię sławione jest 24 godziny na dobę, rano na wschodzie, w Azji, a po południu w Europie i w Afryce, a wieczorem w obu Amerykach Północnej i Południowej. Przed wami niepokonany Władlen Barrikad! - słychać było z głośników. Pod koniec głos wyraźnie się podniósł podobnie, jak robią to zapowiadający walki bokserskie konferansjerzy. Rozbłyły światła i na scenę wbiegł prezes zarządu Pierwszego Korupcyjnego. Bynajmniej nie w spodniach bokserskich, złotym pasie i w rękawiczkach, a w świetnie skrojonym ciemno granatowym garniturze, fioletowej koszuli, muszce i butach z mocnej czarnej skóry, prawdopodobnie pochodzącej z krokodyla. Podniósł ręce do góry w geście zwycięstwa. On już wygrał pojedynek trzy lata temu i teraz z tego korzystał. Zebrani z uznaniem pokiwali głowami, przytulając się do swoich mężów i partnerów żony i kochanki patrzyły wniebowziętymi oczami na mężczyznę na scenie. Rzeczywiście Władlen Barrikad wyglądał świetnie i chyba młodziej niż kilka lat temu. - Ja też bym tak wyglądał po kilku operacjach plastycznych – powiedział sceptycznie mężczyzna stojący koło mnie, którego partnerce dosłownie zapało dech od tego, co zobaczyła na scenie. – Och misiu, ty i tak tak wyglądasz – odpowiedziała patrząc nadal z zachwytem na Barriada. Na razie to jej partner, zgarbiony i z brzuchem, był jej sponsorem i nic nie zapowiadało, aby to się miało zmienić.

- To ja, Władlen Barrikad – powiedział przywódca, który w niczym nie przypominał zahukanego lokalnego kacyka ze wschodu państwa, jakim był jeszcze całkiem niedawno.

- Wiemy, wiemy – rozległy się okrzyki na sali i brawa.

- To ja zjednoczyłem to państwo – powiedział i znów przerwał czekając na okrzyki i brawa.

I one nastąpiły.

- To ja jednoczę dawne ziemie Związku – znów brawa i okrzyki. - A wy jesteście ze mną! – tutaj brawa zaczął bić sam Władlen Barrikad. Wziął mikrofon ze statywu i zaczął chodzić po scenie przemawiając, a właściwie dyskutując z salą. Przynajmniej starał się sprawić takie wrażenie. Miał przypominać chińskiego, czy koreańskiego menedżera, który przedstawia nowy produkt, który ma zrewolucjonizować nasze życie codzienne. Tutaj produktem było państwo.

- 3 lata temu odziedziczyłem to państwo w tragicznym stanie. Na wschodzie mieliśmy bunt – tutaj nie wspomniał, że sam był jego autorem. - Na południu mieliśmy prawie bunt. Teraz ci ludzie są z nami. Dlaczego? Dlatego, że zaoferowałem im odpowiednie warunki. Zaoferowałem im, że my, Stolica, będziemy brać mniej po to aby mieć więcej. Dlaczego tak jest? Dlatego, że ci którym zabierasz mniej, chętniej płacą. Koniec końców obie strony zyskują – podkreślał. Przemówieniu towarzyszyły puszczone z projektora zdjęcia żołnierzy oddziałów oligarchicznych, którzy stali na granicy z Konfederacją EuroAzji. Kluczową rolę w prezentacji odgrywały dzieci. Na zdjęciach były zatem dzieci z kwiatkami, płaczące kobiety z dziećmi na rękach i rysunki dzieci: „Stop wojnie” na spadającej bombie, „Nie chcemy obcych bandytów w swoim domu” głosił napis nad rysunkiem domu, koło którego stoi 4-osobowa rodzina, która z otwartymi ramionami wita wojskowych z literkami PK na rękawach. Później wojenne slajdy zastąpiły zdjęcia przedstawiające nowoczesne budynki, fabryki i kłosa na polach.

- Sytuacja obecnie się odwraca, to państwa wchodzące w skład Konfederacji EuroAzji chcą do nas dołączyć. Czy to nie fantastyczne? Przychodzą do nas i przyjeżdżają nasi byli bracia z Azji Środkowej i Kaukazu. Na początku czerpali nasze doświadczenie. Rozmawialiśmy o tym, jak się połączyć, jak działać wspólnie, jak odbudować potęgę Związku na nowych zasadach. Później przyszedli do mnie działacze z Ameryki Południowej i z krajów Azji. Oni wszyscy chcą budować państwo takie, jak nasze. Myślimy o wspólnych rozwiązaniach, chcemy się łączyć, wysyłać do siebie pracowników, ekspertów, handlować, ale nie na zachodnich zasadach, a na swoich własnych. Pracujemy nad... Związkiem Republik Korupcyjnych! - tu Władlen Barrikad efektownie przerwał. Na ekranie za nim pojawiła się mapa świata z zaznaczonymi na czerwono krajami, które jakoby są zainteresowane nowym systemem. Przemawiający odwrócił się do mapy i powiedział cicho jakby do siebie.

- Czy to nie wspaniałe?

To skierowane do siebie pytanie wywołało natychmiastową reakcję sali w postaci braw i radosnych okrzyków.

- To wszystko by się nie udało gdyby nie genialna Róża Tetori. To dzięki niej nasze państwo tak się rozwija, nie tylko dzięki udanym rozwiązaniom korupcyjnym, które zaproponowałem. Dzięki mądrej polityce zarządu. Ale też dzięki ideologii, której wcześniej nam brakowało. Przed państwem, Róża Tetori!

Przy dźwiękach dawnego hymnu Związku na scenę weszła główna ideolog państwa. Nie chodziła ona po scenie, jak Władlen Barrikad, a stanęła na jej środku. Złożyła ręce na krzyż na piersi, przywitała się, a potem z dłoni zrobiła niewielki koszyczek. Przed nią ustawiono mikrofon, do którego mówiła patrząc gdzieś w dal i wyraźnie wypowiadając słowa. Podobnie, jak jej poprzednik, wyglądała lepiej niż kilka lat temu. Po Pierwszym Korupcyjnym krążyły plotki, że to zasługa młodych kochanków, z którymi się spotyka, a którzy są jej przywożeni przez afrykańskich władców i azjatyckich biznesmenów odwiedzających Stolicę.

- 3 lata temu nasze państwo było na granicy rozpadu. Dlaczego? Dlatego, że nie było wspólnej ideologii. Wspólna ideologia polegała na tym, aby się dorobić. I tyle. Prosta, ale nie jednocząca. Bo aby dorobił się ktoś, ktoś inny musi więcej zapłacić. Czyli ktoś w tym układzie traci. Dlatego dorobkiewiczostwo, samo dorobkiewiczostwo nie może być ideologią. Potrzeba czegoś więcej. Trzeba coś dać tym, którzy tracą – Róża Tetori nie czekała na reakcję sali. Ona po prostu mówiła swoje, mocno, wyraźnie i z przekonaniem. Już nie ubrana, jakby cały czas pozostawała dziennikarką wszechzwiązkowej telewizji, a w dobrych chińskich ciuchach, oczywiście odpowiednich dla jej wieku. Widać było, że awansowała.

- Nie będę państwu mówić dokładnie o tym, jak w pocie czoła tworzyliśmy ideologię. Ideologię w centrum której stoi dobro człowieka. To on jest najważniejszy, jak w czasach radzieckich. Jest ważny bo jest trybem w wielkiej maszynie zarządzanej przez nasz cudowny mądry Zarząd. I tu mówię “Zarząd” wielką literą. Pamiętacie komitet centralny partii? Zarząd jest jego nową emanacją. Nie ma już partii więc nie może być komitetu centralnego, ale nie wypieramy się przeszłości. Nawiazujemy do niej pod nowym szyldem. I mówimy o przeszłości bo była to wielka przeszłość. I taka też będzie nasza przyszłość. Nie możemy o tym zapominać. Dzięki hojnej

pomocy naszych dobroczyńców produkujemy filmy mówiące o tym, jak żyliśmy i jak żyć będziemy. Proszę państwa, towarzysze. Podpisanie nowego porozumienia oligarchicznego nastąpiło niemal równo sto lat po jedynej prawdziwej rewolucji, rewolucji październikowej. Możemy czuć się kontynuatorami wielkiego dzieła naszych poprzedników: Lenina i Stalina. To oni zbudowali podwaliny naszego systemu. Jak bogowie stworzyli nowe państwo, które opletli żyłami różnych powiązań międzyludzkich. Te żyły kiedyś poprzecinano zalewając nasze kraje krwią. Teraz się one odradzają, odrastają, jak pnącza znów nas łącząc. Łącząc siecią zdrowych powiązań, które kiedyś były ukryte gdzieś pod skórą, ukrywane. Dzięki naszej władzy wyszły na wierzch, na świeże powietrze. Zakwitły. Dla nas, dla was, dla naszego dobra, dla dobra każdego człowieka. Dlatego tworzymy teraz razem Związek Republik Korupcyjnych! Niech Bóg będzie z nami. Dziękuję.

Zapadała krótka cisza. Rozległy się brawa, pierwszy klaskał Władlen Barrikad. Za nim cała sala. Trochę później delegaci, dla których tekst musiał być przetłumaczony. Widać było, że wszyscy byli zachwyceni słowami Róży Tetori. Nadawały one sens ich codziennej pracy polegającej tylko na zarabianiu pieniędzy. Teraz okazało się, że robią coś więcej. Mają za sobą przeszłość, wielką ideologiczną przeszłość. Co więcej, wierzą, że mają też przyszłość.

Głos zabrał znów Władlen Barrikad, jakby czytając w moich myślach.

- Mamy przyszłość! Wierzę w to. I w związku z tym chciałem was wszystkich zaprosić za dwa lata, na Pierwsze Igrzyska Korupcyjne. To będzie ogromna impreza, która pokaże naszą potęgę i jeszcze bardziej zjednoczy nasze państwo i umocni nasze kontakty z innymi nam przyjaznymi krajami na całym świecie. Na naszych igrzyskach będą wszyscy ci sportowcy, którzy kiedyś na Zachodzie, czy w Azji, byli oskarżani o doping, będą najlepsze laboratoria prodopingowe. Igrzyskom będzie towarzyszyła konferencja poświęcona rozwojowi dopingowi i korupcji w sporcie. Będą dozwolone wszystkie chwytły. Ćwiczcie, przygotowujcie się, do zobaczenia na PIKu za dwa lata. Czekamy na was!

Zgromadzonym bardzo podobał się pomysł. Delegaci z Afryki i Azji wymieniali porozumiewawcze spojrzenia i pokazywali wszem i wobec, że za dwa lata ich sportowcy pojawią się w Pierwszym Korupcyjnym. Z ulgą zapewne odetchnęli także ci działacze sportowi, którzy byli oskarżani o nieczyste praktyki. Wreszcie na świecie znalazło się miejsce, gdzie będą docenieni.

Dalszych przemówień nie było. Władlen Barrikad poczekał aż uspokoją się owacje i pożegnał wszystkich, a następnie zszedł ze sceny. Nie przemawiali inni członkowie Rady Nadzorczej Państwa. Lestaber Stalen, Lenrud Lagszmiwara, Damir Dazdranagon i Rubin Lengenmir stali spokojnie w pierwszym rzędzie obserwując z aprobatą to, co się dzieje i bijąc brawo razem ze wszystkimi.

Na scenę wszedł konferansjer, który zapowiedział przedstawienie historyczne, a następnie koncert muzyki: „Najpiękniejsze pieśni o życiu, wojnie i miłości z czasów naszej młodości” w wykonaniu stołecznego Teatru Opery orderu Lenina i sztandaru Wielkiej Wojny Ojczyźnianej imienia Lorieksa Arwila. Przedstawienie rozpoczęło się inscenizowanym chrztem Rusi. Tancerze okrążali niewielkie jezioro z wodą, w którym kąpała się beztroska para – kobieta i mężczyzna. Ona miała napisane na kostiumie Ewa, a on Adam. Zza kulis dosłownie na chwilę wychylił się starosłowiański książę, który zrobił znak krzyża i ochrzcił parę. Razem zaczęli budować domy, później fabryki, wielkie dymiące zakłady pracy. Dekoracje z tektury zmieniały się szybko, widzowie oglądali przyspieszony kurs historii państwa, którego ostatnią emanacją było Pierwsze Korupcyjne. Przedstawienie było wyjątkowo interesujące dla delegatów z zagranicy. Nagle grom, cisza, błysk, drugi grom, nadlatują samoloty, bombowce, zaczyna się piekło wielkiej wojny ojczyźnianej. Kobiety i mężczyźni przestają tańczyć, zakładają na siebie pasiaste stroje, są przygaszeni, do walki na froncie i w fabrykach mobilizuje ich jednak wąsaty mocno zbudowany mężczyzna. Tak, to Stalin. Jednym szerokim gestem ręki odtrąca wrogów, drugim przygarnia własny lud. Mija chwila. Już nie ma wroga, już wschodzi słońce nad Stolicą. Znów słychać wesołe pieśni, znów powstają zakłady przemysłowe. Ale trwa to krótko. Potem na scenie pojawiają się mężczyźni w czarnych kurtkach, muzyka staje się agresywna, mają kije bejsbolowe, uderzają nimi rytmicznie, padają strzały, kobieta płacze, oplakuje swojego syna, który leży na ziemi w kałuży krwi. Eksplozja, jedna, druga, znów wojna, znów czołgi. I na podwyższeniu widać jakiegoś

mężczyznę. Przypomina Władlena Barrikada. Tak, to on we własnej osobie! Daje znak wszystkim, aby zachowali spokój, powstrzymuje panikę, powstrzymuje rozlew krwi. Tancerze rytmicznie pracują. Co chwila któryś z nich odwraca się do przywódcy, jednak ten tylko daje znak żeby tamten dalej robił swoje dzieło. Muzyka jest smutna, słychać smutną pieśń. Koło Barrikada staje kobieta, to nie Róża Tetori, ale aktorką ją grająca. Kiwa głową, razem o czymś rozmawiają, wspólnie wskazują rękami przed siebie, na przyszłość. Tłumy tancerzy podnoszą się, śpiewane przez nich piosenki stają się wesołe. Słońce podnosi się jeszcze wyżej. Adam i Ewa znów wchodzą na scenę. Tyłem do publiczności patrzą na Słońce, które osiąga niemal zenit. Muzyka cichnie. Śpiewy też. Ewa mówi do Adama:

- Chciałabym żeby ta chwila trwała wiecznie.

- Ona będzie trwać wiecznie. Ty i ja będziemy zawsze razem, jak razem są przewielebny i wszechmocny Władlen i będąca światłem naszego kraju Róża.

Słońce cały czas świeci już w zenicie. Kurtyna zamyka się. Wszyscy klaszczą. Przed kurtynę wychodzą artyści. Wita się z nimi Władlen Barrikad. Podchodzi Róża Tetori. Uściskom i komplementom końca nie widać. Przywódcy Pierwszego Korupcyjnego odwracają się do publiczności, dziękują za udział w uroczystości, zapraszają na koncert muzyki popularnej.

Ja wyszedłem z hotelu, minąłem rondo, gdzie jeszcze niedawno wisiały zdjęcia zaginionych kilka lat temu, dotąd niektóre z nich leżały jeszcze na ziemi nie zabrane przez sprzątających, wciśnięte gdzieś pod płot, między stare liście. Popatrzyłem w górę na wiadukt i przejeżdżające wagony kolejki, na trasę, której najbliższy pas był zajęty przez jeszcze bardziej niż kilka lat temu rozklekotane autobusy i trolejbusy. Były pełne pasażerów. Coraz więcej okien było zasłoniętych dyktą bądź starymi reklamami. Pasem obok jechały trochę szybciej autokary wiozące pracowników do zakładów i odwożących ich na przedmieścia. Następne pasy były przeznaczone dla szczęśliwców, którzy mieli wykupione specjalne winiety. Tam auta były lepsze niż 3 lata temu. Przed światłami i skrzyżowaniami tworzyły się niewielkie zatory, czasem korki. Wszyscy jeździli, jak chcieli i nie interesowały ich przepisy. Dochodziło do licznych stłuczek, które hamowały ruch. Pasażerowie transportu publicznego patrzyli z satysfakcją na poobijane i podrapane limuzyny coraz to nowszych modeli. Pod wiaduktem były te same budy, co wcześniej. Sklepy dla ubogich i dla biedoty, dla której wydarzeniem było kupno kawy 3 w 1, a wybór życiowy mógł się jedynie sprowadzać do tego, czy kupić sok, czy wódkę, syntetyczną kawę, czy herbatę.

Stanąłem koło budki i postanowiłem popatrzeć na przechodzących ludzi. Wszyscy się gdzieś spieszyli, zapewne już do domów bo był już późny wieczór i niedługo miały zostać wyłączone latarnie. Wyglądali biedniej i gorzej niż kilka lat temu, byli albo ubrani w ciuchy z second handu albo tanią miejscową lub europejską produkcją.

Ogólnie nie widać było żadnych oznak sprzeciwu wobec rządzących, raczej umiarkowane zadowolenie z tego, jak jest, że właściwie nie ma wojny, jest biednie, ale spokojnie. Z kraju w gruncie rzeczy nie da się wyjechać, dlatego należy pogodzić się z losem i jakoś ułożyć sobie życie na miejscu. Tłumy potencjalnych uciekinierów pod zachodnią granicą niemal zniknęły ponieważ była ona uszczelniona z dwóch stron. Jedna strona nie chciała wypuszczać, a druga wpuszczać więc panowała powszechna zgodność interesów. Zachód nie chciał mieć u siebie słabo wykształconej biedoty, a oligarchowie na Wschodzie bardzo chcieli ją mieć bo potrzebna była tania siła robocza. Dogadali się – pomyślałem.